



SELMA LAGERLÖF

Tętniące serce


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

SELMA LAGERLÖF

*Tętniące serce*¹

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

¹*Tętniące serce* — w przekładzie Mirandoli zmieniono pierwotny tytuł powieści Selmy Lagerlöf: *Cesarz Portugalii* (oryg. *Kejsarn av Portugallien*). [przypis edytorski]

CZEŚĆ PIERWSZA

TĘTNIĄCE SERCE

Aż do późnej starości opowiadał zawsze Jan Anderson ze Skrołyki o onym dniu, kiedy to przyszła na świat córka jego.

Wczesnym rankiem wybrał się po akuszerkę i kobiety do pomocy, potem zaś całe przedpołudnie, a nawet kilka godzin odwieczera przesiedział na kłocu w drewnutni i czekał, czekał, czekał bez końca.

Deszcz lał jak z cebra, a chociaż Jan siedział właściwie pod dachem, to pryskała nań woda, przenikając przez szczeliny w dachu i ścianach, także wiatr miótł raz po raz strugi i niby z wiadra chlustał przez pozbawione drzwi wejście do szopy.

— Nie wiem, czy jest taki, co by sądził, że cieszę się z tego dzieciaka! — mruczał i kopał niewielki stos polan nogami, tak że rozlatywały się aż po dziedzińcu. — Jest to naj-

większe nieszczęście, jakie mi się mogło przygodzić². Pobraliśmy się dlatego tylko, że nam się sprzykrzyło służyć u Eryka z Falli, jako parobek i dziewczka i wiecznie na innych pracować. Własne graty mieć chcieliśmy i dach własny i koniec, o dzieciach ani nam się śniło!

Zasłonił twarz rękami i westchnął żałośnie. Oczywiście pluta³ i długie, przykre czekanie popsuło mu humor, ale nie były to istotne przyczyny smutnego nastroju. Jan miał powody ważne i żałość jego była uzasadniona zupełnie.

— Muszę pracować codziennie od rana do wieczora... to się rozumie. Ale miałem dotąd przynajmniej noce spokojne. Teraz zaś smar-kacz zacznie wrzeszczeć i nawet w nocy nie skończą się moje utrapienia!

Gdy sobie to uświadomił, poczuł w sercu rozpacz wielką. Odjął ręce od twarzy i załamał je tak gwałtownie, że trzasnęły wszystkie stawy.

— Wszystko szło dotąd jako tako, bo Katarzyna mogła tak jak i ja pracować przez cały

²przygodzić się (daw.) — przytrafić się. [przypis edytorski]

³pluta — plucha; deszczowa pogoda. [przypis edytorski]

dzień. Teraz będzie musiała siedzieć w domu i piastować bachora!

Wbił wzrok w szarzejący już prostokąt podwórza i wydało mu się, że widzi snującą się powolnym krokiem koło domu śmierć głodową, która szuka, którądy by wejść.

— Tak... tak! — zawołał i celem wzmocnienia swej argumentacji zaczął bić pięścią po kłocu. — Tak... tak! Powiadam tylko tyle, że gdybym był wiedział, jakie będą skutki tego wszystkiego, odmówiłbym stanowczo Erykowi z Falli, który mi pozwolił pobudować się na jego gruncie, a w dodatku podarował stare belki... tak, byłbym stanowczo odmówił i został do śmierci w stajennej komórce we Falli.

Czuł, mówiąc to, że wyrzuca słowa straszne, ale nie miał ochoty cofać ich.

— A niechby się coś przydarzyło!... — zaczął znowu i miał właśnie wyrazić życzenie, by dziecko spotkał tak czy owak jakiś przypadek, gdy nagle uszu jego doleciał krzyk malca. Urwał nagle w pół słowa. Było to jakby piszczenie

kurczęcia, przenikające przez ścianę i Jan nie mógł już teraz wypowiedzieć swej myśli.

Drewutnia przybudowana była do chaty i ile razy nateżył słuch, zawsze dochodziło go owo piszczenie. Jan, oczywiście, dorozumiał się zaraz, co to takiego i siedział przez długi, długi czas niemy i bez ruchu, nie objawiając ani radości, ani strapienia.

Naraz wzruszył ramionami i powiedział:

— No, nareszcie przyszło na świat, teraz więc mi chyba, na miły Bóg, pozwolą wejść do izby i ogrzać się trochę.

Ale ta ulga nierychło stała się jego udziałem i musiał znowu czekać z godziny na godzinę.

Deszcz lał ciągle z tą samą gwałtownością, wiatr wzmógł się jeszcze, a mimo że był to koniec sierpnia, zimno przenikało go jakby w listopadzie.

Na dobitkę wszelkiego złego przyszła Janowi teraz do głowy myśl, która go zasmuciła i rozgoryczyła jeszcze bardziej.

Uczuł, że wszyscy nim pogardzają i mają za nic.

— W izbie, nie licząc akuszerki, znajdują się trzy zameżne niewiasty! — mruknął do siebie. — Mogłyby się też pofatygować, albo przynajmniej jedna z nich przyjść tu i powiedzieć mi, czy to córka, czy syn. Przyłożył ucho do ściany i przekonał się, że na kominie rozpalają duży ogień. Potem zobaczył, że kobiety czerpią wodę ze źródła, ale żadna nie zwróciła nań najlżejszej uwagi.

Znowu zakrył twarz dłońmi i zaczął żałośnie kołysać się w tył i naprzód.

— Mój drogi Janie Andersonie — mówił do siebie. — Czegóż ci nie dostaje⁴ i gdzie twa wina? Czemuż wszystko idzie ci w życiu kulawo i czemuś zawsze taki przygnębiony? Ach, dla-czegożeś to nie pojął ładnej, szykownej dziewczyny, ale ożenił się z Katarzyną, starą dziewczką od krów Eryka z Falli.

⁴*nie dostawać komu czego* — nie starczać, brakować. [przypis edytorski]

Strapienie przejęło go na wylot, a nawet spadło kilka łez, przeciekając pomiędzy palcami.

— Czemuż to — pytał dalej — dobry mój Janie, tak niewiele sobie z ciebie robią we wsi i czemu wszystkim przed tobą dają pierwszeństwo? Wiesz dobrze, że bywają równie biedni jak ty i niesprawni w robocie ludzie, a przecież nikogo nie spychają tak na szary koniec, jak ciebie. Czegóż ci tedy nie dostaje, drogi Janie Andersonie?

Pytanie to zadawał sobie Jan często, a zawsze zupełnie daremnie. Stracił całkiem nadzieję otrzymania na nie odpowiedzi, ale rozważając swe właściwości przekonał się, że nie było nigdzie żadnego wielkiego braku. Nic innego tedy nie mógł wymyślić, tylko to, iż najwyraźniej Bóg i ludzie byli dlań niesprawiedliwi.

Powziąwszy to przekonanie, odjął ręce od twarzy i spróbował przybrać minę wyzywającą.

— Gdy przyjdzie czas, że ci pozwolą wrócić do twego domu, Janie — powiedział do siebie

— to ani jednego spojrzenia nie rzucisz na twe dziecko, ale pójdziesz prosto do ogniska i za-
grzejesz się.

— Albo, może lepiej by było — zaczął zno-
wu — po prostu wstać i iść. Teraz, kiedy sam
wiesz, że wszystko minęło, nie potrzebujesz tu
dłużej wysiadywać! Otóż wstań, idź i pokaż Ka-
tarzynie i tamtym kobietom, że jesteś panem
na własnych śmieciach.

Właśnie zabierał się wstawać z kloca, gdy
zjawiała się w otworze drewnutni gospodyni z Fal-
li. Skłoniła się przed nim ślicznie i poprosiła,
by przyszedł do izby i zobaczył swe dziecko.

Jan był tak źle usposobiony, że nie ruszyłby
się na pewno z miejsca, gdyby nie to, że zapro-
siła go sama gospodyni z Falli. Wstał natural-
nie zaraz i poszedł z nią, nie objawiając jednak
żadnego pośpiechu. Ze wszystkich sił starał się
naśladować minę i ruchy Eryka z Falli w chwi-
li, kiedy zbliża się do urny wyborczej na ratu-
szu, aby złożyć w niej swą kartkę. Powiodło mu
się to doskonale i wyglądał zupełnie tak samo
poważnie i chmurnie.

— Proszę, wejdź Janie! — powiedziała gospodyni i otworzyła przed nim na ścieżaj⁵ drzwi, sama zaś usunęła się na bok, by wszedł pierwszy.

Od pierwszego spojrzenia przekonał się, że w izbie wszystko było ślicznie wysprzątane i umieszczone. Dzbanek z kawą stał na skraju komina, by płyn przestygł nieco, a stół pod oknem zastawiony był filiżankami gospodyni z Falli oraz zasłany śnieżystej bieli obrusem. Katarzyna leżała w łóżku, zaś dwie przybyłe z pomocą niewiasty stanęły pod ścianą, tak, by dobrze mógł się przyjrzeć całemu urządzeniu izby.

Przy stole stała akuszerka i trzymała na rękach tłumoczek.

Mimo woli przyszło na myśl Andersonowi, że wszystko tak wygląda, jakby on tu był pierwszą osobą. Katarzyna patrzyła nań przychlebnie⁶, jakby się pytała, czy jest z niej zadowolony. Oczy wszystkich obecnych były nań zwrócone, czekali najwyraźniej, by im udzielił

⁵na ścieżaj — na oścież. [przypis edytorski]

⁶przychlebnie — dziś: przypochlebnie. [przypis edytorski]

pochwały za trud, jaki sobie zadali, by stancja miała wygląd odświętny.

Jakże jednak trudno radować się, gdy cały dzień przesiedziało się w drewnutni, zziębło na kość i gdy człowieka, po prostu, diabli biorą. Jan nie mógł pozbyć się miny Eryka z Falli i nie mówiąc nic, stał pośrodku izby.

Widząc to, postąpiła ku niemu akuszerka, ale krok ten postawił ją w bezpośredniej bliskości Jana, albowiem rozmiary izdebki były bardzo małe.

— Proszę się przyjrzeć swej córeczce! — powiedziała, podając mu powijak. — Jest to dziecko, jakich mało!

Biedny Jan trzymał teraz w rękach coś ciepłego, miękkiego, uwiniętego⁷ w kilka chustek, spośród których wyzierała maleńka, pełna zmarszczek buzia i skurczone, drgające ciągle rączyny.

Stał zmieszany i zadawał sobie pytanie, co ma uczynić z ową rzeczą, którą mu położono na ramieniu. Zadumał się nad tym, ale nagle uczuł

⁷*uwinięty* — dziś: *owinięty*. [przypis edytorski]

jakby pchnięcie, tak silne, że on sam i dziecko, oboje zadrżeli. Ciosu tego nie zadał mu nikt z obecnych, to pewne. Nie wiedział tylko, czy punktem wyjścia było owo maleństwo, czy może stało się to w nim samym i skierowało się ku dziecku. Nie mógł w żaden sposób rozwikłać.

Bezpośrednio potem zaczęło mu tak mocno bić i tętnić serce, jak nie zdarzyło mu się, od kiedy żył na świecie. Nie było mu już teraz zimno, nie czuł żalu, goryczy, ni smutku, ale przeciwnie, wszystko wydawało mu się bardzo dobre i piękne. Niepokoiło go tylko, że nie rozumie, dlaczego w piersi jego w ten sposób puka, bo w ciągu całego dnia nie tańczył, ani nie biegał, ani nie wspinał się na wysoką górę.

— Proszę, połóżcież tu dłoń! — powiedział do akuszerki. — Wydaje mi się, że serce moje bije jakoś niezwyczajnie!

— Prawda! Bicie serca nie lada! — odparła. — Czy się to zdarza często?

— Nie! Dotąd nie zdarzyło się jeszcze! —
zaręczał Jan. — Przynajmniej nie miałem do-
tąd tak silnego ataku.

— Czy się czujecie źle, Janie? Czy was co
boli?

— Nie... nie... nic mi nie dolega! — od-
rzekł.

Akuszerka nie wiedziała, co to ma znaczyć
i powiedziała:

— Tak, czy owak, muszę zabrać dziecko!

Ale Jana opanowało nieznane mu dotąd uczu-
cie i nie chciał oddać dziecka.

— Zostawcie mi je! — prosił.

Kobiety musiały w tej chwili coś wyczytać
w jego spojrzeniu, albo usłyszeć w głosie coś,
co nastroiło je radośnie. Akuszerka uśmiech-
nęła się kątami ust, a pomocnice roześmiały się
w głos.

— Jak to, Janie? — spytała. — Czyż nie
kochaliście dotąd nikogo na świecie do tego
stopnia, by serce wam doń biło gwałtownie?

— Nie! — odrzekł szczerze.

Pojął teraz nagle, co wywołało tak silne bicie jego serca. Ale mało tego, zrozumiał w tej chwili, czego mu dotąd brakło w życiu i co było powodem wszystkich utrapień. Oto, nie można przecież uważać za człowieka jak należy tego, którego serce nie bije żywym tętnem, ani z bólu, ani też z radości.

KLARA FINA GULLEBORGA

Następnego dnia Jan ze Skrołyki stał przez kilka godzin z rzędu pod domem, trzymając na ręku swą córeczkę.

I tym razem czekał długo, ale sprawa przedstawiała się już zgoła inaczej niż wczoraj. Miał towarzystwo, toteż ani się gniewał, ani smucił.

Trudno powiedzieć, jak miłego doznawał uczucia, przyciskając do piersi małe, ciepłe ciało dziecka. Przyszedł do przekonania, że dotąd nawet dla siebie samego był twardy, nieprzychylny i zły, teraz zaś przepajała go radość i szczęście niewysłowione. Nie miał pojęcia, że można doznawać owego szczęścia przez to je-

no, iż się kogoś kocha z całego serca, z całej duszy swojej.

Stał pod domem, u samych drzwi, z pewnym naturalnie zamiarem. Miała się stać w tym właśnie miejscu rzecz ważna, a nawet decydująca.

Od samego rana wysilali się oboje z żoną na wyszukanie imienia dla dziecka. Roztrząsali sprawę bardzo gruntownie i długo, zastanawiali się nad każdym z możliwych imion, wążąc wszystko, co przemawiało za lub przeciw, ale nie mogli dojść do żadnego rezultatu.

Na koniec powiedziała Katarzyna:

— Nie ma innej rady, tylko musisz stanąć z dzieckiem pod domem i uważać na przechodzące mimo kobiety. Pierwszą, jaka się pokaże, spytaj o imię i to imię właśnie, czy będzie proste czy pańskie, damy naszemu dziecku.

Ale domostwo leżało na uboczu, z dala od drogi, przeto nie zdarzało się wielu przechodniów... ba... często nie pokazał się nikt przez cały dzień.

Dnia tego mgła przysiadła góry, nie padał jednak deszcz i nie wiał wiatr, przeciwnie nawet, zrobiło się dosyć parno.

Gdyby nie to, że Jan trzymał na ręku swą córeczkę, niezawodnie dawno by stracił nadzieję zobaczenia przechodnia i rzekłby sobie po prostu:

— Mój Janie Andersonie, pamiętaj że, iż dom twój stoi z dala od ludzkich osiedli nad jeziorem duwneńskim w kotlinie Askaladarny i że tutaj w pobliżu jest tylko jeden folwark jak się patrzy, poza tym zaś mieszkają jeno rozsiani po cudzych gruntach komornicy, rybacy i łatacze sieci. Skądże by się tu wzięło pańskie imię dla twojej córki, a podłego nie weźmiesz przecie!

Ale sprawa dotyczyła jego córki, przeto nie wątpił, że w końcu powiedzie mu się, byle tylko czekał cierpliwie. Spozierał ku jezioru i nie zważał wcale na pustać wokoło, nie chciał brać w rachubę dziczy tej zapadłej kotliny. Wszakże może się zdarzyć, że spodoba się jakiejś wytwornej damie z niedalekiej huty duwneńskiej przeprowić na tę stronę jeziora. Jan pewny był

nawet, że musi to nastąpić i to umyślnie z powodu jego córeczki.

Dziecko spało przez cały czas, mógł tedy stać pod drzwiami, jak długo mu się podobało i na jak długo starczyło mu cierpliwości. Gorzej było z Katarzyną, nie mogła sobie dać rady i raz po raz pytała, czy kogo nie widać. Jej zdaniem, nie powinien już dłużej wystawać, bo dziecku mogło się stać coś złego.

Patrzył w kierunku wierchu Stornsniipy, wychylającego się stromą ścianą spośród lasów brzo-
zowych i poletków pól askaladarneńskich, co wyglądał na potężną basztę forteczną, pilnującą, by nie dotarł do doliny ktoś niepożądany. Mogło się zdarzyć, że jakaś wykwintna dama, podziwiająca ze szczytu okolicę, w drodze powrotnej zabłądzi i znajdzie się blisko jego domku.

Uspokajał tedy jak mógł Katarzynę. Nic nie zagrażało ani jemu, ani dziecku, a że stał już tak długo, to przecież może postać jeszcze trochę.

Ni śladu człowieka dostrzec nie mógł, ale coraz to większej nabierał pewności, że skądś

przyjdzie rada, byle tylko jeszcze trochę poczekał. Nie mogło się stać inaczej. Czyżby się zdziwił, gdyby nagle zjawiała się pośród lasu poszywającego stoki gór królowa w złotej karecie, po to jeno, by córeczce jego nadać swe imię?

Minęła znowu dobra chwila, a Jan zaczął miarkować, że nadchodzi wieczór. Trudno więc było czekać dłużej na dworze.

Katarzyna spoglądała co moment na zegar wiszący na ścianie i wołała, by wracał, bo późno.

— Jeszcze małą chwilkę zaczekaj! — odrzekł Jan. — Właśnie widzę kogoś w dali.

Przez cały dzień mgła wisiała nad światem, teraz jednak słońce przejrzało przez nią i ozłociło promieniami dziecinę.

— Nie dziw mi wcale, że chcesz spojrzeć na małą, zanim pójdziesz spać! — powiedział Jan do słońca — Warto popatrzeć na takie dziecko... ani słowa... warto!

Słońce wydobyło się całe z chmur i rzuciło snop czerwonej poświaty na dziecko, Jana i cały domek.

— Acha... widzę, że chcesz mej córce być ojcem chrzestnym! — powiedział znowu Jan.

Słońce nie dało bezpośredniej odpowiedzi, tylko jeszcze jaśniej zabłysło, potem zaś przyśloniło się znowu welonem chmur i znikło.

Znowu rozległo się wołanie Katarzyny:

— Czy był kto? Słyszałam, że mówiłeś do kogoś. Nie mogę czekać dłużej, wracaj do domu.

— Teraz już mogę wrócić! — zgodził się i zaraz wszedł do izby. — Zdybałem pewną znakomitą damę. Ale śpieszno jej było bardzo, zaledwo ją mogłem pozdrowić i zaraz się oddaliła.

— Szkoda! Czekaliśmy tak długo! — narzekała Katarzyna. — Czy jednak spytałeś ją o imię, może ci zbrakło czasu?

— Spytałem. Miała na imię Klara Fina Gulleborga⁸. Tylem się dowiedział.

⁸*Klara Fina Gulleborga* — imiona znaczące, por. szw. *fin*: doskonały, świetny, bez skazy, subtelny; *klar*: czysty, jasny; *gullig*: słodki, miły, kochany; *borg*: zamek, forteca, twierdza. [przypis edytorski]

— Klara Fina Gulleborga! — zawołała Katarzyna. — To przecież zbyt pańskie imiona dla naszej córki! — Ale nie sprzeciwiała się.

Jan przeraził się tego, co mu się przydarzyło i zdziwił się swej śmiałości, iż sięgnął tak wysoko, by słońce brać za ojca chrzestnego dla swej córki. Ale trudno, ile razy brał na ręce swe dziecko, coś się z nim działo i stawał się zgoła innym człowiekiem.

CHRZEST

Kiedy małą miano zawieźć na plebanię, a potem do kościoła dla chrztu, zachował się ojciec jej Jan w sposób tak głupi, że go omal nie zwymyślała żona własna i rodzice chrzestni i to ostatnimi słowy.

Mieli ją do chrztu trzymać Eryk i żona jego, gospodarstwo z Falli. Erykowa wzięła dziecko na ręce i siadła do bryczki, a Eryk szedł obok piechotą, kierując koniem. Pierwszy kawałek drogi, aż do huty duwneńskiej był tak zły, że nie można tego było w ogóle nazwać drogą,

toteż Eryk, wioząc niechrzczone dziecko, nie zaniedbał środków ostrożności.

Jan przyglądał się bacznie przygotowaniom do drogi. Sam wyniósł dziecko z izby i oddał gospodyni, a nikt lepiej nadeń nie wiedział, w jak pewne je oddaje ręce. Eryk z Falli w powożeniu był równie zaufania godny, jak w każdym innym uczynku swoim, wiedział to Jan doskonale. Erykowa z Falli urodziła siedmioro dzieci i wychowała, o czym Jan równie dobrze wiedział. Przeto nie miał najmniejszego powodu do obaw ani żadnych wątpliwości.

Kiedy jednak odjechali, a on straciwszy ich z oczu, poszedł na ugorzysko Eryka z motyką, uczuł nagle strach wielki, a niepojęty zgoła. Cóż by się stało, gdyby nagle koń Eryka spłoszył się i poniósł? Albo gdyby proboszcz upuścił dziecko w chwili odbierania go z rąk chrzestnej matki? Albo gdyby gospodyni z Falli owinęła dziecko w taką ilość różnych chustek, że po przybyciu na plebanię okazałoby się, iż zostało zaduszone?

Jan powtarzał sobie po kilka razy, że bardzo to głupio z jego strony bać się i trapić bez powodu, gdy ma za rodziców chrzestnych swego dziecka ludzi tej miary co Erykowie⁹ z Falli. Ale strach nie dał się odpędzić i za chwilę tak go chwycił, że nie mógł ścierpieć. Odrzucił motykę i jak stał, w roboczej odzieży, udał się prosto na plebanię.

Dla pośpiechu obrał drogę na przełaj, poprzez góry i maszerował co siły w nogach. Eryk z Falli, wjeżdżając w obejście gospodarskie plebani natknął się, jako na pierwszego człowieka, na Jana Andersona ze Skrołyki.

Jest to rzecz wprost nieprzyzwoita, by rodzice byli obecni podczas chrztu swego dziecka w kościele, toteż Jan spostrzegł zaraz niezadowolone miny rodziców chrzestnych, gdy zobaczyli, że przyszedł. Eryk nie skinął nań wcale, wyprzęgając konia, by mu pomógł i dokonał tego sam. Podobnie też, nie zwracając nań uwagi i nie rzekłszy słowa, gospodyni z Falli

⁹*Erykowie* — Eryk i jego żona; daw. sposób określania pary małżeńskiej od imienia męża. [przypis edytorski]

uniosła dziecko w górę i przebywszy niewielki kawałek podwórza, weszła do plebańskiej izby czeladnej.

Czując, że chrzestni nie chcą go widzieć, nie śmiał Jan zbliżyć się do nich, kiedy jednak mijala go gospodyni, posłyszał dolatujący z chustek pisk młodego kurczęcia i przekonał się, że dziecka nie uduszono w drodze.

Powinien był teraz wracać prosto do domu. Niestety, zbudziła się w nim zupełna pewność, że proboszcz upuści dziecko na ziemię, a przeto nie mógł odejść, ale przeciwnie chciał uczynić co trzeba, by zapobiec złemu.

Czekał przez chwilę na podwórzu, potem podszedł ku plebanii i wszedł na ganek.

Najgorszy nietakt, jakiego się dopuścić może ojciec dziecka, to kiedy zjawia się osobiście u plebana, a sprawę pogarszał tu jeszcze fakt, że Jan miał takich kumotrów jak Eryka z Falli i jego żonę. Kiedy się tedy wśliznął nieśmiało do kancelarii proboszcza podczas świętego obrządku, w brudnym odzieniu roboczym i nie było możliwości pozbycia się go, oboje rodzi-

ce chrzestni postanowili uroczyście po powrocie do domu zwymyślać Jana porządnie za ten uwłaczający im postępek.

Chrzest odbył się, jak należy, bez najmniejszego przypadku, a Jan nie miał żadnego usprawiedliwienia dla swego nierozumnego czynu. Przed samym też końcem otworzył cichaczem drzwi i wysliznął się na ganek. Widział na własne oczy, że i bez niego wszystko szło pomyślnie.

Po chwili ukazał się w progu Eryk z Falli wraz z żoną swoją. Chcieli przejść do izby czeładnej, gdzie leżały chustki, z których gospodyni wymotała dziecko, udając się do kancelarii.

Eryk poszedł przodem i otworzył przed żoną drzwi. W tej jednak chwili, wypadły z wnętrza dwa młode koty na ganek i skłębiły się tuż pod nogami idącej, tak że się potknęła i straciwszy równowagę uczuła, iż pada na ziemię.

Błyskawicznie przemknęło jej przez myśl:
„Upadnę wraz z dzieckiem i zgmiotę je ciężarem własnym. Tego nieszczęścia nie zapomnę przez całe życie!”

Ale w tej chwili pochwyciły ją czyjeś silne dłonie i przytrzymały. Gdy się obejrzała, zobaczyła, że przyszedł jej z pomocą Jan ze Skrołyki, który przystanął tuż obok wejścia, jakby wiedział, że będzie tutaj niezbędnie potrzebny.

Zanim gospodyni z Fali przyszła do siebie ze strachu i zdobyła się na słowo, Jan znikł gdzieś. Przybywszy z mężem do domu, zastała go na ugorzysku z motyką, pracującego zawzięcie.

Po zapobieżeniu nieszczęściu, uczuł taki spokój ducha, że wrócił niezwłocznie do domu w najweselszym nastroju.

Ani Eryk z Falli, ani jego żona nie uczynili mu żadnej uwagi z powodu niestosownego zachowania się podczas obrzędu chrztu. Przeciwnie, gospodyni zaprosiła go uprzejmie na kawę, mimo że był ubrany jak do roboty i zachlapany gliną przy pracy na rozmokłym jesienną porą ugorzysku.

SZCZEPIENIE

Kiedy miano szczepić córkę Jana ze Skrołyki, nie sprzeciwiano się wcale, by był obecny przy tym obrzędzie, zwłaszcza, że głośno chęć tę wobec wszystkich wyjawiał. Szczepienie odbyć się miało pewnego wieczoru w sierpniu i kiedy Katarzyna wyruszyła z domu, zmierzch już padał gęsty. Toteż rada była, że ma kogoś przy sobie w drodze trudnej, przez doły, rowy i płoty wiodącej.

Dzieci szczepić miano w domu Eryka z Fali, a Erykowa roznieciła na kominie ogromny ogień, by było jasno. Na stole, gdzie kościelny miał dopełniać swych czynności, świeciła się jeno mała łojówka, przeto ognisko wcale zbyteczne nie było.

Mieszkańcy Skrołyki zauważyli, podobnie jak i inni przybysze, że izba czeladna dzisiaj jaśnieje światłem niezwyčajnym, atoli tym ciemniejsza wydała się czerń na dworze, stojąca niby nieprzenikniony mur tuż za ścianami. W takich warunkach rozmiary izby czeladnej stały

się jakby mniejsze niż zazwyczaj. Z czerni owej wynurzały się co chwila pod oknami kobiety z dziećmi na rękach i drzwi otwierały i zamykały się raz po raz. Malcy nie mieli więcej nad rok życia, toteż wszystkie przynoszono zamatulone¹⁰ w chustki, niby naręcza bielizny.

Kobiety rozwijały swe maleństwa, a po wszystkich kątach piętrzyły się chustki, szale i okrycia. Matki zdejmowały też z maleństw barchanowe sukienki i rozluźniały tasiemki przytrzymujące koszulki, aby prędko odsłonić górną część ciała w chwili, gdy kościelny zawezwie do stolika.

W izbie panowała dziwna cisza, mimo że mnóstwo w niej było krzykalskich. Malcy gapiłi się na siebie wzajem i sprawiało im to widocznie taką przyjemność, że całkiem zapomnieli o wrzasku. Matki trwały również w milczeniu, by lepiej słyszeć, co mówi kościelny, rozmawiający przez cały czas z wszystkimi.

— Wielka to dla mnie przyjemność — mówił — gdy mogę chodzić od wsi do wsi całe-

¹⁰*zamatulony* — *opatulony*. [przypis edytorski]

go okręgu i szczepiąc, patrzeć na tyle ślicznych malców. Przypatrzmyż się tedy temu rocznikowi, zali wytrzyma porównanie z innymi...

Był on nie tylko kościelnym, ale zarazem nauczycielem i od czasów niepamiętnych mieszkał w parafii. Szczepił on już matki, uczył je, asystował przy ich konfirmacji, był świadkiem ślubów, a teraz oto szczepił dzieci. Po raz pierwszy zetknęły się dzisiaj malcy z owym człowiekiem, który w całym ich późniejszym życiu odgrywać miał tak wielką rolę.

Z początku wszystko szło pomyślnie. Jawiła się jedna matka po drugiej, siadała na krześle przy stole i trzymała dziecko w ten sposób, by światło padało na obnażone lewe ramię maleństwa. Kościelny, rozmawiając ciągle, czynił trzy sakramentalne nacięcia na białej, lśniącej skórze, a dziecko nie wydawało nawet okrzyku.

Potem matki podchodziły ku ognisku i trzymały malców przez pewien czas w bliskości ognia, by szczepionka należycie zaschła. Czyniąc to, myślała każda o tym, co usłyszała od kościelnego i radowała się opinią, jaką wydał o dziec-

ku. Rozpamiętywała z lubością, iż uznał je za zdrowe, dorodne i prorokował, że stanie się jej pociechą, pomocą w gospodarstwie i że wyrośnie na równie dzielnego człowieka, a może dzielniejszego jeszcze niż dziadowie i pradziadowie.

Wszystko odbywało się sprawnie i cicho aż do chwili, gdy przyszła kolej na Katarzynę ze Skrołyki. Gdy usiadła na krześle z Klarą, mała zaczęła się bronić, objawiając najwyższą niechęć. Krzyczała i trzepała rączkami, mimo że kościelny przemawiał do niej łagodnie i przymilnie i mimo usiłowań matki, chcącej ją uspokoić.

Opanował ją jakiś dziki strach, tak że Katarzyna musiała odejść na bok i ciszyć małą, a tymczasem zaszczepiono tłustego, wielkiego chłopca, który zniósł tę operację, nie wydawszy wcale głosu. Katarzyna wróciła ponownie ku stolikowi, ale Klara natychmiast rozpoczęła swój poprzedni występ i o szczepieniu nie mogło być mowy. Mała rzucała się tak, że kościel-

ny ani razu nie był w stanie dotknąć nożykiem jej ramienia.

Klara była ostatnim niezaszczepionym jeszcze dzieckiem w całej izbie i Katarzyna wpadła w bardzo zły humor z powodu niewłaściwego zachowania się swej córki. Nie wiedziała też, co czynić i rozglądała się wokoło, gdy nagle wystąpił z ciemności koło drzwi stojący Jan.

Wziął małą na ręce, a Katarzyna wstała z krzesła, by mu zrobić miejsce.

— Ano, spróbuj — powiedziała — może tobie powiedzie się lepiej! — W głosie jej przebijało nieco pogardy, gdyż nie uważała pod żadnym względem za coś lepszego od siebie podrzędnego, odprawionego ze służby parobka Eryka z Falli, który został jej mężem.

Zanim Jan usiadł, zrzucił kaftan i oto pokazało się, że korzystając z ciemni, zawinął wysoko lewy rękaw koszuli.

Wyciągnął ku kościelnemu nagie ramię i powiedział, że rad by się też zaszczepić. W ciągu całego życia raz tylko był szczepiony, a niczego się tak nie obawiał jak ospy.

Ujrawszy nagie ramię, Klara uspokoiła się w jednej chwili i patrzyła na ojca z uwagą niezmierną, rozwierając szeroko mądre swe oczy.

Przyglądała się bacznie, jak kościelny robił trzy nacięcia na ramieniu, które podchodziły krwią. Wodziła spojrzeniem z jednego na drugiego i zmiarkowała, że ojcu nic się złego nie stało.

Gdy kościelny skończył operację, Jan zwrócił się doń i powiedział:

— Teraz dziecko uspokoiło się całkiem, może by spróbować raz jeszcze?

Kościelny w istocie spróbował jeszcze raz i rzecz powiodła się nadspodziewanie! Klara patrzyła na nożyk, tnący jej skórę, z miną skupioną i mądrą i nie wydała ani jednego krzyku.

Kościelny milczał również, gdy zaś skończył, powiedział do Jana:

— Jeśli uczyniłeś to, Janie, tylko dlatego by uspokoić małą, to mogliśmy udać, że zapuszczamy szczepionkę... wystarczyłoby to, jak sądzę, całkiem...

Jan mu przerwał i rzekł:

— O nie... nie... panie kościelny, nie udałoby się to na pewno. Nie ma na świecie drugiego takiego dziecka. Nie można tej małej okpić, nie można w nią wmówić czegoś, co nie jest rzetelną prawdą.

ROCZNICA URODZIN

W dniu, w którym Klara ukończyła pierwszy rok życia, ojciec jej pracował znowu na ugorzysku Eryka z Falli, przekopując motyką lepłą glinę.

Kopał i usiłował przypomnieć sobie, jak to się działo wówczas, kiedy nie miał jeszcze nikogo, o kim by mógł myśleć podczas pracy w polu, wówczas, kiedy serce w piersiach jego nie umiało jeszcze bić mocno, kiedy nie tęsknił wcale i nie odczuwał żadnego niepokoju.

— Dziwne, że człowiek może żyć w ten sposób! — rzekł głośno i uczuł wielką dla siebie samego pogardę.

— Tak, w tym cała rzecz! — ciągnął dalej. — Choćbym był tak bogaty, jak sam Eryk

z Falli, albo tak silny jak Börje, który tam opodal kopie w polu, niczym by to było wobec tętniącego serca, które żyje w piersi mojej.

Spojrzał w stronę, gdzie pracował Börje, osiłek wielki, który podolał dwa razy lepiej każdej pracy niż on, iż paliła mu się po prostu w rękach. Ale gdy tak patrzył, wydało mu się, że Börje dziś nie robi tak sprawnie i nie dokonał tyle co zazwyczaj.

Obaj robili u Eryka z Falli na akord, a Börje odstawiał zawsze dwa razy tyle co Jan, ale zazwyczaj kończyli pracę razem, a dzisiaj dziwnym trafem Börje nie tylko go nie prześcignął, ale został daleko w tyle za słabszym nierównie Janem.

Jan chciał co prędzej wrócić do swej córeczki, toteż wkładał w robotę cały wysiłek, do jakiego był zdolny. Tęsknił dziś do niej dużo więcej jeszcze niż zazwyczaj, a przy tym nie schodziło mu z myśli, że dziecko bywa wieczorem śpiące, toteż może zasnąć, zanim zdąży wrócić z roboty. I na nic będzie wszystko.

Gdy skończył pracę, zauważył, że Börje doszedł ledwo do połowy zagona, co nie zdarzyło się dotąd nigdy, chociaż od dawna już pracowali razem. Zdziwiło to Jana do tego stopnia, że podszedł do Börjego.

Börje stał w głębokiej jamie i usiłował wyważyć łopata wielką, zbitą grudę ziemi na wierzch. Trafił przypadkiem na kawałek szkła i skaleczył się dotkliwie w stopę. Nie mógł wdziać buta, więc łatwo zrozumieć, jak strasznie było mu naciskać łopatę okaleczoną, bosą nogą. A inaczej nie chciała wchodzić w glinę przerosłą kamieniami.

— Daj lepiej spokój! — powiedział Jan.

— Nie, muszę skończyć! — odrzekł Börje. — Nie dostanę żyta od Eryka z Falli zanim skończę ten zagon, a nie mam już w domu ani szczypty mąki.

— Ano to dobranoc! — powiedział Jan.

Börje nie odrzekł nic. Był tak zmęczony i znękanym, że nie mógł się zdobyć na zwyczajne nawet pozdrowienie.

Jan doszedł do końca pola i nagle zatrzymał się. „Cóż stąd przyjdzie twojej córce, że przyjdiesz do niej w rocznicę urodzin? — rzekł sam do siebie. — I bez ciebie dobrze jej, a Börje ma w domu siedmioro dzieci, których nie może wyżywić. Czyż zniesiesz, by głodowały, a sam pójdiesz bawić się ze swoją Klarą Gullą?”

Wrócił do Börjego, stanął obok niego i jął się ostro roboty. Ale był już zmęczony własną pracą, przeto nie szło mu sporo i zmierzch już zapadł, zanim skończyli zagon.

„Klara śpi już od dawna!” — pomyślał Jan, odrzucając łopate. — Dobranoc! — powiedział Börjemu po raz drugi.

— Dobranoc! I dzięki za pomoc! — odrzekł Börje. — Zaraz pójde po obiecane żyto! Odplacę ci to niedługo, Janie, możesz być pewny!

— Nie chcę zapłaty! Dobranoc!

— Jak to? — zdziwił się Börje. — Nie chcesz nic za swą pracę? Od kiedyż to stałeś się tak wspaniałomyślny?

— E... to... tylko dziś! Jest to bowiem rocznica urodzin mojej małej! — rzekł Jan.

— Tak? I dlatego to pomagałeś mi w kopaniu?

— Właśnie dlatego... i jeszcze z innego powodu... dobranoc Börje!

Jan oddalił się szybko, aby nie być zmuszonym wyjawiać owego drugiego powodu. Czuł, że powie. Świerzbiał go język, by powiedzieć:

— Dzisiaj rocznica urodzin Klary Gulli, a także rocznica urodzin mego serca...

Dobrze się stało, że do tego nie doszło, bo Börje byłby niewątpliwie sądził, że Jan dostał bzika.

DZIEŃ BOŻEGO NARODZENIA

Kiedy małej Klarze minął rok, wziął ją Jan Anderson w dzień Bożego Narodzenia ze sobą do kościoła na nabożeństwo.

Żona uczyniła wprawdzie uwagę, że dziecko jeszcze za małe jest, by je brać ze sobą na tak uroczysty obchód i że może się zachowy-

wać równie niewłaściwie jak wówczas, podczas szczepienia.

Ale Jan postawił na swoim, tym łatwiej, że nie sprzeciwiało się to wcale przyjętym zwyczajom i nie było rzeczą niewłaściwą iść do kościoła z dziećmi, choćby były nawet całkiem małe.

Wczesnym tedy rankiem w Boże Narodzenie wybrali się mieszkańcy Skrołyki w drogę, wyruszając wraz z Klarą Gullą z domu już o piątej z rana. Niebo przysłaniały chmury i ciemność panowała głęboka, ale powietrze było łagodne, niezwykle nawet łagodne, a przy tym ani śladu wiatru, co się często zdarza w tych okolicach przy końcu grudnia.

Droga wiodła zrazu wąskimi miedzami dzielącymi pola lub ścieżynami pośród zagajników askaladarneńskiej kotliny. Potem wędrowcy musieli piąć się stromą percią, zawianą śniegiem, biegnącą po upłazie Snipy, a dopiero poza tym rozpoczynała się jaka taka droga.

Wielki, dwupiętrowy dwór we Falli połykiwał światłem, bowiem w każdym oknie płonęły świece i wydawał się idącym jakby latar-

nią morską, przy której blasku dotarli z niejakim zresztą trudem do domu Börjega. Tam napotkali kilku sąsiadów, którzy poprzedniego wieczoru przysposobili sobie pochodnie i teraz przyświecali w drodze. Do nich przyłączył się Jan z Katarzyną. Każdy, kto miał pochodnię, szedł w małej grupce znajomych. Przeważnie wszyscy milczeli, ale panował nastrój wesoły. Wydawało się wędrownikom, że są jak królowie, czy mędracy ze Wschodu, zdążający do żłóbka przy blaskach cudownej gwiazdy, by oddać pokłon nowo narodzonemu.

Wydostawszy się na linię lasów, cała gromada musiała przejść koło wielkiego, skalnego bloku, który swego czasu pewien gigant, mieszkający we Frykerudzie, rzucił na kościół swartsjoeński w sam poranek Bożego Narodzenia. Ale kamień przeleciał szczęśliwie ponad wieżą kościelną i spadł bez szkody na upłaz Snipy.

Gdy idący zbliżyli się, skała ta leżała jak zawsze spokojnie, ale wszyscy wiedzieli, że tej nocy podniosła się nad ziemię, uniesiona na

dwunastu złotych filarach i że pod nią trolle, olbrzymy i diabły urządzały sobie ucztę, pija-tyki i tańce aż do świtu.

Nie zaliczało się wcale do przyjemności przechodzić wczesnym rankiem w samo Boże Narodzenie koło tego kamienia i Jan zerkał raz po raz ku Katarzynie, chcąc się przekonać, czy trzyma dziecko mocno u piersi.

Katarzyna szła pewnym krokiem spokojnie jak zawsze i rozmawiała półgłosem z sąsiadką. Ani jej w głowie było myśleć o niebezpiecznym miejscu, w jakim się właśnie znajdowała.

Znaleźli się pośród lasu wysokopiennych, prastarych, wytrzymałych na burze jedli. Pochodnie rzucały błyski na ich czerwone filary, na olbrzymie czapy ze śniegu, zwieszające się z koron, a temu, kto umiał patrzeć, nasuwała się nieodpornie¹¹ myśl, że pośród nich stoją przyczajone, postać jedli na się biorące trolle, złe olbrzymy ludziom wrogie, patrzące złośliwie spod śnieżnych kołpaków i wysuwające pazury z białych rękawic.

¹¹*nieodpornie* — dziś: nieodparcie. [przypis edytorski]

Póki stały spokojnie, pól biedy jeszcze było, ale któż mógł wiedzieć, czy się nie spodoba któremuś sięgnąć długą grabą i porwać człowieka? Mniejsza o dorosłego, wyplątałby się jakoś z bożą pomocą, ale Jan słyszał często, że trolle mają upodobanie do małych dzieci, a im mniejsze, tym im się podobają bardziej.

Wydało mu się, że Katarzyna postępuje lekkomyślnie i nie dość mocno trzyma dziecko. Niewielka to była sztuka dla olbrzyma sięgnąć pazurzastą łapą i wyrwać jej Klarę. Jan nie śmiał jednak odbierać jej dziecka tutaj, w tym niesamowitym miejscu. Właśnie to mogło rozgniewać potwory i pobudzić je do napaści.

Już i bez tego zaczęło coś trzaskać, szumieć i szeptać górą, tam gdzie wisiały śniegowe czapy, jakby giganty wyciągały członki i zbierały się do ataku.

Jan nie miał odwagi pytać innych, czy widzą i słyszą to co on, bo właśnie owo pytanie mogło rozgniewać potwory i wprawić je w ruch. Nie wiadomo, czym je rozgniewać można.

W udreće tej nie mógł uczynić nic innego, jak tylko zacząć pieśń nabożną.

Nie miał głosu ni słuchu i dotąd wobec innych nie wyrywał się nigdy śpiewać. Nie umiał jakoś trafić na ton właściwy, toteż nawet w kościele nie ważył się brać udziału w śpiewie. Ale teraz było mu wszystko jedno jak śpiewa, byle tylko śpiewać dla ocalenia córki.

Widział, że ci, co idą przed nim, dziwiają się, że się trącają łokciami, że się na niego oglądają. Nie robił sobie z tego nic, śpiewał dalej przeraźliwie z wytrwałością wilka.

Posłyszał za chwilę szept jednej z kobiet:

— Zaczekajcieno, Janie. Pomogę wam!

Zaintonowała zaraz pieśń jak należy i wnet rozległ się hymn Bożego Narodzenia:

Zeszedł na ziemię Pan,
Którego głoszono od wieka
Ku wybawieniu człowieka...

Przez las potworów przebiegło straszliwe drżenie. Trolle nasunęły czapy śniegowe na czo-

ła, tak że znikły pod nimi ich szatańskie oczy, cofnęły pazurzaste, gotowe chwycić ręce i wepchnęły je w zaspy. Gdy prześpiewano pierwszą zwrotkę, nikt nie mógł już dostrzec na przełęczu nic innego prócz zwykłego lasu starych, wyhodowanych w walce z wichrami wysokopiennych jedli, nikomu zgoła niemogących krzywdy uczynić.

Powoli dopaliły się pochodnie, przyświecające Askaladarńczykom w wędrówce przez las i w tej samej chwili gromada dobiła do gościńca. Tutaj już łatwo było iść, bo co chwila jawiła się rzęsiście oświetlona chata. Gdy jedna ginęła z oczu, zaraz ukazywała się druga w niewielkiej odległości. Mieszkańcy postawili, ile mieli, świec i lamp w oknach, aby w ten sposób wędrującym do kościoła z całej parafii wiernym ułatwić drogę.

Nareszcie znaleźli się na wzgórzu, z którego mogli zobaczyć sam kościół. Mieli go tuż przed sobą. Światłość buchała z wszystkich okien, tak że wyglądał jak olbrzymia latarnia.

Mimo woli na ten widok przystanąli, bowiem obraz tego domu bożego wprowadził ich w wielkie wzruszenie. Wydał im się po wszystkich owych niskich domkach, jakie minęli, nadziemsko wielki i niezrównanie świetlisty.

Patrząc na kościół, wspomniął Jan zaraz owych dwoje biednych ludzi z Palestyny, którzy wędrowali przez całą noc z małym Dzieciąciem, będącym całą ich pociechą i skarbem życia. Szli z Betlejem, zmierzając do Jerozolimy, by w świątyni dopełnić na Dziecku obrządku obrzezania. Musieli jednak skradać się potajemnie i kryć, bowiem Dzieciąciu zagrażało niebezpieczeństwo z rąk wielu ludzi.

Askaladerńcy wyruszyli z domu bardzo wcześnie, aby uprzedzić jadących do kościoła końmi, ale tuż pod kościołem dopędziły ich sanie i konni. Bogatsi nadjeżdżali z pobrzękiem dzwonków, śmigając zwawo, a konie rozpuścili galopem. Toteż biedni piechurzy musieli zmykać z drogi, chroniąc się na wysokie wały śniegu, ciągnące się po obu stronach gościńca.

Jan niósł teraz dziecko i musiał co moment ustępować nadjeżdżającym. W dodatku migotliwe światła pojazdów nie oświecały drogi, a ćmiły tylko wzrok, tak że posuwał się naprzód z wielką trudnością ku promieniejącej świątyni. Pragnął dotrzeć tam co prędzej, mając nadzieję, że gdy dojdzie, wszystko będzie dobrze.

Nagle rozległ się tuż za nim rześisty podźwięk i tętent kopyt końskich po śniegu. Nadbiegły duże sanie zaprzężone w dwa konie, w których Jan zobaczył młodego, wykwintnego pana w czarnym futrze i wysokiej czapie, a obok niego młodą damę. Pan sam powoził, a z tyłu stał służący z rozbłysną jasno pochodnią w podniesionej ręce. Płomień jarzył się w pędzie, zostawiając za sobą długi ogon dymu przetykany iskrami.

Jan stał na wale śnieżnym u skraju drogi. Nie było tu wcale bezpiecznie. Co chwila zapadała mu to jedna, to druga noga i lada chwila mógł upaść. Spostrzegł to pan, ściągnął cugle i przywołał Jana, którego spędził z gościńca.

— Człowieku! Daj dziecko! Zawiozę je w san-
kach do kościoła i oddam u wejścia! — po-
wiedział uprzejmie. — Tyle tu różnych sani, że
niebezpiecznie iść pieszo z dzieckiem na rękę.

Ale Jan odrzekł:

— Dziękuję pięknie! Dam sobie radę!

— Posadzimy maleństwo między sobą, Ja-
nie! — dodała dama. — Nic mu się nie stanie.

— Dziękuję pięknie! — powtórzył Jan. —
Jakoś sobie poradzę!

— Aa... więc boisz się wypuścić z rąk mal-
ca? — powiedział młody pan, roześmiał się i po-
jechał dalej.

Wędrowcy szli dalej, ale droga stawała się
coraz to niebezpieczniejsza i mozolniejsza. Sa-
nie sunęły za saniami. Nie było w całej para-
fii konia, który by nie ruszył w drogę owego
poranku świątecznego¹², a kto żył, udał się do
kościółka.

— Czemużeś nie oddał dziecka? — spytała
Katarzyna. — Boję się, byś się z nim jeszcze nie
przewrócił!

¹²świątecznego — dziś: świątecznego. [przypis edytorski]

— Jak to? Miałem im oddać dziecko? —
spytał — Kobieto, nie wiesz chyba, co mówisz?
Czyż nie wiesz, co to byli za ludzie?

— Cóż by się było stało małej, gdyby ją
zabrali właściciele huty duwneńskiej?

Jan stanął nagle osłupiały.

— Czyż to był właściciel huty ze swoją żo-
ną? — spytał takim głosem, jakby się obudził
z głębokiego snu.

— Naturalnie, byli to państwo z Duwna.
Za kogóż ich wzięłeś?

I prawda! Gdzież to wędrowały myśli Jana?
Cóż to było za dziecko, które niósł przez cały
czas na rękę? Dokądże zmierzał z nim? Jakiż to
kraj wokoło?

Przetarł dłonią czoło i odrzekł z miną wiel-
ce zakłopotaną i zawstydzoną:

— A ja myślałem, że to król Herod judej-
ski z żoną swoją, Herodiadą...

SZKARLATYNA

Gdy córka Jana miała około trzech lat, zapadła na chorobę, słusznie zwaną szkarlatyną, gdyż ciało jej stało się szkarłatne i parzyło, gdy się go było dotknąć, jak ogień. Mała nie chciała jeść, a nie mogła też spać. Leżała nieprzytomna w swym łóżeczku i mówiła od rzeczy. Jan nie mógł się zdobyć na to, by odejść z domu i przez cały czas choroby córki po całych dniach i nocach przesiadywał przy niej. Wydawało się, że w tym roku żyto Eryka z Falii nie zostanie wymłócone.

Nad chorą czuwała Katarzyna. Póki dziewczynka była zdrowa, zajmował się nią przeważnie ojciec, ale gdy się rozchorowała, nie śmiał się do niej zbliżyć. Bał się, że może jej zaszkodzić lub nie dosyć delikatnie dotknąć się jej.

Ale nie wydalął się z domu, tylko siedział w kącie przy piecu, z oczyma wlepionymi w małą i patrzył, jak Katarzyna pielęgnowała Klarcię, jak ją okrywała, ile razy zrzuciła kołderkę,

i poiła rozcieńczonym sokiem borówkowym, który dostała od gospodyni z Falli.

Dziecko leżało we własnym łóžeczku, ale na samym tylko sienniku, wypchanym słomą, bez prześcieradła. Grube, zgrzebne płótno i twarda wyściółka dotkliwie dawać się musiały we znaki biednemu, napuchłemu i pokrytemu krostami, a przez to bardzo wrażliwemu ciałku dziecka.

Ile razy Jan widział, jak mała rzuca się w gorączce po pościeli, przychodziła mu na myśl najpiękniejsza rzecz, jaką posiadał na świecie, to jest koszula do stroju niedzielnego.

Miał jedną tylko, ale uszyta była z cienkiego, połyskującego, śnieżnego płótna i miała sztywny, krochmalny gors. Zrobiona była tak pięknie, że mógł ją nosić sam nawet właściciel duwneńskiej huty, a Jan obchodził się z nią jak ze świętością. Reszta koszul jego była zgrzebna, podobnie jak siennik, na którym leżała biedna Klarcia.

Wiedział, że daremnie myśli o owej koszuli, bo gdzieżby też Katarzyna zezwoliła na jej

podarcie! Wszakże sama mu ją uszyła do ślubu!

Katarzyna uczyniła dla chorego dziecka wszystko, co było w jej mocy. Wypożyczyła od Eryka z Falli bryczkę, otuliła Klarcie we wszystkie posiadane chustki i zawiozła do miasta, do lekarza. Dzielną była kobietą Katarzyna, ale owa bytność w mieście nie dała żadnego skutku. Podobnie też nie pomogła na włos wielka flaszka lekarstwa, przywieziona z apteki, ani najściślejsze stosowanie zaleceń lekarza.

Jan siedział dręczony myślami. Rodzice, którym Bóg dał tak niezwykle dziecko, jak Klara Gulla, winni są poświęcić dlań wszystko, co najlepszego posiadają. Inaczej nie będą godni, by dziecko to żyło z nimi długo. Tak jest niewątpliwie, ale któż posiada tyle wymowy, by Katarzynę przekonać, że tak jest w istocie?

Dziecko gorączkowało ciągle, a w czasie onym zjawiała się u Jana Karin, Finka z pochodzenia. Jak wszystkie Finki umiała Karin zamać rozmaite choroby u bydła, a ponadto posiadała władzę leczenia drobniejszych niedoma-

gań u ludzi, mianowicie jęczmienia na powiece, robaków w żołądku oraz rozlicznych czyraków i wrzodów. O ile szło o choroby poważniejsze, nikt nie chciał zasięgać jej porady, bowiem za rzecz bezbożną uznawano wzywać czarownicę, gdy szło o coś więcej ponad pomniejsze dolegliwości codzienne.

Karin, wszedłszy do izby, od razu zobaczyła, naturalnie, chore dziecko, a Katarzyna powiedziała jej, że ma szkarlatynę. Ale ani matka, ani ojciec nie prosili Karin o radę.

Karin widziała dobrze niepokój i troskę rodziców. Toteż gdy została pogoszczona kawą i otrzymała od Jana cały skrętek tytoniu, powiedziała sama z siebie:

— Nie jest w mojej mocy uleczyć dziecko z tej choroby, ale pouczę was, w jaki sposób sami możecie się dowiedzieć, czy choroba ta zakończy się śmiercią, czy dziecko żyć będzie. Czuwajcie do północy, potem zegnijcie palec wskazujący i wielki lewej ręki w ten sposób, by powstało kółko i przez nie spojrzycie na dziec-

ko. Uważajcie bacznie na to, co obok małej leży w łóżku, a dowiedziecie się, co czeka waszą córkę.

Katarzyna podziękowała jej gorąco, bo z takimi ludźmi najlepiej być na dobrej stopie i dołała jeszcze kawy. Ale ani jej w głowie było postąpić według rady czarownicy.

Również i Jan nie przypisywał tej radzie żadnego znaczenia. Myślał bezustannie o koszuli, żałując, że mu brak odwagi wystawić się na gniew Katarzyny.

Nie mógł w żaden sposób prosić jej, by mu pozwoliła podrzeć podarek ślubny. Wiedział, że nie przyniesie to wielkiej ulgi biednemu dziecku, a jeśli ma umrzeć, to koszula będzie po prostu zmarnowana.

Gdy nastał wieczór, udała się Katarzyna jak zawsze do łóżka, ale Jan zbyt był niespokojny, by spać, nie kładł się tedy i siedział dalej w kącie przy piecu. Widział, jak Klarcia wije się z bólu, bo uraża ją ciągle zgrzebny siennik, i rozważał, jakby to było ślicznie, gdyby jej mógł zrobić miękkie, gładkie, chłodne prześcieradełko.

Koszula leżała w szafie, wyprasowana, czysta i bezużyteczna i na myśl o tym krajało się serce Jana. Z drugiej strony, przykro mu było ranić Katarzynę przez potarganie rzeczy, którą dlań uszyła, w tym celu, by z niej zrobić prześcieradło.

Mimo wszystko, gdy wskazówka zegara zbliżyła się do północy, wstał, zbliżył się do szafy i wyjął koszulę. Przede wszystkim oderwał twarde gors, potem zaś podzielił resztę na dwie części. Jedną podsunął delikatnie pod ciało dziecka, drugą zaś rozpostarł na nim i przykrył ciepłą, grubą kołdrą, pod którą leżało.

Uczyniwszy to, wrócił do swego kąta i czuwał dalej. Za niedługą chwilę zegar wydzwonił północ. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, złożył w kółko palce lewej ręki, podniósł do oka i spojrzał na łóżko dziecka.

To co ujrzał, przepoiło go zdumieniem. Na brzegu łóżka siedział mały, nagusieńki aniołek. Ciało jego nosiło ślady zadrapań i odparzeń od grubego płótna siennika i najwyraźniej wstał, by porzucić niewygodne leże. Nagle ob-

rócił się, dotknął cienkiego, miękkiego płótna koszuli, przesunął po nim rączkami i przerzucając z powrotem nożyny do łóżka, położył się obok chorego dziecka, by czuwać nad nim dalej.

Kiedy aniołek zabierał się do odejścia, wyłazło z drugiej strony coś czarnego, niesamowitego i wychyliło głowę ponad łóżko, radując się, że gdy anioł pójdzie sobie, będzie mogło zająć jego miejsce przy dziecku.

Ale anioł nie dopuścił tego, więc ciemna stwora przeciągła się, wykrzywiła obrzydliwie, potem skurczyła, jakby ją przeniknęła wielka boleść i wijąc się wężowymi ruchy¹³, spełzła powoli ku ziemi.

Następnego dnia Klarcia miała się znacznie lepiej. Choroba się przełamała tej właśnie nocy, a Katarzyna tak była uradowana, że nie miała odwagi czynić wyrzutów Janowi, iż podarł otrzymaną od niej koszulę ślubną. W duchu pomyślała sobie tylko, że ma męża niespełna rozumu.

¹³*wężowymi ruchy* — dziś: wężowymi ruchami. [przypis edytorski]

WIZYTA WE DWORZE

Kiedy małej Klarci szło już na piąty rok życia, wziął ją pewnego niedzielnego popołudnia Jan za rączkę i poszli razem w kierunku lasu.

Minęli cieniste przylaski brzozowe, gdzie zazwyczaj siadywali, minęli również borówczane wzgórze, ba... minęli nawet potok wijący się jarem, gdzie prano bieliznę. Szli i szli, nie zatrzymując się wcale.

Wędrowali ręka w rękę cisi, poważni, zadumani i podróż ta znamionowała, że czeka ich coś niezwykłego, coś uroczystego.

Tam, gdzie na wschodniej stronie zielenieje najgęstszy las, zatonęli pośród drzew, ale nawet i tutaj nie spoczęli jeszcze i ukazali się niebawem po drugiej stronie na porośłym krzakami wzgórzu, powyż¹⁴ Lobby.

Stąd udali się na rozdroże, gdzie bity gości-niec przecina drogę przez wieś i w tym miejscu musiało się na koniec wyjaśnić, dokąd zmierzają.

¹⁴powyż — dziś: powyżej [przypis edytorski]

Ale nie skierowali się do Nesty, ani też do Nysty, nie obrócili się też ku Där-Fram, ani ku Pa-Vallu.

Maszerowali dalej prosto, drogą przez wieś i teraz stało się zupełną zagadką, gdzie leży cel ich podróży. Niepodobieństwem było przypuszczać, by zamierzali złożyć wizytę Björnowi Hindriksonowi w Lobby!

Co prawda, żona Björna Hindriksona była przyrodnią siostrą matki Jana, Jan był więc spowinowacony z najbogatszymi rodzinami w parafii i miał prawo zwać ciotką i wujem Björna Hindriksona i jego żonę. Dotąd jednak Jana jakoś nie obchodziło wcale to pokrewieństwo, a nawet z Katarzyną bardzo rzadko rozmawiał o bogatych wujkach, których miał więcej jeszcze wokoło. Przeciwnie, schodził zawsze z drogi Björnowi Hindriksonowi, a nawet w niedzielę na placu przed kościołem nigdy doń nie przystąpił z pozdrowieniem i uściskiem dłoni, mimo, iż był to zaszczyt niemały.

Teraz jednak, kiedy Jan miał tę małą, przedziwną córeczkę, był on czymś więcej, jak bied-

nym zarobnikiem¹⁵. Posiadał skarb, jakiego nie miał nikt, kwiat, którym mógł się przystroić. Był teraz bogaczem pośród bogatych i potężnych pośród mocarzy. Teraz to udał się wprost do wielkiego dworzyszczka Björna Hindriksona, by po raz pierwszy w życiu odwiedzić krewnych swoich.

Wizyta ona trwała niedługo. W godzinę niespełna kroczył Jan ze swą córeczką z powrotem ku bramie wjazdowej przez obszerne podwórze.

Gdy jednak znalazł się u bramy, stanął i obejrzał się, jak gdyby miał ochotę zawrócić i wejść raz jeszcze do wnętrza.

Nie miał żadnego powodu żałować tych odwiedzin. Nie... nie... nie doznał żadnej przykrości, zarówno on, jak Klarcia zostali przyjęci bardzo życzliwie. Zona Björna Hindriksona zaprowadziła zaraz Klarcie do szerokiej, niebiesko lakierowanej szafy, stojącej pod najszerszą

¹⁵zarobnik — dziś: wyrobnik; robotnik zmuszony pracować dla zarobku (nie mający wystarczająco wiele własnej ziemi, żeby się wyżywić i utrzymać). [przypis edytorski]

ścianą izby i dała jej kawałek placka i cukru. Sam Björn spytał, ile ma lat i jak jej na imię, potem zaś otworzył wielki, skórzany worek, który nosił w kieszeni spodni i darował jej srebrną monetę czteroszylingową.

Jana potraktowano kawą, ciotka wypytywała o Katarzynę, dowiadywała się, czy mają krowę, świnie, czy w domu ich bardzo zimno i czy Eryk z Falli płaci im tyle, byle mogli żyć, nie robiąc długów.

Wizyta miała taki przebieg, że Jan nie mógł się na nic uzalać. Po chwili rozmowy Hindriksonowie oświadczyli, że mają zaproszenie na wieczór i muszą za pół godziny jechać. Jan zrozumiał, że tej pół godziny potrzebują, aby się przystroić, jak należy, przeto wstał i pożegnał się. Wówczas to gospodyni domu szybko podeszła do szafarni, dobyte masło, słoninę, napełniła woreczek kaszą, drugi mąką i związawszy wszystko w chustkę zrobiła tobołek, który przy rozstaniu podała Janowi, mówiąc, że jest to mały podarek dla Katarzyny. Należy jej się

nagroda za to, że nie była na wizycie, ale pilnowała przez ten czas domu.

Wziął, co mu dano, ale pakunek ten wprawił go w wielkie zakłopotanie.

Wiedział, że były tam rzeczy wyśmienite, wspaniałe rzeczy, o których z utęsknieniem wspominali w Skrołyce przy każdym jedzeniu. Ale Jan czuł, że przyjmując te smakołyki, ubliży do pewnego stopnia swej małej córeczce i zrobi jej krzywdę.

Nie, nie przybył on do Björna Hindriksona jako żebrak, ale jako krewny, udający się w odwiedziny do krewnych. Nie wolno Hindriksonom brać sprawy z niewłaściwej strony, pod żadnym warunkiem. Trzeba ich przekonać, jak się rzecz ma.

Przyszło mu to na myśl jeszcze w izbie podczas pożegnania, ale szacunek, jaki żywił dla Björna i jego żony, nie pozwolił mu odmówić wprost przyjęcia datku. Dlatego wziął podany sobie tłumoczek.

Zawrócił od bramy, podszedł kilkanaście kroków i złożył zawiniątko u węgła stajni, tak

że musieli je niezawodnie spostrzec domownicy, chodzący tamtędy nieustannie.

Bolało go bardzo, że zostawia te wszystkie delikatesy na ziemi, ale wszak jego Klarcia nie była córką żebraka i nikt nie będzie śmiał powiedzieć, że wraz z ojcem chodzi do bogatych krewnych po jałmużnę.

EGZAMIN

Klara Fina Gulleborga miała lat sześć, kiedy pewnego dnia powszedniego poszła wraz z Janem do szkoły w Östenby, gdzie odbywał się właśnie egzamin.

Była to pierwsza prawdziwa szkoła w całej parafii, a wszyscy cieszyli się bardzo z jej posiadania. Przedtem musiał kościelny Svarling, pełniący funkcje nauczyciela, zadowalać się wędrowką z jednego dworku do drugiego i wodzić ze sobą swych uczniów.

Aż do roku 1860, kiedy to ukończono nareszcie budowę szkoły, musiał co dwa tygodnie zmieniać lokal szkolny i często wypadło mu

uczyć w izbie, gdzie gospodyni gotowała jedzenie, gospodarz stał u warsztatu i heblował drzewo, tuż obok leżeli niemogący się już podnieść staruszkowie, pod ich zaś łózkami kury gdakały lub wysiadywały jaja.

Mimo to nauka szła zawsze dobrze, bowiem kościelny Svartling zaliczał się do ludzi, którzy umieją w każdych warunkach utrzymać ład i porządek. Niemniej rozkosznego doznał uczucia w chwili rozpoczęcia swych czynności w izbie wyłącznie na naukę przeznaczonej, wolnej od owych zwykłych, a uciążliwych dodatków. Pod ścianami nie było już łóżek ani szaf, ani szafarni, okien nie zasłaniały wysokie warsztaty tkackie, grążąc w cieniu szkołę, a także nie mogła tu już wepchnąć się żadna sąsiadka przynosząca nowinki, paplająca, niby kury co gdaczą i pijąca kawę.

Tutaj mógł zawiesić na ścianach obrazy z historii biblijnej, rysunki roślin i zwierząt oraz wyobrażenia królów szwedzkich. Tutaj też miały dzieci niskie, prawdziwe ławki szkolne i nie były zmuszone siedzieć przy wysokich stołach,

kiedy to nader często nie sięgały nosami umieszczonej gdzieś w górze płaszczyzny, na której leżały książki lub tabliczki.

Tutaj miał nauczyciel katedrę, jak się należy, poza nią półki i szuflady, gdzie mógł chować księgi ze świadectwami i katalogi, a gdy tak podczas nauki siedział wzniesiony ponad poziom klasy, miał minę dostojną, jak nigdy w ciągu całej swej nauczycielskiej kariery. Dotąd siadywał najczęściej na kominie, a dzieci otaczały go półkolem, przysiadłszy na podłodze. Dotąd najczęściej miał poza sobą żar ogniska, teraz czuł się wyśmienicie, stał się człowiekiem osiadłym, miał czarną tablicę, gwoździe do zawieszania map i rycin i nie musiał je opierać o szafy, stoły, czy ławy, jak to czynił przez czas długi.

Wiedział teraz, ile posiada piór gęsich i mógł uczyć dzieci ciągnąć proste kreski i regularne łuki. Zaświtała na koniec nadzieja, że cała parafia wyuczy się z czasem pisać tak pięknie, jak on sam, wreszcie, na czym mu bardzo zależało, mógł teraz ustawiać uczniów w regularne, woj-

skowe szeregi, by w porządku po nauce opuszczały budynek.

Wszyscy byli niewymownie zadowoleni z posiadania szkoły, obok tego jednak pojawiło się nowe uczucie. Oto wydało się rodzicom, że dzieci stały im się obce, od kiedy zaczęły chodzić do nowego budynku. Wydało im się, że dzieci przeniosły się w jakiś inny, dostojniejszy stan, do którego oni nie mieli dostępu. Uczucie to było uzasadnione, ale niesłuszne, bo przecież wielką to powinno było napawać rodziców radością, że dzieciom dostało się coś lepszego, niż im samym i że mogą sięgnąć wyżej.

Onego dnia, kiedy Jan szedł na egzamin, wiódł on przez całą drogę za rączkę swą małą Klarę Gullę, jak to zawsze miało miejsce i rozmawiali ze sobą po przyjacielsku i szczerze.

Gdy jednak Klara Gulla znalazła się w pobliżu szkoły i zoczyła¹⁶ kupkę dzieci, czekających u wejścia, wysunęła dłoń z ręki ojca i przeszła na drugą stronę drogi, znalazłszy się zaś

¹⁶zoczyć — zobaczyć. [przypis edytorski]

pod samym budynkiem, zupełnie zapomniała o Janie i przyłączyła się do współuczniów.

Podczas egzaminu siedział Jan ze Skrołyki na krześle w bezpośrednim sąsiedztwie katedry, pomiędzy wysokimi dostojnikami i członkami rady szkolnej. Był on zmuszony zająć to miejsce, inaczej bowiem nie byłby widział nic prócz pleców Klary Gulli, siedzącej pośród najmłodszych uczniów, w pierwszej ławce na prawo od katedry. Gdyby nie to, za nic w świecie nie byłby się ośmielił siadać na tak poczesnym miejscu. Kto jednak był ojcem tak niezrównanego dziecka, jak Klara Gulla, nie miał powodu, uważać się za coś gorszego niż każdy inny parafianin.

Klarcia z miejsca swego musiała widzieć ojca, inaczej być nawet nie mogło. Mimo to nie spojrzała nań ani razu i wydawało się, że dla niej nie istnieje wcale.

Natomiast wpatrywała się bez przerwy w nauczyciela. Zajęty był on właśnie egzaminowaniem starszych dzieci, siedzących na lewo od katedry. Musiały czytać, pokazywać na mapie

różne kraje i miasta, rachować na wielkiej tablicy, a nauczyciel miał ledwo czas rzucić okiem ku malcom po prawej. Toteż nic by nie szkodziło, gdyby Klara Gulla spojrzała bodaj przelotnie w stronę ojca. Ale ani razu nie zwróciła ku niemu głowy.

Pocieszał się po trosze tym, że czyniły to samo wszystkie inne dzieci. Siedziały spokojnie, z oczyma utkwionymi w nauczyciela i udawały, że rozumieją wszystko, co mówi... ba... nawet kiedy zażartował sobie, trącały się łokciami i śmiały z cicha.

Rodzice nie mogli się wydziwić, że malcy są tak grzeczni i tak przyzwoicie zachowują się podczas długiego egzaminu. Dziwny to był zaiste człowiek ten kościelny Svartling i dokazać musiał wszystkiego, czego tylko chciał.

Jan zaczął doznawać niepokoju i strachu. Nie wiedział już dobrze, czy ta siedząca w pierwszej ławce na prawo dziewczynka jest jego dzieckiem, czy patrzy na córkę jakiegoś innego człowieka. Trapiło go to tak bardzo, że wstał z krze-

sła i przesiadł się bliżej drzwi, pomiędzy wyrobników i sieciarzy.

Na koniec skończył się egzamin starszych, a nauczyciel wziął się do malców, którzy zaledwo posiadli sztukę czytania. Nie mieli wielkiego zapasu wiadomości, musieli jednak również odpowiedzieć na kilka pytań. Zaczęło się od stworzenia świata.

Przede wszystkim spytano je, kto świat stworzył i okazało się, że wiedzą to doskonale. Ale zdarzyło się nieszczęściem, że nauczyciel spytał, czy któreś nie zna jeszcze innego miana, jakim oznaczamy Boga.

Wszyscy malcy zamilkli od razu. Twarzyczki ich poczerwieniały, czoła pokryły się fałdami, widać było wysięk myśli tych małych główek, ale żadne nie mogło znaleźć odpowiedzi na tak niemądre pytanie.

W ławkach, gdzie siedziały starsze dzieci, rozpoczęło się poruszanie podniesionymi rękami, strzyżenie palcami, szepty i chichoty. Ale maleństwa zaciskały usta i nie wiedziały, co powiedzieć, a Klara Gulla wiedziała tyle co i inne.

— Jest pewna modlitwa, którą odmawiamy codziennie — pomagał nauczyciel — jakże w niej zwiemy Boga?

Klara Gulla doznała olśnienia. Zrozumiała, że nauczyciel chce, by powiedziano, że Boga zwiemy także ojcem i podniosła w górę palce.

— Powiedz tedy, Klarcu, jak zwiemy jeszcze Boga? — rzekł nauczyciel.

Zaczerwieniła się mocno, wstała w ławce, a spleciony sztywno warkoczyk wyprostował się z tyłu głowy niby ogonek.

— Boga nazywamy także Janem! — powiedziała donośnie i wyraźnie.

Śmiech się rozległ w całej szkole. Wysocy dostojnicy, radni szkolni i rodzice uśmiechnęli się także, a nawet nauczyciel miał minę wzruszoną.

Klara Gulla spłoszowała, a łzy napłynęły jej do oczu. Ale nauczyciel stuknął mocno w podłogę kijem służącym do pokazywania na mapie i zawołał:

— Cicho!

A potem wyrzekł kilka słów wyjaśnienia.

— Klara Gulla chciała powiedzieć: ojcem! Powiedziała zamiast tego: Janem, bo ojciec jej ma na imię Jan. Ale nie powinniśmy się tak bardzo dziwować, czy jest w całej szkole dziecko, które by miało tak dobrego jak ona ojca. Widziałem nieraz, jak czekał na nią przed szkołą w zawiei i deszczu i jak ją niósł do szkoły na rękę, kiedy śnieg zawiął wszystkie ścieżki. Dlatego to nic dziwnego, że mówi: Jan, gdy chce wyrazić coś najlepszego i najwyższego spośród wszystkiego, co zna.

Pogładził dziewczynkę czule po włosach, a wszyscy uśmiechali się życzliwie i byli mocno wzruszeni.

Klara Gulla siedziała na swym miejscu, nie wiedząc, co począć, ale Jan ze Skrołyki szczęśliwy się czuł jak król, bo znowu stało mu się jasne, że mała dziewczynka w pierwszej ławce na prawo to jego własne, naprawdę własne dziecko.

TURNIEJ EGZAMINOWY¹⁷

Dziwny zachodził stosunek pomiędzy małą dziewczynką ze Skrołyki, a jej ojcem. Zdawać by się mogło, że oboje są wyciosani z jednego kawałka, bo oto umieli wzajem czytać swoje myśli.

W Svartsjö mieszkał nauczyciel, stary, wysłużony wojak. Uczył dzieci mieszkające na samych krańcach parafii, nie miał jak kościelny szkoły, ale był powszechnie bardzo lubiany przez uczniów swoich. Nie zdawały sobie całkiem sprawy z tego, że idą do szkoły po to, by się uczyć, ale biegły do nauczyciela jak na zabawę, ciekawe każdego dnia osobno, co im nowego powie.

Przyjaźń niezmacona panowała pomiędzy oboma nauczycielami, ale zdarzyło się pewnego razu, że młodszy chciał zwrócić uwagę starszemu, iż należy iść z duchem czasu i zaproponował mu, by porzucił w nauce czytania przestarzałą metodę sylabizowania. Kilka już razy Svartling nakłaniał starego wojaka do podob-

¹⁷egzaminowy — dziś: egzaminacyjny. [przypis edytorski]

nych zmian, ale tenże pomijał to milczeniem. Tym razem jednak obruszył się:

— Przewróciło ci się, widzę, w głowie — zawołał — od kiedy zbudowano dla ciebie szkołę! Otóż powiadam ci, że moje dzieci czytają równie dobrze, jak twoje, mimo że uczę po izbach czeladnych.

— Wiem o tym! — odparł Svartling. — Nigdy też nie twierdziłem co innego. Chcę tylko powiedzieć, że należy dzieciom oszczędzać trudności...

— No i cóż dalej? — spytał stary wojak. Kościelny poznał po głosie jego, że się czuje dotknięty i zabrał się do odwrotu.

— To prawda — rzekł łagodnie — że ułatwiasz dzieciom naukę, że nigdy się nie uskarżają na trudności...

— Może chcesz przez to powiedzieć, że im ułatwiam zanadto naukę? Może ich nie uczę wcale? — krzyknął stary i uderzył pięścią w stół.

— Cóż ci się to dzisiaj stało, Tybergu? — spytał kościelny. — Wszystko co powiem, bierziesz z najgorszej strony!

— Czemuż mi ciągle robisz docinki?

Wmieszali się inni do rozmowy, załagodźli spór i obaj nauczyciele rozstali się w takiej samej jak dawniej przyjaźni. Ale słowa kościelnego przyszły znowu na myśl Tybergowi, podczas gdy samotny wracał do domu i zawrzał takim samym, jak poprzód¹⁸ gniewem.

„Jak śmie ten mądrała twierdzić, że dzieci moje uczyłyby się więcej i lepiej, gdybym postępował z jego tam jakimś duchem czasu? — pomyślał. — Sądzi oczywiście, że już za stary, tylko nie ma odwagi powiedzieć tego otwarcie!”

Nie mógł strawić tej sprawy i przyszedłszy do domu, wytoczył rzecz całą w rozmowie z żoną.

— Nie rób sobie nic z paplaniny kościelnego! — powiedziała żona. — Młody nosa zadziera, a stary plany zbiera! Zawsze to powtarzam. Jesteście obaj doskonałymi nauczycielami i basta!

¹⁸poprzód — dziś: poprzednio. [przypis edytorski]

— Ba... cóż mi z twojej przychwałki¹⁹? — powiedział. — Inni sądzą całkiem inaczej!

Przez parę dni był tak przygnębiony, że aż litość brała patrzeć.

— Czyż nie mógłbyś mu udowodnić, że nie miał racji? — spytała żona.

— Jakże mu to udowodnię? — zdziwił się. — Cóż masz na myśli?

— Myślę, że jeśli rzeczywiście pewny jesteś, iż twoje dzieci umieją tyle co jego...

— Jestem tego pewny! — zawołał.

— W takim razie zażądaj, by jego i twoje dzieci zostały razem wyegzaminowane²⁰.

Stary wojak zrobił taką minę, jak gdyby słowa żony nie uczyniły nań żadnego wrażenia, ale nurtowały one w jego umyśle i po kilku dniach otrzymał kościelny list z propozycją zmierzenia wzajemnie zakresu wiedzy uczniów obu szkół.

Nic przeciw temu nie miał Svartling, chciał tylko, by turniej egzaminowy²¹ odbył się w cza-

¹⁹*przychwałka* — dziś: pochwała. [przypis edytorski]

²⁰*wyegzaminowany* — dziś: przeegzaminowany. [przypis edytorski]

²¹*egzaminowy* — dziś: egzaminacyjny. [przypis edytorski]

sie świąt Bożego Narodzenia, bo wówczas można mu było nadać charakter uroczystości świątальной²² dla dzieci, co nie wymagało osobnego zezwolenia rady szkolnej.

— Nie jest to wcale głupi pomysł! — mruknął kościelny. — To mi zaoszczędzi w tym kwartale wypracowań za karę!

I rzeczywiście nie było ich potrzeba, bo dzieci szkół obu rzuciły się do nauki aż grzmiało, mimo że była zima.

W drugi dzień świąt miał się odbyć turniej. Szkolną salę przystrojono wieńcami z je-dliny i pozapalano wszystkie świece i świeczki pozostałe z nabożeństwa w kościele dnia poprzedniego, a w wieńcach tkwiło tyle jabłek, że starczyło po dwa dla każdego dziecka. Chodziły nawet pogłoski, że rodzice i opiekunowie, przybyli na popis, zostaną ugoszczeni gorącą kawą.

Główną rzeczą pozostał jednak ów turniej egzaminowy. Po jednej stronie sali siedziały dzieci Tyberga, po drugiej dzieci kościelnego. Szło

²²świątальной — dziś: świątecznej. [przypis edytorski]

o to, by dzieci walczyły o sławę swych nauczycieli, bo Tyberg miał pytać dzieci Svartlinga, a Svartling dzieci Tyberga. Jeśliby jedna ze szkół nie mogła odpowiedzieć na jakieś pytanie lub rozwiązać zadania, miała to uczynić szkoła druga. Potem miano zliczyć wszystkie dobre i złe wyniki i wydać wyrok, która ze szkół jest lepsza.

Kościelnemu przypadło zacząć pytać i wszyscy dobrze słyszeli, z jaką sobie poczynął ostrożnością. Ale gdy się przekonał, że ma do czynienia z dziećmi umiejacymi dużo, naciskał je coraz to silniej. Dzieci Tyberga dawały odpowiedzi wprost świetne, żadne nie zawahało się na chwilę i z mnóstwa pytań żadne nie spaliło na panewce.

Teraz przyszła kolej na starego Tyberga pytać dzieci kościelnego.

Ochłódł on już całkiem z gniewu, był nawet bardzo uradowany świetnym wynikiem egzaminu swych dzieci, toteż przyszedł mu do głowy figiel. Zrazu postawił dzieciom kościelnego kilka zwyczajnych pytań, ale nie mogąc

długo utrzymać powagi, wpadł w nastrój, w jakim był zawsze w swojej szkole.

— Wiem dobrze — powiedział — że uczyłyście się, moje dzieci, dużo więcej, niż ci uczniowie, którzy mieszkają na samym krańcu parafii, w zapadłym kącie. Znacie nauki przyrodnicze i różne inne rzeczy. Chciałbym się jednak przekonać, czy które z was może powiedzieć, jakich kamieni najwięcej znaleźć można w strumieniu Motali?

Ani jedno z dzieci kościelnego nie podniosło palców w górę. Przeciwnie, po drugiej stronie sterczał las rąk. Wśród dzieci kościelnego znajdował się Olof Olson, który sam dobrze wiedział, że jest najtęższą głową w gminie, a dalej Hindrik Björnson, pochodzący ze starego, mądrego kmiecego rodu, lecz żaden nie umiał dać odpowiedzi na to pytanie. Siedziała tu jeszcze Karin Svens, pilna dziewczyna, która nie opuściła w życiu ani jednej lekcji i zachodziła w głowę, z jakiego powodu kościelny zataił przed swymi uczniami owe dziwne własności kamieni strumienia Motali.

Siedziała tu również Klara Fina Gullebor-
ga ze Skrołyki, której ojcem chrzestnym było
samo słońce, ale i w jej głowie panowały te sa-
me ciemności nieprzeniknione, co w głowach
wszystkich innych dzieci Svartlinga.

— Musimy tedy — powiedział Tyberg —
spytać dzieci z drugiej szkoły, chociaż dziwi mnie
mocno, że pośród tylu chłopców i dziewcząt,
obdarzonych rozumem i sprytem, nie ma ani
jednego ucznia, który by dał odpowiedź na tak
łatwe pytanie.

W tejże chwili obróciła się Klara ku swemu
ojcu i spojrzała Janowi w oczy w ten sposób,
jak to czyniła zawsze w chwilach, gdy nie mo-
gła sobie z czymś ciężkim poradzić. Jan stał tak
daleko od córki, że nie mógł jej w żaden sposób
podszeptać odpowiedzi. Ale gdy dziewczyna
wpatrzyła się w oczy ojca, wyczytała w nich
wszystko.

Szybko podniosła rękę i z wielkiego zapału
wstała.

Zwróciły się na nią oczy wszystkich uczniów
i uczennic jej szkoły, a kościelny uśmiechnął

się zadowolony, że z pytaniem nie trzeba będzie zwracać się do dzieci Tyberga.

— Najwięcej jest kamieni mokrych! — zawołała, nie czekając, aż zostanie zapytana, na co zresztą nie było już nawet czasu.

W tej chwili pewna była, że powiedziała coś niezmiernie głupiego i popsuła opinię całej szkole. Opadła tedy na ławkę, skuliła się i omal, że nie zesunęła się na ziemię, by zejść ludziom z oczu.

— Doskonale! — zawołał Tyberg. — Wybornie powiedziała Klara Fina Gulleborga! Szczęście to dla was uczniowie tej szkoły, że jedno przynajmniej z dzieci dało odpowiedź należytą, inaczej bowiem zostałybyście pobite, mimo całej masy wiadomości, jakie wam wpoił nauczyciel.

Śmiech zabrzmiał ogólny pośród dzieci obu stron sali, a śmiali się też dorośli. Jedni uczniowie wstawali, by wyśmiać się należycie, inni kładli się twarzami na ławkach w tym samym celu i od razu przepadła powaga i porządek.

— Wyrzućmy teraz ławki i zatańczmy wokoło drzewka! — zawołał Tyberg.

Nigdy jeszcze w szkole nie panowała taka wesołość, ani też poza nią, jak owego dnia turnieju.

RYBOŁOWCZYNI

Trudno sobie, naturalnie, wyobrazić, by ktoś w Skrołyce mógł tak kochać Klarę Gullę, jak jej własny ojciec. Mimo to jednak można twierdzić stanowczo, że stary sieciarz Ola był jej wielkim i szczerym przyjacielem.

Przyjaźń ta miała następujący początek. Pewnego dnia przyszło na myśl dziewczynce, że trzeba koniecznie zastawić tyki na pstrągi w potoku, w którym prano bieliznę. Było ich tam dużo, zwłaszcza w górnym biegu i Klara poradziła sobie, oczywiście wraz z ojcem, doskonale. Pozatykano tyczki, przeciągnięto przez nie sznur na poprzek prądu i pozakładano haczyki z gliściami. Rezultat był świetny, bo zaraz nazajutrz

Klara wróciła do domu z dwoma małymi rybkami.

Radowało ją to niemało, a matka i ojciec sławili pod niebiosy swą córeczkę, która, mimo że ma dopiero osiem lat, już teraz stara się zaopatrzyć dom w żywność. By ją tym lepiej zachęcić, Katarzyna pozwoliła jej samej oprawić i usmażyć ryby, a Jan skosztowawszy oświadczył, że w życiu swym nie jadł nic podobnego. Była to zresztą czysta prawda, bo pstrąg był tak twardy i ościsty, że sama rybołówczyni nie mogła przełknąć więcej ponad pierwszy kęs.

Niezrażona tym, jęła się rybołówstwa z nieopisanym zapałem. Wstawiała rano jednocześnie z ojcem, brała na ramię koszyk, by nieść wygodniej do domu zdobycz, a w kieszeni miała blaszane pudełko z glistami dla zastąpienia obgryzionej na haczykach przynęty.

W ten sposób wyekwipowana²³ wędrowała w górę biegu potoku spływającego w dół po rozlicznych głazach to wąskim, ścieśnionym prądem, to znów zachodząc w zalewiska o ci-

²³*wyekwipowany* — wyposażony, zaopatrzony. [przypis edytorski]

chej, przejrzystej, ledwo poruszającej szybie wodnej.

Stała się jednak rzecz niepojęta. Oto gdy w pierwszym zaraz dniu połów był obfity, przez cały tydzień następny nie złapała się ani jedna ryba. Szczęście opuściło zupełnie małą Klarę Gullę. Wprawdzie poznikały ze sznura nie tylko przynęty, ale nawet brakło kilku haczyków, natomiast nie było ani jednego, jedyne go pstrążka.

Zrozpaczona, zabrała swe narzędzia rybackie z węzizny²⁴ na zalewisko, stamtąd przeniosła je znowu pod wodospad, niestety, nie zmieniło to wcale sprawy, niepowodzenie okazało się stałe.

Biedna dziewczyna indagowała²⁵ synów Börjego, potem Eryka z Falli, chcąc się dowiedzieć, czy może wstawszy raniej od niej szli wzdłuż potoku i kradli jej ryby. Ale chłopcy nie raczyli nawet odpowiadać jak należy, uważali to bowiem za poníženie dla siebie. Żadnemu na myśl

²⁴*węzizna* — przewężenie, miejsce zwięzienia (tu: potoku). [przypis edytorski]

²⁵*indagować* — wypytywać. [przypis edytorski]

by nie przyszło łowić ryby w potoku, w którym prano bieliznę. Mieli przecież do dyspozycji rozległe jezioro duwneńskie. Łapanie w potoku dobre jest dla małej smarkuli, której nie wolno chodzić po brzegu głębokiego jeziora. Taką wydali godnie opinię, ale Klara Gulla nie wiedziała, czy ma im wierzyć, czy nie.

Pewna była tylko, że ktoś jej ryby zdejmuje z haczyków, bo jakżeby mogło być inaczej, skoro nie używała wcale zgiętych szpilek, ale zakładała, jak się należy, porządne haczyki z przynętą, wedle wszelkich zasad rozstawione na długim sznurze.

Chcąc rzecz raz ostatecznie wyjaśnić, wstała pewnego ranka jeszcze wcześniej niż ojciec i matka i pobiegła nad wodę co prędzej. Zbliżywszy się do miejsca, gdzie były jej przyrządy, zwolniła kroku i zaczęła stąpać ostrożnie, wolno, kryjąc się za krzaki i bacząc pilnie, by nie potrącić kamienia lub nie zaszeleścić gałązką.

Nagle zadrzała i całe jej ciało zdrętwiało. Przyszedłszy nad samą wodę, podniosła głowę, spojrzała i przekonała się, że miała rację. Zło-

dziej kradnący jej ryby stał w tym samym właśnie miejscu, gdzie zeszłego wieczoru zarzuciła sznur z haczykami i zdejmował z nich pstrągi.

Ale nie był to, jak się spodziewała, żaden z małych chłopców, tylko dorosły człowiek. Pochylił się właśnie nad wodą i wyciągnął sporą rybę, a Klara Gulla widziała połysk łuski, gdy ją zdejmował z haczyka.

Miała niespełna osiem lat, ale nie bała się nikogo, toteż podbiegła zwawo i schwytała złodzieja na gorącym uczynku.

— A... — zawołała — więc to wy, Ola, kradniecie mi ryby? Dobrze się stało, że przyszła, bo trzeba temu koniec położyć!

Mężczyzna podniósł głowę i Klara Gulla mogła spojrzeć mu w oczy. Poznała go od razu po ruchach był to stary sieciarz, mieszkający w jednym z szałasów leśnych.

— Prawdę mówisz! — rzekł całkiem spokojnie, bez gniewu, co nie zdarza się nigdy ludziom popełniającym coś złego, gdy się ich przewinienie wykryje.

— Jak śmiecie, Olo, zabierać rzecz niebędącą waszą własnością? — wykrzyknęła dziewczynka.

Spojrzał na nią, a wzroku tego zapomnieć potem już nigdy nie mogła. Ujrzała dwie, ciemne przepaści, bardzo głębokie, na dnie których majaczyły w pół zagasłe oczy. Nie było już w nich smutku, ni radości żadnej.

— Tak... tak! — powtórzył. — To jest rzecz twoja, ale ty dostajesz od rodziców wszystko, czego ci potrzeba, a łapiesz ryby tylko dla zabawy. Ale dzieci moje przymierają często głodem!

Klara spąsowiała. Nie wiedziała, co się stało, ale uczuła sama wielki wstyd.

Sieciarz nie rzekł już ni słowa. Podniósł czapkę, która mu spadła z głowy, gdy się pochylił nad haczykami i odszedł.

Klara Gulla milczała także. Po brzegu rzucało się kilka ryb łuskając łuską, ale dziewczynka nie podniosła ich wcale. Patrzyła na nie przez chwilę, potem potrąciła je w ten sposób nogą, że wpadły z powrotem do wody.

Przez cały dzień była z siebie mocno niezadowolona, sama nie wiedząc dlaczego. Przecież to nie ona dopuściła się złego czynu?

Nie mógł jej wyjść z pamięci stary sieciarz. Ludzie powiadali, że był dawniej bogaty, że posiadał aż siedem folwarków, a każdy z nich był tyle co najmniej wart, co całe gospodarstwo Eryka z Falli. W dziwny jakiś sposób utracił jednak wszystko i zbiedniał do tego stopnia, że musiał wieść żywot półdzikiego mieszkańca lasu.

Nazajutrz o świcie poszła Klara Gulla nad potok, by zobaczyć, co się dzieje z jej przybarami rybołówczymi. Nikogo tu widocznie nie było, bo na każdym haczyku wisiała ryba. Pozdejmowała wszystkie i włożyła je do koszyka, potem poszła, ale nie do domu, jeno²⁶ do chaty starego Oli.

W chwili gdy przybyła, sieciarz rąbał drwa przed szaląsem. Przystanąła u płota i patrzyła na pracującego. Był tak ubogo ubrany i tak

²⁶jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

obdarty, że ojca nie widywała nigdy w podobnej odzieży.

Klara zapamiętała, że opowiadano, jakoby miejscowy bogacz zaproponował Oli, by u niego zamieszkał do śmierci. Ale nie przyjął zaprosin, natomiast zaś udał się do swej synowej, przebywającej w Askaładarnie i pomagał jej, jak mógł. Miała ona dużo dzieci, a mąż ją opuścił dawno, wyjechał dokądś i znaku życia nie dawał.

— Dziś złapało się dużo ryb! — powiedziała dziewczynka spoza płotu. — Ani jeden haczyk nie pozostał pusty.

— Aa... — odrzekł sieciarz — musi cię to pewnie cieszyć.

— Będę wam, Olo, przynosiła wszystkie złapane ryby! — odezwała się znów. — Tylko nie psujcie mi zabawy!

Przekroczyła przelaz w płocie, zbliżyła się, wysypała na ziemię tuż przy nim ryby i pewna była, że Ola uraduje się bardzo i zacznie ją chwalić, jak to czynił ojciec, unoszący się nad wszystkim, co zrobiła i powiedziała.

Ale stary sieciarz pozostał obojętny, jaki był zawsze, spojrzął na ryby i rzekł:

— Zabierz, co twoje. Nawykliśmy tak do głodowania, że śmiało obejść się możemy bez tych kilku małych rybek.

Dziwnym był stary Ola człowiekiem i Klara czuła, że nie może odejść, zanim go dla siebie pozyska.

— Pozwalam wam Ola zabierać wszystkie ryby co rana i zakładać świeżą przynętę! — zawołała.

— Nie! Nie chcę ci psuć zabawy! — odparł.

Ale Klara nie ruszyła się z miejsca i rozmyślała, w jaki sposób mogłaby zrobić przyjemność staremu Oli.

— Przyjdę tu jutro rano po was, Olo. Pójdziemy razem nad potok zobaczyć, co jest na haczykach, a potem podzielimy się rybami!

Na tę propozycję starzec przestał rąbać, skierował na dziewczynkę zapadłe, pół umarłe oczy, a na twarzy zamajaczyło mu coś, niby uśmiech.

— Teraz utrafiłaś w sedno! — powiedział.
— Na to zgadzam się chętnie.

AGRYPA

Dziwna to była, zaprawdę, dziewczynka, ta Klara Gulla. Doszedłszy do dziesiątego roku życia, dała sobie radę nawet z Agrypą Prestbergiem.

Trudno sobie wprost wyobrazić, jak straszonym człowiekiem był Agrypa. Powieki miał żółte, otoczone czerwonym rąbkiem, ogromne, krzacaste brwi i nos podobny do wielkiego garbu, pełen rozmaitych narośli. Broda jego składała się z kęp nastroszonych, kłujących włosów, na czole widniały przepaściste zmarszczki, całe ciało było wychudłe, ogromne, kościste, a na głowie nosił starą, potarganą w strzępy wojskową czapkę. Wobec tego ktokolwiek spotkał Agrypę Prestberga, doznawał uczucia strachu.

Pewnego dnia dziewczynka siedziała sama jedna na szerokim, kamiennym schodzie pod drzwiami domu i zajadała chleb z masłem. Nagle spostrzegła na drodze wysokiego, kościstego mężczyznę i niebawem poznała, że jest to Agrypa Prestberg.

Ale Klara nie straciła wcale odwagi. Przede wszystkim przełamała chleb z masłem na dwie części, położyła kawałki nasmarowanymi powierzchniami na sobie, tak by nie było plam tłustych, potem zaś przysposobioną tak kromkę schowała pod fartuszek.

Uczyniwszy to, nie uciekła wcale, ani nie chowała się do domu. Wiedziała, że zamknięcie drzwi na klucz nie zda się na nic z człowiekiem tego rodzaju co Agrypa, toteż siedziała dalej spokojnie. Ujrawszy leżącą na schodzie robotę na drutach porzuconą przez Katarzynę, która oddaliła się, by zanieść Janowi w pole podwieczorek, zaczęła mała Klarcia pracować tak pilnie, że aż druty brzęczały.

Z pozoru była całkiem spokojna i zadowolona, ale rzucała raz po raz spojrzenie ku furtce w nadziei, że Agrypa minie może dom i pójdzie dalej. Ale stało się inaczej, Agrypa zatrzymał się i skierował wprost do wejścia. Klarcia zobaczyła po chwili, że odpina haczyk furtki.

Rozsiadła się jak mogła najszerszej na schodzie kamiennym, rozpościerając spódniczkę, ona

to bowiem była w tej chwili strażniczką domowego ogniska i panią domu. Czuła to dobrze.

Wiedziała równie dobrze, że Agrypa nie kradł i nie bił, o ile nie krzyczał ktoś za nim: „Grega! Grega!” lub nie chciał mu dawać chleba z masłem. Nie bawił też długo w żadnym domu, chyba, że zdarzyło się nieszczęściem, iż na ścianie wisiał duży, dalarneński zegar wahadłowy.

Agrypa wędrował po całej okolicy, naprawiając zegary, a gdy zaszedł do domu, gdzie zoczył²⁷ taki zegar, to nie dawał spokoju, póki mu nie pozwolono wyjąć z szafki całej maszynerii, w celu przekonania się, czy nie ma jakichś usterek. Niestety, okazywało się zawsze, że to i owo nie jest w porządku, a wówczas mówił, że musi rozebrać cały zegar na części. Gdy się raz wziął do tego, to trwało zawsze długo, kilka dni nawet, zanim wszystko złożył na nowo. Przez cały ten czas musiano go trzymać w domu i żywić.

Najgorsze było to, że zegar, który raz wpadł w ręce Arypy, nigdy już potem nie chodził tak

²⁷zoczyć — zobaczyć. [przypis edytorski]

dobrze, jak przed naprawą. Co najmniej raz do roku musiał go naprawiać Agrypa, inaczej bowiem odmawiał zupełnie usług. Starzec czynił, co było w jego mocy, chciał wykonać robotę uczciwie i sumiennie, wszystko to jednak nie zdało się na nic, zegar szwankował zawsze.

Najlepszą tedy było rzeczą, chronić zegary przed Agrypą i Klara Gulla wiedziała o tym doskonale. Niestety jednak w danym przypadku nie miała możliwości uratowania wielkiego zegara ściennego, który tykał wesoło i głośno w izbie. Prestberg wiedział, że w domu tym znajduje się zegar i czatował od dawna na sposobność zbadania jego mechanizmu gruntownie. Ile razy jednak znalazł się w domu Janów, Katarzyna była obecna, chowała zegar zawczasu i udaremniała jego naprawę.

Stanąwszy przed dziewczynką, Agrypa uderzył mocno laską w ziemię i wygłosił monotonnie, jakby z dawna wyuczoną lekcją:

— Jestem Jan, Utter, Agrypa Prestberg, tambor Korony i Jego Królewskiej Mości. Sta-

łem w gradzie kul i nie boję się aniołów ni diabłów. Czy jest kto w tym domu?

Klara Gulla nie potrzebowała odpowiadać. Starzec przekroczył ją, wszedł do wnętrza domu i skierował się wprost ku wielkiemu zegarowi ściennemu.

Dziewczynka szybko pobiegła za nim i wysilała się, by wytłumaczyć mu, że zegar chodzi doskonale. Ani się nie spóźnia, ani nie śpieszy i całkiem nie potrzeba go naprawiać.

— Jakże może iść dobrze zegar — spytał — którego nie miał w rękach Jan Utter Agrypa?

Prestberg był tak wysoki, że nie wchodząc na stół, otworzył szafkę i za moment tarcza zegara i cały jego mechanizm leżały już na stole. Klara zacisnęła pod fartuszką pięści, a łzy napłynęły jej do oczu, ale nie była w stanie przeszkodzić nieszczęściu.

Prestbergowi śpieszyło się bardzo zbadać, co można naprawić w zegarze, zanim powrócą do domu Jan i Katarzyna i oświadczą, że nie chcą naprawy. Miał przy sobie zawiniątko z na-

rzędziami i smarowidłem, prędko je tedy rozmotał, ale przy tej sposobności, część zawartości znalazła się na ziemi.

Klara Gulla otrzymała rozkaz pozbierania rozsypanych przedmiotów, a kto znał Agrypę, wiedział, że nie było z nim żartów. Musiała tedy usłuchać, uklękła na ziemi i podała mu małą piłkę i dłutko.

— Czy nie ma już nic? — zawołał starzec. — Winnaś się cieszyć smarkulo, córko marnego wyrobnika, że możesz uczynić przysługę tamborowi Korony i Jego Królewskiej Mości!

— Nic już nie ma pod stołem, przynajmniej nie widzę niczego! — odparła Klara Gulla i uczuła się tak nieszczęśliwa, jak nigdy w życiu. Ojciec i matka oddali jej dom pod straż, a wynik był tak smutny.

— Ha... gdzież się podziać mogły moje okulary? — spytał Prestberg. — Musiały spaść na ziemię!

— Niece... — odparła dziewczynka. — Nie ma tu nigdzie okularów.

I nagle zaświtała w jej sercu nadzieja, że może Agrypa bez okularów nie zdoła popsuć zegara.

W tejże samej chwili spostrzegła futerał okularów, tkwiący za nogą stołu przy samej ścianie.

Starzec grzebał pośpiesznie pośród starych kółek i sprężyn, jakich pełno było w zawiniątku. „Ach! Może jeszcze będzie wszystko dobrze — myślała dziewczynka — może nie znajdzie okularów!”

— Nic z tego! — powiedział po chwili. — Muszę sam klęknąć na ziemi i szukać! Wstawaj, smarkulo!

Błyskawicznym ruchem sięgnęła Klara poza nogę stołową, chwyciła okulary i wsunęła pod fartuszek.

— No, wstawaj zaraz! Nie wierzę ci, kłamczuchu mały... A... cóż to masz pod fartuchem? Wyjmij natychmiast!

Klara wysunęła spod fartuszka jedną rękę, drugą trzymając ukrytą. Agrypa ujrzał w dłoni dziecka kromkę chleba z masłem.

— Do stu tysięcy bomb! — wrzasnął. —
To, widzę, chleb z masłem!

Cofnął się wstecz, jak gdyby zobaczył w ręku dziewczynki żmiję jadowitą.

— Właśnie jadłam chleb z masłem w chwili, gdyście nadszedł²⁸, Agrypo. Schowałam kromkę pod fartuszek, bo wiem, że nie możecie znieść jego widoku.

Zaspokojony odpowiedzią Agrypa, ukląkł sam na ziemi, ale daremnie szukał wszędzie, okularów nie było.

— Możecie zostawił okulary tam, gdzieście był²⁹ przedtem? — spytała Klarcia.

To samo przyszło na myśl Agrypie, chociaż nie mógł przypuścić, by to było prawdą.

Mimo wszystko bez okularów nie mógł się wziąć do zegara i nie było innej rady, jak tylko włożyć mechanizm i tarczę do szafki z powrotem i związać tobolek.

²⁸*gdyście nadszedł* — grzecznościowa forma stosująca gramatyczne formy lm w wypowiedziach skierowanych do pojedynczej osoby; dziś: gdyście nadeszli. [przypis edytorski]

²⁹*Możecie zostawił (...) gdzieście był* — grzecznościowa forma stosująca gramatyczne formy lm w wypowiedziach skierowanych do pojedynczej osoby; dziś: możecie zostawili, gdzieście byli. [przypis edytorski]

W chwili kiedy się obrócił tyłem do dziewczynki, wsunęła szybko futerał z okularami do środka.

Agrypa zawrócił do dworu w Löwdalu, gdzie ostatnio pracował, w celu odnalezienia okularów. Tam rozwiązał tobolek, by pokazać, że ich nie ma, a tymczasem pierwsza rzecz, jaką spostrzegł, był to właśnie futerał z okularami.

Spotkawszy niedługo potem Jana i Katarzynę na placu kościelnym, podszedł do nich pierwszy.

— Doczekacie się wielkiej pociechy ze swej małej córeczki — powiedział — ze swej sprytnej, mądrej córeczki!

OWOC ZABRONIONY

Ciągle różni ludzie przepowiadali Janowi ze Skrołyki, że gdy córeczka jego dorośnie, doczeka się z niej pociechy. Oczywiście nikt nie zdawał sobie sprawy, że teraz już go uszczęśliwia co dnia, co godziny i że jest mu zesańcem bożym. Raz tylko przez cały okres dzieciństwa Klary mu-

siał się Jan pogniewać na nią i wstydzić tego, co uczyniła.

Tegoż roku w lecie, kiedy skończyła jedenaście lat, udał się Jan z nią poprzez góry do Löwdali. Był to siedemnasty sierpnia, dzień urodzin porucznika Liliecrona, właściciela Löwdali.

Siedemnasty sierpnia był to dzień wesela i wszyscy wyglądali go z utęsknieniem zarówno w Svartsjö, jak i w Bro przez cały boży rok. Był to dzień uroczysty nie tylko dla wielkich państwa oraz dorosłych, ale także dla młodzieży całej wsi i bliższej okolicy i dzieci. Toteż płynęły zewsząd gromadki jasno przystrojonych malców spragnionych pogapić się na dostojnych państwa oraz użyć sobie na śpiewie, muzyce i tańcach.

Młodzież i dzieci pociągała do Löwdali i ta jeszcze okoliczność, że w owym dniu można się było nasycić do woli różnymi dobrymi rzeczami, których pełen był sad. Co prawda, zazwyczaj przestrzegano jak najsurowszych zasad uczciwości, w tym jednak dniu patrzono przez

palce i o ile tylko ktoś nie dał się wprost złapać na uczynku, mógł się objeść owoców, których była wielka obfitość, ile dusza zapagnie. Niełatwa to była jednak sztuka nie dać się złapać.

Gdy Jan przyszedł z Klarcią do sadu, zauważył zaraz, jak jej się rozszerzyły źrenice na widok wspaniałych jabłoni, przeciążonych wprost na pół dojrzałymi jabłkami. On sam nie broniłby jej kilku tych owoców, ale spostrzegł stojących pod drzewami karbowego Söderlinda i kilku innych parobków pilnujących w tym roku sadu z większą niż zazwyczaj gorliwością.

Zabrał tedy Klarcie ze sobą do tej części ogrodu, gdzie nie było nic do łasowania, aby uchronić ją od pokusy. Wiedział jednak, że dziewczynka krąży myślami wokoło krzaków agrestowych i jabłoni. Nie patrzyła ani na pięknie postrojonych, dostojnych gości, ani na klomby z kwiatami. Nie budziły w niej zaciekawienia piękne mowy wygłoszone na cześć porucznika przez proboszcza z Bro i inżyniera Boreusa z Borgu. Nie słuchała nawet ślicznego wiersza

wygłoszonego przed solenizantem przez kościelnego, Svartlinga.

Z wnętrza domu dolatywały dźwięki klarнету Andersa Öftera, tak skoczne wygrywającego melodie, że nie sposób było nóg utrzymać w spokoju. Klara Gulla szukała tylko pozoru, by móc wrócić do sadu.

Jan trzymał ją przez cały czas za rączkę, nie puszczał pod żadnym warunkiem i głuchy był na wszelkie wybiegi. Wszystko się tedy odbyło dobrze aż do zmierzchu, kiedy sad zatonął w zmroku.

Pozapalano mnóstwo lampek papierowych i nie tylko porozwieszano je po drzewach, ale poustawiano na klombach, rabatach kwiatowych i przybrano świetlnymi festonami ściany domu. Było to tak piękne, że Janowi, który nie widział w życiu nic podobnego, zaczęło kręcić się w głowie i nie wiedział, czy chodzi jeszcze po ziemi.

Mimo to trzymał ciągle małą rączkę w swej dłoni i nie puszczał.

Gdy zapłonęły kolorowe lampiony, zaczęli śpiewać chórem kupiec mający swój sklep przy kościele, jego brat oraz Anders Öfter i jego siostrzeniec, a Jan słuchając tego, doznał wrażenia, że powietrzem wstrząsa dreszcz radosny i że go otacza fala nieziemskiej rozkoszy. Z serca zniknęła mu wszelka troska, odetchnął swobodnie, jakby zrzucił codzienne brzemię życia. Ciepła noc przepojona była tymi dźwiękami, a Jan nie mógł się oprzeć ich czarowi. Doznawali tego samego wszyscy inni, czuli się szczęśliwi i wydawało im się, że żyją w innym, lepszym świecie.

— Tak... tak... to dzień wyjątkowy... to siedemnasty sierpnia! — szepnął ktoś tuż obok Jana.

— Pewnie tak szczęśliwi czuli się Adam i Ewa w raju! — powiedział uroczyście jeden z młodych ludzi.

Jan był tego samego zdania, miał jednak tyle przytomności, że nie puszczał rączki Klary Gulli.

Gdy śpiewać skończono, strzeliły w niebo rakiety. Leciały z sykiem, siejąc ogień wysoko po granatowym niebie, a potem rozsypywały się w mnóstwo czerwonych, niebieskich i złotych gwiazd, które spadały powoli ku ziemi. Na widok ten Jan uczuł takie uniesienie i takie zarazem wzruszenie, że zapomniał całkiem o Klarze Gulli, a gdy przyszedł do siebie, już jej nie było.

„Ano, trudno! — pomyślał. — Może uda jej się i tym razem jak zawsze i zdoła zmylić czujność karbowego Söderlinda i innych parobków, tak że jej nie schwytają...”

Nie sposób było szukać dziecka po wielkim, ciemnym sadzie. Najmądrzejsza rzecz, pomyślał, to stać spokojnie i czekać na jej powrót.

I niedługo nawet przyszło mu czekać. Za ledwie druga zwrotka zbliżała się ku końcowi, Jan zobaczył karbowego Söderlinda, jak szedł, niosąc na rękach Klarę Gullę.

Porucznik Liliecrona stał w otoczeniu kilku panów na pierwszym stopniu schodów wiodących do ogrodu i przysłuchiwał się śpiewa-

niu. Karbowy zatrzymał się przed nim i postawił winowajczynię na ziemi.

Klara Gulla nie płakała, ani nie uczyniła wysiłku, by uciekać. Napęłniła fartuszek pół dojrzałymi jabłkami i skupiła teraz tylko na to uwagę, by ich nie pogubić.

— Przyłapałem tę dziewczynę na drzewie! — powiedział Söderlind. — Pan porucznik kazał stawić przed siebie złodziei, by się sam z nimi rozmówić.

Porucznik patrzył na dziecko, a potem kąciki ócz³⁰ zaczęły mu drgać, tak, że sam nie wiedział, czy się zacznie śmiać, czy się rozpłacze.

Miał zrazu zamiar powiedzieć parę surowych słów na temat kradzieży, ale patrząc, jak dziewczynka wysiła się na to tylko, by zachować swój łup i nie utracić ani jednego jabłka, uczuł dla Klary Gulli wielką litość. Biedził się tylko, w jaki postąpić sposób, aby móc jej podarować te owoce, a puścić winy płazem nie wypadało, bo tegoż jeszcze wieczoru chma-

³⁰ócz — dziś: oczu. [przypis edytorski]

ry urwipolciów wiejskich rozkradłyby mu cały sad.

— Tak? To ty kradłaś jabłka? — zaczął. — Chodzisz do szkoły i nie znasz historii o Adamie i Ewie? Powinna byś wiedzieć przecież, jak jest niebezpieczną rzeczą rwać zabronione jabłka!

W tej chwili przystąpił Jan i stanął obok Klary Gulli. Był na nią mocno rozgniewany, bo mu popsuka całą zabawę. Ale nie mógł jej opuścić w tej sytuacji.

— Proszę się nie gniewać na nią, panie poruczniku — powiedział — bo to ja sam pozwoliłem jej wleźć na drzewo i narwać sobie jabłek!

Zaledwo wyrzekł te słowa, Klara Gulla rzuciła mu pełne oburzenia, karcące spojrzenie i wykrzyknęła głośno:

— To nieprawda! Ja chciałam mieć jabłka. Ojciec trzymał mnie przez cały czas za rękę i nie puszczał do sadu. Uciekłam mu, kiedy ognie poleciały do nieba!

Porucznik uradował się bardzo.

— Brawo! Doskonale, drogie dziecko! Cieszę się, że nie pozwalasz ojcu brać winy na siebie! Wiesz chyba, że Pan Bóg nie tyle za to gniewał się na Adama i Ewę, iż zerwali zabronione jabłko, ile za to, że byli nikczemni i jedno spychało winę na drugie. Możesz sobie iść spokojnie z jabłkami do domu, darowuję ci je za to, żeś miała odwagę wyznać prawdę.

Potem zwrócił się do jednego z synów i powiedział:

— Daj Janowi szklanę ponczu. Wypijemy z nim zdrowie córki, która dała dziś lepszą odpowiedź niż swego czasu matka Ewa. O ileż by lepiej było na świecie dzisiaj, gdyby matką rodzaju ludzkiego była Klara Gulla.

CZEŚĆ DRUGA

LARS GUNNARSON

Eryk z Falli i Jan ścinali pewnego mroźnego dnia zimowego drzewa w wysokopiennym lesie.

Przepiłowali gruby pień, a drzewo zachwiało się. Obaj odskoczyli na bok, by ich nie ogarnęły gałęzie padającej na ziemię jedli³¹.

— Uważajcie, gospodarzu! — zawołał Jan. — Pada na waszą stronę.

Erykowi starczyłoby jeszcze czasu na odskoczenie dalej, podczas gdy pień chylił się z wolna ku niemu. Ale ściał już dużo jedli w swym życiu, toteż mniemał, iż się na tym lepiej od Jana rozumie i nie ruszył się wcale z miejsca. Za chwilę leżał na ziemi, a na nim leżały gęste konary drzewa.

Padając, nie krzyknął wcale, a gałęzie przykryły go tak dokładnie, iż znikł Janowi sprzed

³¹jedli — dziś popr. forma D.lp: jodły. [przypis edytorski]

oczu i tenże mimo rozglądania się wkoło, nie widział, gdzie się podział jego chlebodawca.

Niebawem posłyszał Jan głos Eryka, którego nawykł słuchać od czasów dawnych. Ale brzmiał on cicho i niewyraźnie, tak, iż ledwo mógł zrozumieć słowa.

— Idź do domu, Janie, i sprowadź ludzi i konia z saniami, by mnie zabrać z lasu.

— Może by wydostać was wpierw, gospodarzu, spod gałęzi? Czy was bardzo przygniatają? — spytał Jan.

— Rób, co kazałem! — ozwał się Eryk.

Jan wiedział, że pan jego domaga się w pierwszej linii posłuszeństwa, przeto nie sprzeciwiał się.

Pobiegł ile sił w nogach do Falli. Ale do folwarku blisko nie było, przeto zeszło niemało czasu, zanim się tam dostał.

Pierwszym spośród członków rodziny Eryka, na którego się natknął, był Lars Gunnarson, ożeniony z najstarszą córką Eryka z Falli, upatrzony na właściciela gospodarstwa, w razie gdyby stary gazda zamknął oczy.

Gdy Lars Gunnarson dowiedział się wszystkiego, rozkazał Janowi udać się do domu i zawiadomić gospodynię o tym, co zaszło, potem zaś skrzyknąć młodych parobczaków. Sam Lars udał się zaraz do stajni, by zaprząć jednego z koni do sanek.

— Może by nie mówić od razu kobietom o nieszczęściu? — spytał Jan. — Zaczną płakać i lamentować i zmarnuje się dużo czasu. Eryk mówił bardzo słabym głosem, leżąc pod drzewem i dobrze by było pospieszyć z pomocą rychło.

Od czasu kiedy Lars przybył na folwark, dbał bardzo o to, by mu oddawano zawsze winny szacunek i spełniano rozkazy, których, podobnie jak Eryk, nigdy nie cofał.

— Idź prędko, zawiadom matkę. Kobiety muszą przysposobić łóżko, byśmy mogli położyć doń zaraz Eryka, gdy z nim przyjedziemy.

Nie pozostało teraz Janowi nic, jak tylko opowiedzieć wszystko gospodyni, a chociaż się spieszył jak mógł, znowu minęła dobra chwila,

bo musiał dokładnie opisywać, jak się wszystko przydarzyło.

Wyszedłszy z powrotem na podwórze, posłyszał Jan klątwy i krzyki Larsa, dolatujące ze stajni. Lars nie umiał obchodzić się z końmi, tak że na sam widok jego wierzgały. Nie udało mu się też wyprowadzić spoza przegrody ani jednego konia przez cały czas rozmowy Jana z gospodynią.

Nie najlepiej byłby Jan wyszedł na tym, gdyby chciał pomagać Larsowi, wiedział o tym dobrze, toteż miast tego wykonał drugie zlecenie i sprowadził parobczaków.

Dziwiło go tylko, że Lars nie kazał mu raczej zawołać Börjego, który młócił w stodole zboże, a posyłał go za parobkami karczującymi krzaki w odległym brzozowym lasku.

Jan słyszał ciągle ów cichy, słaby głos, dochodzący spod gałęzi i przez cały czas wykonywania niepotrzebnego zlecenia nie mógł o nim zapomnieć. Głos ten nie brzmiał już teraz rozkazująco, ale prosił żałośnie Jana, by się śpieszył.

— Zaraz! zaraz! — szeptał w odpowiedzi i doznawał tego samego wrażenia, co we śnie, gdy kogoś trapi zmora, a mimo wysiłku nie może się zbudzić.

Lars zaprzągnął nareszcie konia, ale z domu wyszły kobiety i poradziły, by wziął słomy i kocy. Było w tym wiele słuszności, tylko naturalnie nim się wszystko znalazło, upłynęło znowu sporo czasu.

Wyjechali nareszcie z bramy, a na saniach siedział Lars, Jan i jeden parobek. Ale zaledwo dotarli do skraju lasu, Lars zatrzymał konia.

— Przewraca się człowiekowi w głowie, kiedy otrzyma tego rodzaju wiadomość! — powiedział. — Teraz dopiero przypomniałem sobie, że przecież powinniśmy zabrać Börjega, który młóci w stodole.

— Dobrze by było mieć go! — zauważył Jan. — Ma dwa razy tyle siły, co my wszyscy razem.

Lars rozkazał parobczakowi skoczyć na folwark i przyprowadzić Börjega.

Znowu zabrało to dużo czasu.

Jan siedział beczynn timer na saniach i dumał. Miał wrażenie, że się w nim otwiera jakaś głęboka, czarna przepaść, pełna groźnych straszyleł i zjaw. Jednocześnie zaś wiedział, że to nie żadna przepaść, ale że wytwarza się w nim pewność, iż przybędą za późno.

Parobczak i Börje przybiegli zadyszani i teraz można już było wjechać w las.

Ale posuwali się bardzo powoli. Lars wyprorowadził ze stajni i zaprzęglł do sani starą, potykającą się kasztankę. Jeśli, jak wspomniał, przewróciło mu się w głowie, to był tu oczywisty dowód, że mówi prawdę.

Po chwili stwierdził ponownie, że w głowie jego zapanował jakiś bezład. Zaledwo znaleźli się w lesie, chciał skrócić w niewłaściwą stronę.

— Nie tędy! Nie tędy! — powiedział Jan. — Po tej stronie są lasy storsnipskie, my zaś jechać musimy na przełęcz Lobby.

— Wiem, wiem! — odparł Lars, ale tam dalej jest linia regulacyjna przez las, którą prędzej da się przejechać niż tędy.

— Cóż by to mogła być za linia regulacyjna? — spytał Jan. — Nie widziałem dotąd w tej stronie żadnej linii regulacyjnej.

— Ano to ją zobaczysz! — odrzekł Lars.

Chciał jechać dalej w tę samą stronę, ale Börje stanął po stronie Jana i Lars musiał ustąpić. Zanim spór został załagodzony, upłynęło znowu dużo czasu, a Jan czuł, że ciałem jego wstrząsa lodowaty dreszcz. Zdawało mu się, że jego ręce i nogi są jakby obce, obumarłe i bez życia i nie mógł się poruszyć.

„Wszystko jedno! — pomyślał. — I tak przyjedziemy za późno. Gdy staniemy na miejscu, Eryk nie będzie już potrzebował naszej pomocy”.

Stara klacz przedzierała się z trudem przez las, ale siły jej nie stało do tego zadania. Źle była podkuta i raz po raz potykała się na korzeniach, gdy zaś droga wiodła pod górę, dwaj jadący musieli zsiadać i iść obok sań. W wysokopiennym zaś lesie, gdzie nie było przejechaanej drogi, koń stał się raczej zawadą, jak pomocą.

Ale w końcu przybyli na miejsce wypadku i okazało się, że stan Eryka jest wcale dobry. Ani go drzewo nie przycisnęło, ani też nie odniósł złamania żadnego członka. Na lewym biodrze gałąź zdrapała mu skórę i była tu dość duża rana, ale wyleczenie nie przedstawiało żadnych trudności ani nie budziło obaw.

Gdy Jan następnego rana stawiał się do roboty na folwarku, powiedziano mu, że Eryk ma silną gorączkę, wielkie bóle i leży w łóżku.

Zaziębił się silnie, leżąc przez długi czas na śniegu, zanim nadeszła pomoc. Z zaziębienia wywiązało się zapalenie płuc, a w czternaście dni po wypadku Eryk z Falli zakończył życie.

CZERWONA SUKIENKA

Córka Jana ze Skrołyki, skończywszy lat siedemnaście, udała się pewnej pogodnej, letniej niedzieli z rodzicami do kościoła.

Przez całą drogę okryta była chustką, którą zdjęła z ramion, przybywszy na plac przed kościołem, a wówczas zebrani ujrzeli, że ma na

sobie sukienkę, jakiej dotąd nie widziano w całej okolicy.

Jeden z owych wędrownych przekupniów³², jacy chodzą po całym kraju z tobołem na plecach, zaszedł pewnego razu do Askadalarny. Zobaczywszy, jakim powabem młodości jaśnieje Klara Gulla, wyjął sztuczkę materii i starał się namówić rodziców, by kupili córce na sukienkę. Była to materia czerwona, mieniąca się różnymi odcieniami, połyskliwa niby jedwab.

Ale cena dorównywała w zupełności wspaniałemu wyglądowi tkaniny, toteż Jan i Katarzyna nie byli w stanie kupić dla Klary Gulli tej materii, chociaż byliby to uczynili bardzo chętnie, a zwłaszcza Janowi omal nie wyskoczyły oczy na ten widok.

I oto stała się rzecz zdumiewająca. Przekupień wysilał się długo a nadaremnie, namawiając do kupna, potem zaś popadł w wielki gniew, nie mogąc postawić na swoim. Oświadczył stanowczo, że Klara mimo wszystko dostanie materię, bo w całej okolicy nie ma drugiej

³²przekupień — kupiec, sprzedawca. [przypis edytorski]

dziewczyny, której byłoby w tej sukience tak do twarzy jak jej.

Rozwinął sztuczkę, odmierzył z niej tyle łokci, ile trzeba było na sukienkę, a potem darował Klarze Gulli. Nie żądał pieniędzy, domagał się tylko, by ją mógł zobaczyć w czerwonej sukience, kiedy następnym razem zjawi się w Skrołyce.

Dano materię najlepszej szwaczce w parafii, która sporządzała sukienki dla samych córek porucznika z Löwdali, a kiedy Klara ubrała się w nią po raz pierwszy, leżała na niej tak doskonale i tak ją czyniła powabną, iż wydała się niby krzak głogu rosnący nad drogą, osypany pąsowymi jagodami w jesieni.

Kiedy Klara zapragnęła pokazać się w swej nowej sukience w kościele, ani Katarzyna, ani Jan wytrzymać nie mogli, by nie być świadkami jej triumfu i nie posłuchać, co też o tym powiedzą ludzie.

Udali się przeto do kościoła we troje. Ludziom od razu wpadła w oczy piękna sukienka, patrzyli na nią długo, a potem oglądali się jesz-

cze po kilka razy, ale spoglądali nie tylko na piękną, czerwoną sukienkę, oczy ich bowiem pociągała zarazem śliczna dziewczyna, która w nią była przystrojona.

Niektórzy słyszeli już poprzód³³ historię owej sukienki, innym dziwne się wydało, że córka biednego komornika może stroić się do kościoła w tak drogie szaty. Jan i Katarzyna musieli ciągle wokoło opowiadać tę dziwną przygodę. Gdy się wszyscy dowiedzieli, uznali, że nie ma w tym nic gorszącego. Przeciwnie, wszyscy społem czuli zadowolenie, że szczęście bodaj raz jeden zajrzało do ubogiego domku w zapadłej askadalarneńskiej roztoce.

Było tu kilku synów bogatych kmieci i młodzieńcy oświadczyli zgodnie, że Klara Gulla wróciłaby do domu już jako narzeczona, gdyby pochodziła z takiej rodziny, z którą możliwym jest łączyć się związkiem małżeńskim.

Były tu również córki kmieciów³⁴ i dziewcziczki zamożnych gospodarzy, które powie-

³³poprzód — dziś: wprzód; wcześniej. [przypis edytorski]

³⁴kmieciów — dziś popr. forma D.lm: kmieci. [przypis edytorski]

działy sobie w skrytości ducha, że bez namysłu oddałyby cały grunt w zamian za śliczną, promieniejącą urokiem młodości i zdrowia postać Klary Gulli, córki biednego wyrobnika.

Ale złożyło się tak, że tej niedzieli miał kazanie w kościele svartsjöskim nie miejscowy pleban, jeno proboszcz z Bro. Był to surowy prostaczek, nieubłagany pogromca każdego wybryku zarówno na punkcie stroju, jak i wszelkich innych nadużyć.

Zobaczywszy dziewczynę ustrojoną w czerwonej sukience, przeraził się, bo wydało mu się, że jest zrobiona z jedwabiu. Posłał tedy kościelnego, by poprosił na plebanię dziewczynę wraz z rodzicami, gdyż ma im coś powiedzieć.

Gdy Klara Gulla zjawiała się przed nim, spostrzegł wprawdzie, jak jej do twarzy w pięknej sukience, ale napełniło go to jeno większym niż przed tym zgorszeniem.

— Posłuchaj mnie, Klaro Gullo, — zaczął kładąc dłoń na jej ramieniu — chcę ci bowiem powiedzieć, że gdybym chciał i miał ochotę, nikt by mi nie mógł zabronić złotego krzyża

biskupiego. Ale nie czynię tego, gdyż nie chcę uchodzić za coś więcej, niż jestem. Dlatego to nie powinnaś się też stroić jak panna ze dworu, będąc córką biednego wyrobnika!

Były to słowa okrutne i Klara nie wiedziała na skutek zmieszania i przerażenia w pierwszej chwili, co ma odpowiedzieć. Katarzyna pospieszyła jej z pomocą i zawiadomiła proboszcza, że suknia ta jest podarkiem.

— Bardzo to dobrze! — powiedział. — Ale czyż wy, rodzice, nie wiecie, do czego owo strojenie się doprowadzić może? Skoro raz czy dwa razy dziewczyna przybierze się tak wspaniale, to potem odczuje niechęć do prostej odzieży, jaką jesteście w możności jej sprawić.

Powiedziawszy to, obrócił się proboszcz, bo uznał, że dość jasno wyraził im swe zapatrywanie. Zanim jednak zdołał się oddalić, Jan zdobył się na odpowiedź:

— Gdyby ta dziewczyna miała nosić odzież, na jaką zasługuje, musiałyby wziąć promienną szatę słońca. Bowiem nam, rodzicom, jest

słońcem i radością, poczynawszy od dnia, w którym przyszła na świat.

Proboszcz zwrócił się do nich ponownie i przypatrzył się dobrze wszystkim trojgu. Jan i Katarzyna postarzelili i wyglądali mizernie, ale na pomarszczonych twarzach błyszcząły jasno oczy, skierowane ku młodzieńczej postaci stojącej pośrodku nich.

Proboszcz pomyślał, że nie należy gasić radości tych starych ludzi i sprawiać im przykrości i rzekł:

— Jeśli rzeczywiście jesteś, Klaro, słońcem i radością rodziców, to, zaprawdę, nosić możesz śmiało i dumnie swą piękną sukienkę, moja droga! Bo dziecko dające szczęście ojcu i matce, to najpromienniejsza istota na tej ziemi, to najwyższa zjawia, jaką widzieć mogą oczy człowieka!

NOWY PAN

Gdy mieszkańcy Skrołyki wrócili do domu, tejże samej niedzieli, kiedy to proboszcz powie-

dział Klarze tak piękne słowa, zastali tuż obok furtki siedzących dwu ludzi na płocie i kiwających nogami.

Jeden z nich był to Lars Gunnarson, który po śmierci Eryka objął w posiadanie gospodarstwo we Falli, drugim zaś był subiekt sklepu w Broby, gdzie Katarzyna kupowała zawsze cukier i kawę.

Obaj siedzieli z minami obojętnymi i nie zwracali uwagi na idących. Siedzieli na płocie, rozmawiając ze sobą, toteż Jan nie miał powodu przypuszczać, że mają doń interes. Ukłonił im się tylko, nic nie mówiąc, minął ich i wszedł do swego domu.

Nie ruszyli się z miejsca, ale Jan uczuł pragnienie, by rychło wstali i poszli rozmawiać gdzie indziej, tak by ich stracić z oczu. Zdawało mu się, że Lars ma doń urazę od dnia owego wypadku z Erykiem w lesie. Kilka razy wpadły mu w ucho uwagi, że jest za stary i że niedługo będzie mógł tyle pracować, by zarobić na otrzymywane wynagrodzenie.

Katarzyna zastawiła jadło na stole, zjedli też rychło, bo nie mieli przy czym długo marudzić. Lars i kupczyk siedzieli dalej na płocie i rozmawiali wesoło. Wydało się Janowi, że są to dwa krogulce, czyhające na sposobną chwilę i że naśmiewają się z małych ptasząt, którym się wydaje, iż ujdą ich szponów.

Po chwili wstali z płotu, otwarli furtkę i skierowali się wprost do wejścia. Mieli tedy najoczywiściej jakiś interes do Jana.

Uczuł wyraźnie, że zbliża się jakieś wielkie zło i obiegnął oczyma wszystkie kąty, jakby szukał bezpiecznej kryjówki, gdzie by się mógł schować. Ale za moment spostrzegł Klarę Gulłę, siedzącą przy oknie i poglądającą³⁵ na idących, toteż wróciła mu otucha.

Czegóż miał się bać, posiadając taką córkę? Była mądra i odważna. Nie bała się niczego i wiodło jej się w każdym przedsięwzięciu. Larsovi Gunnarsonowi nie uda jej się byle czym zastraszyć.

³⁵*poglądać* — dziś: *spoglądać*. [przypis edytorski]

Lars i kupczyk weszli do izby, a miny ich były równie jak przedtem obojętne i nic nie mówiące. Lars oświadczył, że siedzieli długo na płocie i przyglądali się domkowi, który im się tak spodobał, iż zapragnęli zobaczyć, jak też wygląda w środku.

Chwalili wszystko, co widzieli w izbie, a Lars powiedział, że Katarzyna i Jan winni są wielką wdzięczność Erykowi z Falli, bo on to, prawdę mówiąc, dopomógł im do budowy domu i umożliwił małżeństwo.

— Aa... coś mi przyszło na myśl! — powiedział bezpośrednio potem Lars, odwracając w ten sposób głowę, by nie patrzeć w oczy żadnemu z trojga. — Nie wątpię, że Eryk z Falli, jako człek zamiłowany w dokładności, musiał dać wam pisemne poświadczenie, iż grunt, na którym stoi dom, jest waszą własnością?

Ani Jan, ani Katarzyna nie rzekli nic.

Zrozumieli oboje od razu, co mają znaczyć te mimochodem rzucone słowa Larsa, ale uznali, że najlepiej będzie zaczekać, aż im to sam dokładnie wyjawia.

— Dochodziły mnie, co prawda, pogłoski, że nie zostawił żadnego pisemnego dokumentu — ciągnął dalej Lars — ale nie wierzę temu, to być nie może, bo w takim razie właścicielowi gruntu przypaść by musiało i to, co na nim stoi, a Eryk z Falli był wam życzliwy.

Jan milczał dalej, ale Katarzyna nie mogła dłużej wytrzymać. Była wstrząśnięta do głębi.

— Eryk z Falli podarował nam ten kawałek gruntu, na którym stoi dom i nikt nam go odebrać nie może! — powiedziała.

— Ależ nie mam wcale tego zamiaru! — zawołał nowy właściciel Falli drwiącym głosem. — Chcę tylko rzecz doprowadzić do ładu. Tylko do tego zmierzam. Jeśli Jan do terminu jesiennego jarmarku zapłaci sto talarów bitych..... wówczas....

— Sto talarów! — zawołała Katarzyna głosem, który brzmiał jak krzyk rozpacz.

Lars nie rzekł ni słowa, zaciął tylko usta i milczał.

— Czemuż nie otworzysz ust, Janie? — spytała Katarzyna. — Czyż nie słyszysz, że Lars chce od nas sto bitych talarów?

— Być może, niełatwa to rzecz dla Jana dobyć tych talarów! — zauważył Lars. — Ale ja muszę obstawać przy tym, co jest moją własnością.

— I dlatego chcecie nam, gospodarzu, zrabować dom? — krzyknęła Katarzyna.

— Broń Boże! — odparł. — Dom jest wasz, ja chcę tylko zabrać swój grunt.

— Aha! — powiedziała Katarzyna. — Więc mamy zabrać nasz dom z waszego gruntu?

— Nie opłaci się może przenosić tego, co i tak nie zostanie waszą własnością!

— Aha! Zamierzacie mimo wszystko położyć ręce na naszym domu? — wykrzyknęła znowu.

Lars uczynił przeczący ruch ręką. Broń Boże! Nie chciał on wcale wejść w posiadanie domu. Wszakże mówił już o tym. Tylko kupiec z Broby przysłał subiekta z rachunkiem za pobrane, a niezapłacone towary. O to rzecz idzie.

Kupczyk dobył rachunków, a Katarzyna podała je Klarze, by zliczyła, ile wynoszą razem.

Okazało się, że suma długu osiągnęła kwotę stu talarów. Tyle byli winni w sklepie. Katarzyna, usłyszawszy to, pobleadła śmiertelnie. Potem, zwracając się do Larsa Gunnarsona, powiedziała:

— Widzę, że zamiarem waszym, gospodarzu, jest wygnać nas w szczerze pole!

— Nie! — powtórzył Lars. — Wcale tego nie chcę, jeśli jeno zapłacicie, co się należy...

— Larsie! Wspomnijcie waszych własnych rodziców! — zawołała Katarzyna. — I oni nie mieli się najlepiej, zanim przyżeniliście się do wielkiego majątku.

Przez cały czas mówiła sama jeno Katarzyna. Jan nie otworzył ust. Siedział, patrzył na Klarę Gullę, patrzył bez przestanku i czekał. Dla niego była sprawa zupełnie jasna. To, co zaszło, stało się wyłącznie po to, by mogła pokazać, co potrafi i do czego jest zdolna.

— Gdy zabierzesz dom biedakowi, już po nim! — lamentowała Katarzyna.

— Nie chcę wam wcale zabierać domu! — ponownie zawołał Lars Gunnarson. — Chcę tylko sprawę doprowadzić do porządku!

Ale Katarzyna nie słuchała co mówi, tylko zawodziła dalej:

— Dopóki biedak ma dom, czuje się podobnym do innych człowiekiem. Ale ten, komu zabrano dach własny, przestał być jako wszyscy ludzie!

Jan myślał. Katarzyna ma zupełną słuszość i mówi, jak należy mówić. Domek ich, postawiony ze starych belek, nie chronił od mrozu w zimie, pochylony był też na bok, bo ziemia rozstała się pod jednym węglem, przy tym był maleńki, a mimo to, gdyby go mieli utracić, musieliby mniemać, iż wszystko przepadło.

Ale Jan nie przypuścił ani na moment, by do tego dojść mogło. Wszak była obecna Klara Gulla i właśnie spostrzegł w jej oczach jasny błysk. Jeszcze chwila, a powie niezawodnie słowo lub uczyni coś, co przepędzi na cztery wiatry tych dwu szatanów dręczycieli.

— Naturalnie trzeba wam pozostawić czas do namysłu i zaradzenia sobie! — zauważył nowy gospodarz z Falli. — Tylko nie zapominajcie! Albo będziecie się musieli wynosić na pierwszego października, albo kupiec otrzyma sto talarów za towary, a ja sto za grunt... Rozumiecie?

Katarzyna załamywała spracowane dłonie. Nie wiedziała, co się z nią dzieje i mówiła sama do siebie, nie troszcząc się wcale, czy ktoś słucha, czy nie.

— Jakże się pokażę w kościele? Jakże się ośmielę stanąć ludziom do oczu, gdym zeszła na psy, tak że nie mam własnego dachu nad głową?

Jan rozmyślał nad czym innym. Otoczyły go wspomnienia związane z domem. Tu, w tym miejscu stała właśnie akuszerka w chwili, gdy mu podawała nowo narodzoną dziecinę. Tam stał oto pod drzwiami nazajutrz, kiedy słońce wyłoniło się z chmur i nadało imię jego córce. Domek, on sam i Klara Gulla stanowili jed-

ność, której rozerwać nie sposób. I dlatego nie mogą utracić domostwa swego.

Nagle dłoń Klary Gulli zwinęła się w pięść. Widział to dobrze i nabrał pewności, że teraz właśnie stanie się coś decydującego.

Lars Gunnarson i kupczyk wstali i skierowali się ku drzwiom. Powiedzieli: „do widzenia” i wyszli z domu. Nikt z obecnych w izbie nie oddał pozdrowienia.

Gdy znikli na zakręcie, dziewczyna dumnym ruchem odrzuciła głowę wstecz, wstała z krzesła i powiedziała:

— Wszystko będzie dobrze, gdy mi pozwolicie pójść w świat!

Katarzyna przestała gadać do siebie i załamywać ręce. Słowa te wznieciły błysk nadziei w jej sercu.

— Jest rzeczą możliwą zarobić do pierwszego października dwieście talarów! — powiedziała Klara Gulla. — Pozwólcie mi udać się do Sztokholmu, a gdy tam znajdę miejsce, to zaręczam, że dom ten i grunt zostanie waszą własnością. Przyobiecuję uroczyście!

Jan pobladł, słysząc te słowa i głowa mu opadła, jak gdyby miał zemdleć.

Wzniosły był czyn Klary! Czekał nań przez cały czas. Ale jakże zdoła żyć dalej, gdy go opuści córka? Nie mógł tego pojąć w żaden sposób.

STORSNIPA

Jan ze Skrołyki szedł tą samą drożyną leśną, którą przed kilku zaledwo godzinami wracał z kościoła wesoly i szczęśliwy wraz z Katarzyną i Klarą.

Długo się naradzał z żoną i na koniec postanowili zaczekać z wysyłaniem córki do miasta oraz nie czynić żadnych innych kroków. Przede wszystkim musiał się Jan udać do posła parlamentarnego, Karola Karlsona w Storwiku i spytać go, czy Lars Gunnarson jest w prawie zabrać im grunt i dom.

W całym obwodzie swartsjoeńskim nikt tak dobrze nie znał się na prawie i różnych rozporządzeniach jak poseł do parlamentu ze Storwiku. Kto był na tyle mądry, że zasięgnął jego

porady w sprawie podziału, spadku, sprzedaży, inwentaryzacji, aukcji, czy spisania testamentu, mógł być pewny, że wszystko będzie załatwione wedle prawa i sprawiedliwie i że nie będzie później pola do procesów i zatargów żadnych.

Ale poseł był to człowiek surowy, nieubłagany, opryskliwy i z wyglądu onieśmielający. Głos jego był tak twardy, że Jan zadrżał na samą myśl, iż ma przed nim stanąć.

— Gdy mnie tylko zobaczy, przede wszystkim zbeszta mnie okropnie za to, że nie wziąłem od Eryka z Falli żadnego pisemnego potwierdzenia darowizny. Nieraz tak zbijał z tropu i zatrważał ludzi, że nie mieli odwagi spytać go o poradę w nader ważnych sprawach i odchodzili z niczym.

Jan ruszył z domu bardzo pośpiesznie, toteż nie miał czasu zastanowić się nad tym, że ma stanąć do oczu przeraźnemu³⁶ posłowi. Teraz dopiero, idąc przez lasy askadalarneńskie ku szczytom gór, doznawał takiego strachu, że

³⁶przeraźny — dziś: przeraźliwy a. przerażający. [przypis edytorski]

drżał i wyrzucał sobie głupotę swoją. Powinien był zabrać Klarę Gullę.

Wychodząc z domu, nie widział nigdzie dziewczyny. Pewnie pobiegła gdzieś do lasu, siadła na samotnym miejscu i płacze, by ulżyć smutkowi, jaki ją przejmuje. Zawsze kryła się w podobnych chwilach, nie chcąc nikogo widzieć na oczy.

W tejże chwili, kiedy miał skręcać w wysokopienny bór posłyszał od prawej strony, wysoko ponad sobą jakiś śpiew i pohukiwanie radosne.

Przystanął i nadstawił ucha. Na górze śpiewała jakaś kobieta. Ale dziwne! Głos ten wydał mu się znany... dobrze znany... A przecież nie mogło to mieć miejsca, pod żadnym warunkiem!

Postanowił, zanim dalej pójdzie, dowiedzieć się, co to znaczy. Śpiew dolatał³⁷ wyraźny, dźwięczny, radosny, ale drzewa nie pozwalały zobaczyć śpiewaczki.

³⁷*dolatał* — dziś: *dolatywał*. [przypis edytorski]

Jan zboczył z drogi i zaczął się przedzierać przez gęstwę poszycia lasu, by jej przeciąć drogę.

Znajdowała się dalej, niż mniemał, przeto³⁸ śpieszył naprzód rażno coraz to dalej, mając ją ciągle przed sobą. Szła ciągle w górę i czasem wydawało się Janowi, że znajduje się wprost ponad nim.

Po pewnym czasie nie miał Jan żadnej wątpliwości, śpiewaczka szła prosto na szczyt Stor-snipy.

Szła niemal prostopadłą percią po skałach, najtrudniejszą z wszystkich dróg, ocienioną gęsto brzożami i wijącą się zygzakiem. Dlatego nie mógł jej dojrzeć. Ale mimo bardzo trudnej drogi szła szybko, jakby niesiona na skrzydłach i przez cały czas nie przestawała śpiewać.

Jan chciał jej znowu zejść ukosem, ale przez zbyt ni rozmach zbił się ze ścieżki, dostał się w gęstwę i został znowu w tyle.

Poza wszystkim, w miarę jak słuchał śpiewu, kładł mu się coraz to straszniejszy ciężar

³⁸przeto — więc. [przypis edytorski]

na piersi, tak że oddychał z trudnością i często musiał przystawać.

Kroczył teraz całkiem powoli, włókł się ledwo noga za nogą.

Niełatwa to rzecz rozpoznać głos, a w lesie sprawa jest jeszcze o wiele trudniejsza, gdyż wszystko niemal szemrze tam, gwarzy i śpiewa do wtóru.

Zaszedłszy już tak daleko, powiedział sobie, że musi zobaczyć tę dziewczynę, która w wielkim rozradowaniu płynie niejako na barkach po stromym zboczu góry, gdyż inaczej wątpliwości i pytania trapiłyby go do samego końca życia.

Wiedział też na pewno, że się przekonać musi, gdy dojdzie do szczytu, był on bowiem zupełnie łysy, pusty i tam nie mogło mu nic zasłonić widoku.

Dawniej szczyt Storsnipy był porośły gęstym lasem, ale przed dwudziestu kilku laty szalał tam straszliwy ogień i od tego czasu świecił sam wierch góry szeroką łysiną widną z daleka.

Dotarły tam wrzosa, krzaki borówczane i jałowce, pokrywając z wolna skały, ale dotąd nie stało ani jedno wyższe drzewo mogące kryć widok.

Od pożaru lasu otworzyła się stamtąd przepiękna panorama. Widać było wszystkie roztoki, położystą³⁹ dolinę z jeziorem pośrodku i strome góry stojące wokół na straży. Młodzież askadalarneńska, dostawszy się z ciasnej doliny na ten szczyt, nie mogła się mimo woli oprzeć przypomnieniu owej góry, z wierzchołka której kusiciel ukazał Chrystusowi Panu cuda świata, by go nimi oczarować.

Wyszędłszy z lasu na wolną przestrzeń, zobaczył Jan tuż przed sobą śpiewaczkę.

Na najwyższej grani skalnej, tam, skąd słał się najpiękniejszy widok, zbudowano z kamieni rodzaj estrady, a na ostatnim jej bloku stała Klara Fina Gulleborga w swej czerwonej sukience. Jasno odcinała się jej sylwetka od pobladłego firmamentu, a gdyby ktoś spojrział z roz-

³⁹*położysty* — dziś: rozłożysty. [przypis edytorski]

tok i lasów w górę, musiałyby ją niewątpliwie zobaczyć.

Patrzyła na krajobraz ścielący się milami wokół. Widziała nad brzegiem jeziora białe kościoły na wzgórzach, huty o wysokich kominach, dworce pańskie zapadłe w ogrody i parki, dworki chłopskie, zagrody i obejścia wzdłuż lasów, długie pasma łąń i pól uprawnych, wijące się drogi i znowu lasy bez końca i kresu.

Zrazu śpiewała jeszcze, potem umilkła i zatopiła się zupełnie w kontemplacji szerokiego świata leżącego przed nią niby otwarty atlas.

Na koniec wyciągnęła oba ramiona i zdawało się, że chce wszystko to, co było wokół, objąć uściskiem, że chce przytulić do piersi cały ten wielki, potężny, uroczy świat, z którego wykluczona była do tej pory.

Późną dopiero nocą wrócił Jan do domu, a gdy się tu znalazł, nie mógł sobie jakoś niczego dobrze przypomnieć. Twierdził, że był u Karola Karlsona i że z nim rozmawiał, ale nie pamiętał ni słowa z tego, co mu poseł poradził.

— Nie ma celu czynić żadnych kroków! — powtarzał raz po raz. I to była jedyna wiadomość, jaką Katarzyna zdołała zeń wydobyć.

Stał pochylony i śmiertelne znużenie malowało się na jego twarzy, a kaftan nosił ślady zetknięcia z mchem i ziemią.

Katarzyna spytała, czy upadł i potłukł się.

Odpowiedział, że nie, tylko położył się na chwilę na ziemi, by spocząć.

Spytała, czy się czuje chory.

— Nie, nie! — powiedział. — Tylko zdaje mi się, że coś przestało iść... coś stanęło... i już nie tętni!

Ale nie chciał powiedzieć, co stanęło w chwili, gdy się przekonał, że córka jego chce iść w świat szeroki dla ratowania ojcowizny, nie z miłości dla rodziców, ale dlatego, że tęskni do onego⁴⁰ wielkiego, szerokiego świata.

⁴⁰onego — owego; daw. *on*: ów, tamten. [przypis edytorski]

OSTATNI WIECZÓR

Onego ostatniego wieczoru poprzedzającego odjazd Klary Gulli do Sztokholmu, nie mógł jakoś Jan dojść z niczym do ładu i skończyć swych zajęć. Zaraz po powrocie z roboty powiedział, że musi iść do lasu po drzewo. Potem zajął się wstawianiem wyłamanej deski do furtki, która od roku już świeciła szeroką szczeliną, gdy zaś to skończył, zaczął z wielką troskliwością porządkować swoje przybory rybackie.

Przez cały czas rozmyślał nad tym, że dziwnym trafem nie odczuwa żadnego zmartwienia. Czuł się dziś znowu takim, jak przed osiemnastu laty. Nie umiał się radować ani też martwić. Gdy ujrzał na szczycie Storsnipy Klarę wyciągającą ramiona, by objąć świat, w tej chwili stanęło jego serce niby zegarek, który uderzył o coś z wielką siłą.

Podobne rzeczy odczuwał nieraz dawniej. Ludzie chcieli, by się radował z tego, że mu się ma urodzić dziecko. On jednak nie robił sobie

z tego nic a nic. Teraz spodziewali się znowu wszyscy, że będzie lamentował i rozpaczał. A on nie odczuwał żadnego zmartwienia.

W izbie było mnóstwo ludzi, bo cała wieś zbiegła się pożegnać wyjeżdżającą Klarę. A Jan wstydził się po prostu wejść, bo zobaczono by, że ani nie płacze, ani się nie żali. Lepiej się tedy było nie pokazywać, ale siedzieć w szopie.

W każdym razie lepiej się stało dla niego, że sprawa tak się ułożyła, gdyż inaczej trudno sobie wyobrazić, jak by zdołał przeżyć chwilę rozłąki i zwalczyć bezmierny ból.

Przechodząc pod oknami, zobaczył, że izba przystrojona jest w wieńce, a na stole stoją filiżanki z kawą, zupełnie tak, jak onego dnia, o którym nie mógł zapomnieć. Katarzyna urządziła uroczystość pożegnalną dla córki wyruszającej w świat dla ratowania ojcowizny.

Niezawodnie wszyscy w izbie musieli płakać, zarówno ci, którzy przyszli z pożegnaniem, jak i matka wraz z córką. Słyszał nawet aż na podwórzu szlochanie Klary, ale nie czyniło to nań żadnego wrażenia.

— Kochani ludzie, uspokójcie się — mamrotał do siebie, stojąc w drzwiach szopy — wspomnijcie bodaj ptaki! Wszakże zostają wyrzucone z gniazda, gdy nie chcą iść precz z własnej woli. Czyście widzieli kiedy młodą kukułkę? Co za przykry obraz przedstawia to duże, tłuste ptaszysko próżniacze, gdy leży w gnieździe i domaga się jadła, a biedni rodzice zamęczają się w celu dostarczenia pożywienia żarłokowi.

„Wszystko jest tak, jak być powinno — myślał dalej. — Młodzi nie mogą siedzieć ciągle na karku starym... trzeba koniecznie, by szli w świat... tak, tak, kochani ludzie, inaczej być nie może!”

Na koniec uciszyło się w izbie. Sąsiedzi odeszli zapewne, teraz więc mógł wracać.

Przez chwilę jeszcze porządkował wędki i sieci. Wolałby znaleźć się w izbie, dopiero gdy Klara i Katarzyna położą się i zasną, zanim próg przekroczy.

Toteż dopiero kiedy już nie dolatał⁴¹ doń bardzo długo żaden szmer, wśliznął się ostrożnie i cicho niby złodziej do środka.

Ale kobiety nie położyły się jeszcze i mijając okna, zobaczył Klarę Gullę. Siedziała oparta łokciami o stół, a głowę złożyła na dłoniach. Wydało mu się, że ciągle jeszcze płacze.

Katarzyna była zajęta pakowaniem pośrodku izby i Jan widział, jak zawija naręcz sukien Klary w dużą chustkę.

— Dajcie temu spokój, matko! — ozwała się dziewczyna, nie podnosząc głowy. — Wiedzicie przecież dobrze, ojciec gniewa się na mnie, że jadę...

— Oo... przeprosi się on niedługo... — odparła Katarzyna obojętnie.

— Mówicie tak, bo nic sobie z niego nie robicie! — zawołała głośno, łkając Klara. — Na myśli wam tylko dom! Ale ja i ojciec jesteśmy jedna dusza... Nie mogę go opuścić!

— A cóż będzie z domem? — spytała Katarzyna.

⁴¹*dolatał* — dziś popr.: *dolatywał*. [przypis edytorski]

— Niech będzie co chce, byle ojciec kochał mnie dalej! — załkała Klara.

Jan odstąpił od drzwi, gdzie się zatrzymał, przekroczył próg i usiadł na nim. Nie wierzył, by Klara została w domu. Nie, wiedział on lepiej od innych, że musi ruszyć w szeroki świat. A mimo to wydało mu się, że znowu trzyma w ramionach ów zwitek bielizny i chustek, jak to było wówczas. Serce jego zaczęło bić znowu. Biło szybko, tętniło głośno, śpieszyło się, jakby stanęło przed laty i chciało nadrobić opóźnienie, dogonić właściwą liczbę uderzeń.

Jednocześnie uczuł Jan, że został bez ochrony, bez podpory na świecie.

Zjawił się ból, zjawiała troska, wypełzły kędyś z dna, niby z przepaścistej studni i rozesłały się przeraźnymi⁴² cieniami wokół.

Wiedział, że są straszne, czuł ich ukąszenia, a jednak rozwarł ramiona szeroko, na twarzy jego zjawił się uśmiech szczęścia i szepnął:

— Witajcie! Witajcie! Witajcie!

⁴²przeraźny — dziś: przeraźliwy a. przerażający. [przypis edytorski]

W PRZYSTANI

Statek parowy „Anders Aksel” odbił dawno od przylądka w Borgu, unosząc na pokładzie Klarę Gullę, a Jan i Katarzyna stali ciągle jeszcze na pomoście i patrzyli za nim, chociaż znikł im sprzed oczu i nie było już zeń śladu. Wszyscy, którzy mieli cokolwiek do czynienia w przystani, poszli sobie do innych zajęć. Dozorca zdjął flagę i zamknął magazyn, ale para wyrobników nie ruszała się z miejsca, stali oboje, nie mogąc się zdobyć na powrót do domu.

Dopóki mogli śledzić spojrzeniem statek, rzecz była zupełnie naturalna, czemu jednak stali tutaj, gdy znikł, nie wiedziało zapewne żadne z nich.

Być może nie wracali dlatego, że bali się iść tak osamotnieni długą drogą, a potem znaleźć dom pusty i smutny.

„Teraz już tylko dla niego samego przyjdzie mi gotować i na niego już tylko wyczekiwać będę! — myślała Katarzyna. — A czymże mi on jest właściwie? Mógł sobie z nią jechać!

Dziewczyna jedna tylko rozumiała tę głupią gadaninę, ja nigdy nie wiem, o co mu idzie! Lepiej by mi było zostać samą!”

„Wolałbym sam się pasować ze smutkiem moimi — myślał Jan. — Cóż mi z tej głupiej, swarliwej Katarzyny? Będzie dreptała po izbie i gadała trzy po trzy! Dziewczyna umiała z nią tak postępować, że była wesoła i łagodna, teraz wyjdzie na wierzch jej natura właściwa i nie usłyszę już nigdy dobrego słowa!”

Nagle drgnął Jan i cofnął się wstecz. Potem pochylił się i zdjęty podziwem padł na kolana. Oczy jego rozbłysły, a twarz oblał uśmiech szczęścia.

Wpatrywał się w wodę i Katarzyna pewna była, że widzi tam coś niezwykłego, mimo że niczego dostrzec nie mogła, chociaż stała przy nim blisko. Nie... nie... nie było nic niezwykłego na wodzie. Gonіły się tylko po powierzchni szarozielone fale, igrały ze sobą bez końca... bez końca. Zresztą nic.

Jan posunął się na sam koniec pomostu i pochylił się nad wodą z wyrazem twarzy, jaki

miał wówczas jeno, kiedy widział idącą na jego spotkanie Klarę Gulle, a jakiego nie przybierał nigdy, rozmawiając z kim innym.

Usta były otwarte, drżały wargi, ale ani jedno słowo nie doleciało do uszu Katarzyny. Po licach jego śmigwały jasne uśmiechy, zupełnie jakby dziewczyna stała przed nim i żartowała z nim wesoło.

— Cóż ci to Janie? — spytała Katarzyna.

Nie odpowiedział, uczynił tylko ręką gest, jakby nakazywał milczenie.

Zaraz potem uniósł głowę w górę i wpatrzył się w dal, śledząc najwyraźniej oczyma coś, co się oddalało od brzegu ginąc na falach.

Odpływało szybko, niby statek przed chwilą, a niebawem Jan stanął wyprostowany i przysłonił oczy dłonią, by lepiej widzieć.

Tak trwał w bezruchu, aż wszystko znikło. Potem zwrócił się do Katarzyny, przysunął się nawet całkiem blisko do niej.

— Czyś co widziała? — spytał.

— Cóż mogłam widzieć na wodzie prócz fal?... Wszakże niczego więcej nie ma! — odparła.

— Dziewczyna wróciła łódką! — powiedział tak cicho, że ledwo dosłyszeć mogła ten szept. — Pożyczyła jej sobie od kapitana. Widziałem najdokładniej nazwę na dziobie, była ta sama, jaką nosi statek. Odjeżdżając powiedziała, że czegoś zapomniała, że musi koniecznie z nami o czymś jeszcze pomówić.

— Boże miłosierny! — zawołała Katarzyna. — Pleciesz od rzeczy! Gdyby dziewczyna wróciła, musiałabym ją przecież i ja również zobaczyć!

— Cicho bądź! Inaczej nie powiem ci, czego od nas chciała! — wyszeptał uroczyście i tajemniczo. — Otóż mówiła, że serce ją boli na myśl, co teraz z nami będzie. Dotąd kroczyła pośrodku nas, trzymając jedną ręką mnie, drugą ciebie i wszystko było dobrze. Ale gdy jej zbraknie i nie będzie nas trzymała razem, to kto wie, co się stać może. Możliwe, powiedzia-

ła, że matka i ojciec rozejdą się każde w swoją stronę.

— Że też dziewczyna i o tym nawet nie zapomniała? — wykrzyknęła Katarzyna.

Wstrząsnęły ją do głębi usłyszane słowa, gdyż wyrażały własne jej myśli, jakie przed chwilą snuła. Toteż zupełnie zapomniała o niemożliwości powrotu córki do przystani w łodzi i niedorzeczności przypuszczenia, by mogła rozmawiać z mężem, niewidzialna także dla niej.

— Wróciłam — opowiadał dalej Jan — wróciłam, jak mogłam najszybciej, by połączyć wasze ręce. Nie wolno wam ich puszczać, musicie to uczynić dla mnie, trzymajcie się tedy tak długo, aż wrócę i będę mogła znowu stanąć pośrodku, by was połączyć, jak przedtem. Powiedziała to i zaraz odpłynęła!

Przez chwilę trwało milczenie, potem ozwał się znowu Jan niepewnym, trwożliwym głosem, wyciągając do żony rękę, dziwnie miękką i delikatną, mimo ciężkiej roboty od wielu, wielu lat.

— Oto moja dłoń! Czynię to na życzenie Klary Gulli.

— Masz moją! — odparła Katarzyna. — Nie pojmuję wprawdzie, jak się to wszystko mogło stać, o czym mówisz, nie wiem, jak mogłeś ją widzieć, ale ponieważ życzyście sobie oboje, byśmy się trzymali razem, tedy zgadzam się!

Udali się z powrotem do domu, idąc ręka w rękę przez całą, długą drogę do Skrołyki.

LIST

Minęło kilka tygodni od wyjazdu Klary Gulli, a Jan znajdował się pewnego ranka na halach wysoko na upłazach gór położonych, gdzie pasły się trzody. Naprawiał zepsute zagrodzenie jednego z pastwisk Larsa Gunnarsona. Z miejsca, gdzie pracował, słyszał poszum drzew i widział samicę głuszca otoczoną młodymi, szukającą pożywienia w trawie pod jedlami⁴³. Już prawie kończył robotę, gdy nagle posłyszał dolatujący od strony trzęsawisk rozpaczny⁴⁴ po-

⁴³pod jedlami — dziś: pod jodłami. [przypis edytorski]

⁴⁴rozpaczny — dziś: rozpaczliwy. [przypis edytorski]

ryk. W głosie tym był strach śmiertelny, tak że zadrżał od stóp do głowy.

Nastawił uszu i za moment doleciał go ryk ponownie. Teraz nie bał się już, bowiem wiedział, że to było wołanie o pomoc, przeto trzeba było śpieszyć co prędzej.

Rzucił robotę i pobiegł przez lasek brzozy w gęsty bór. Nie potrzebował szukać daleko, bo niebawem miał przed oczyma wszystko. Pomiedzy drzewami słało się wielkie, niebezpieczne trzęsawisko. Jedna z krów Larsa zapędziła się za daleko i dostała w miejsce, gdzie torfiasty grunt mógł wprawdzie unieść jej ciężar, ale pod spodem stała woda, przeto za każdym stąpieniem torf ustępował i zwierzę zapadało się coraz to głębiej.

Krowa ta była najlepszą sztuką bydła w całej stajni Larsa. Jan spostrzegł to zaraz i przypomniał sobie, że dawano za nią dwieście talarów bitych.

Krowa tkwiła w bagnie. Przestraszona była do tego stopnia, że nie ruszała się wcale, a tylko od czasu do czasu wydawała słabe ryki rozpa-

czy. Ale Jan zauważył wysiłki, jakie czyniła, by się wydostać na twardy grunt, bo obryzgana była aż po rogi błotem, a zielonawe torfowisko i mech rozdeptane i poszarpane były racicami w szerokim kręgu wokoło niej.

Janowi dziwne się wydało, że nikt prócz niego nie słyszał ryku, bo krowa musiała przecież odzywać się głośno w pierwszej chwili. Widocznie ludzie byli daleko albo nie domyśleli się, o co idzie. Zdawszy sobie z wszystkiego sprawę, bez chwili zwłoki pobiegł na folwark po ratunek.

Była to ciężka robota. Pokładzono na trzęsawisku deski i drągi i obwiązano krowę powrozami, by ją na nich wyciągnąć. A niełatwo to przyszło, bo w chwili gdy się zaczął ratunek, krowa zapadła się już z grzbietem i tylko głowa jej sterczała ponad wodą i błotem.

Na koniec wydobyto zwierzę, postawiono na twardym gruncie i odprowadzono szczęśliwie do stajni. Gdy już było po wszystkim, gospodyni oświadczyła, że uraczy kawą tych, którzy najgorliwiej pracowali nad ocaleniem.

Nikt gorliwszy nie był od Jana ze Skrołyki. Przy tym jego to było wyłączną zasługą, że dowiedziano się o wypadku i pośpieszono z rątkiem. A krowa była nie lada sztuką, skoro dawano za nią aż dwieście talarów.

Wielkie szczęście spotkało Jana, bo niepodobieństwem było wprost, by nowy właściciel Falli nie odwdzieczył się za czyn taki.

Coś podobnego przydarzyło się raz za dawnych właścicieli. Koń wbił sobie w bok pał z płotu, a Eryk nagrodził dziesięciu talarami tego, który doniósł o wypadku i pomógł doprowadzić zwierzę do stajni. Stało się to zaś, pomimo iż konia nie dało się uratować i musiano zastrzelić.

Krowa żyła i nie poniosła żadnego szwanku, toteż niezawodnie Jan będzie się mógł udać nazajutrz do kościelnego lub innego umiającego pisać człowieka, by mu napisał list, wzywający Klarę z powrotem do domu.

Jan wyprostował się mimo woli i podniósł głowę, wchodząc do izby czeladnej. Stara Erykowa krzątała się dokoła stołu, roznosząc fili-

żanki gorącej, wonnej kawy, a Jan nie zdziwił się wcale, że mu podała sama i to jeszcze przed tym, zanim Lars otrzymał swoją porcję.

Podczas picia rozpowiadali wszyscy, jak odważny okazał się Jan. Sami tylko nowi właściciele, ani Lars, ani jego żona, nie otwarli ust i nie wyrzekli słowa pochwały.

Ale Jan był tak pewny, że minęły dla niego złe czasy i że szczęście zbliża się doń szybkim krokiem, iż bez trudności znalazł pocieszenie mimo milczenia Larsa i wytłumaczył je sobie.

Oto milczał zapewne dlatego, by to, co miał powiedzieć, wywołało tym większe wrażenie.

Co prawda, jakoś zbyt długo zwlekał ze swoją pochwałą. Inni nagadawszy się do syta, umilkli i uczuli się po trochu zakłopotani.

Kiedy stara Erykowa poprosiła na drugą filiżankę, wzbraniało się wielu z grzeczności, a między nimi Jan.

— Napij no się, mój Janie! — rzekła Erykowa. — Gdyby nie ty, stracilibyśmy dzisiaj naszą Łysą, która warta jest dwieście talarów!

Po słowach tych nastąpiło długie, kłopotliwe milczenie, a oczy zebranych zwróciły się na pana domu, który teraz winien był nareszcie wypowiedzieć bodaj kilka słów uznania i dać wyraz swej wdzięczności.

Lars odchrząknął raz i drugi, jakby chciał dać temu, co powie, szczególne znaczenie i ozwał się:

— Cała ta sprawa wydaje mi się nieco dziwna! Wszyscy wiemy, że Jan dłużny jest dwieście talarów, a on także wie, że mi na wiosnę dawano za Łysą taką samą kwotę. Jakież to jednak dziwne, iż krowa wpadła do bagna, a uratował ją nie kto inny, ale właśnie on sam? Jakże się to wszystko razem zgadza... nie powiedzieć.

Zamilkł i znowu odchrząknął. Jan wstał i zbliżył się, ale ani on, ani żaden z obecnych nie wiedział, co powiedzieć.

— Nie wiem dlaczego właśnie Jan posłyszal ryk krowy w bagnisku? — ciągnął dalej Lars. — Być może, że kiedy się zdarzył wypadek, znajdował on się bliżej Łysej, jak nam to powiedział? Może skorzystał ze sposobności

pozbycia się długu i może sam wpędził krowę w trzęsawisko...?

Pięść Jana spadła z taką siłą na stół, że filiżanki podskoczyły wysoko w górę.

— Sądziś drugich według samego siebie!
— zawołał. — Ty jesteś zdolny do czegoś takiego, ale nie ja! Wiedz, że przeniknąłem obłudę twoją! Przypomnij sobie dzień, kiedy to zdarzyło się owo nieszczęście w zimie...

Właśnie w tym momencie, kiedy miał wyrzec słowa, które by spowodowały śmiertelną nienawiść Larsa i jego zemstę mogły wywołać, pociągnęła go stara Erykowa za rękaw i rzekła:

— Wyjrzyj no oknem, Janie!

Jan spojrział i zobaczył Katarzynę idącą szybko przez podwórze z listem w podniesionym ręku.

Był to zapewne list od Klary Gulli, którego rodzice z utęsknieniem wyczekiwali od czasu wyjazdu córki. Katarzyna wiedziała, jaką radość sprawi Janowi, przyniosła mu go tedy niezwłocznie po otrzymaniu.

Jan popatrzył mętnym wzrokiem wokoło. Paliły go w język zabójcze, straszne słowa, ale nie miał już czasu rzucić ich na głowę Larsa. Nie szło mu już teraz o zemstę nad tym człowiekiem! Nie szło mu nawet o własną obronę, ni honor. List pociągnął go siłą przemożną, tak że się nie mógł oprzeć i wybiegł z izby naprzeciw Katarzyny, zanim zebrani ochłonąć mogli z przerażenia, jakim przejął ich straszliwy zarzut, który miał cisnąć w ich chlebobawcę i pana.

AUGUST DÄR NOL

Minął już miesiąc, od kiedy Klara Gulla wyjechała ze Skrołyki, a koło tego właśnie czasu przybył pewnego wieczoru z Prästerudu do Askadalarny August Där Nol.

Uczęszczał on przez kilka lat razem z Klarą Gullą do szkoły i wraz z nią przystąpił do konfirmacji. Był to młodzieniec uczciwy, prawy i cieszył się jak najlepszą opinią, rodzice zaś jego posiadali znaczny majątek, tak że w przy-

szłość mógł patrzeć z całym spokojem i pewnością.

Od pół roku nie było go w domu, toteż dopiero po powrocie dowiedział się, że Klara Gulla ruszyła w świat, by zarobić dwieście talarów dla zapłacenia długu rodziców.

Matka jego opowiedziała mu to przy sposobności, zanim jednak skończyła swą opowieść, August pochwycił czapkę i wybiegł z domu. Szedł śpiesznie, nie zatrzymując się, dopóki nie stanął u zielono malowanej furtki wiodącej do domu Jana.

Ale gdy się tam znalazł, nie wszedł do środka, tylko oparł się o płot i zapatrzył się na dom.

Katarzyna zobaczyła go przez okno i wyszła na dwór pod pozorem zaczerpnięcia wody z potoku. Ale August nie pozdrowił jej i nie dał też w inny sposób poznać, że chciałby z nią porozmawiać.

Po chwili wrócił Jan z lasu z brzemieniem drzewa na plecach. Där Nol odszedł na bok, widząc, że zmierza do furtki, potem jednak, gdy Jan wszedł do środka, zajął poprzednie sta-

nowisko. Kiedy tak stał, otwarto okno chaty wyrobnika, oddalone o kilka zaledwie sięgnięć ręki od Augusta, i chłopak zobaczył siedzącego w izbie Jana z fajką, a po drugiej stronie stołu Katarzynę z pończochą w rękach.

— Tak... tak... moja stara! — powiedział Jan — Dobrze nam tu siedzieć wieczorem. Teraz rad bym jeno jeszcze doczekać się jednej rzeczy...

— O, ja bym chciała stu różnych rzeczy! — odparła. — A nawet, gdyby wszystkie spełniły się razem i wtedy nie byłabym jeszcze szczęśliwa!

— Ja chciałbym tylko, by zjawił się sieciarz Ola albo inny umiejący czytać i by nam odczytał list Klary Gulli! — powiedział Jan.

— Ach! Musisz chyba list ten umieć słowo w słowo na pamięć! — odparła Katarzyna. — Czytano ci go już niezliczone razy od czasu, gdy nadszedł.

— To prawda! — powiedział. — Ale zawsze miło słuchać. Wydaje mi się, że dziewczyny-

na jest obecna, że z nią rozmawiam, że patrzę jej w oczy i widzę jej uśmiech.

— Tak... tak... posłuchałabym chętnie i ja!
— zgodziła się Katarzyna, wyglądając oknem.
— Ale dziś piękny, pogodny wieczór, więc ludzie nie zagląдают w naszą pustac, ale poszli tam, gdzie się można zabawić. Nikt nie ma dziś do nas interesu.

— Gdyby mi tak teraz przy fajce ktoś przeczytał list, wolałbym to niż babkę z kawą! Niestety, ludzie z Askadalarney mają mnie już dość, bo każdego prosiłem po kilka razy o czytanie listu.

W tej chwili drgnął Jan ze zdumienia, gdyż drzwi się otwarły ledwo mówić skończył i na progu ukazał się Där Nol.

— Hej! Przychodzisz jak na zawołanie, drogi Auguście! — zawołał Jan, przywitawszy gościa i usadowiwszy go wygodnie. — Dostałem list i chciałbym bardzo, byś mi go odczytał głośno. Jest to list twej koleżanki szkolnej. Może cię zaciekawi, co z nią słychać?

August Där Nol wziął spokojnie list do ręki i przeczytał. Wygłaszał poszczególne słowa pomалу, jakby się chciał każdym z nich nasycić i wchłonąć w siebie.

Gdy skończył, powiedział Jan:

— Pięknie czytasz, Auguście. Nigdy jeszcze nie brzmiały tak ślicznie słowa Klary Gulli, jak kiedyś je wymawiał swymi ustami. Zrób mi tę przyjemność i przeczytaj jeszcze raz!

Młodzienciek przeczytał list raz jeszcze z takim samym namaszczeniem. Wydawało się, że pije spragnionymi ustami⁴⁵ z ożywczego źródła.

Gdy skończył, złożył list i przeciągnął po nim pieścizotliwie dłonią. Potem chciał oddać, ale spostrzegł, że jest niedobrze złożony i uczynił to raz jeszcze.

Siedział, nie mówiąc ni słowa. Jan chciał nawiązać pogawędkę, ale nie powiodło mu się to. Po chwili wstał August Där Nol i oświadczył, że musi odejść.

— Dobrze gdy ktoś drugiemu uczyni przysługę! — rzekł Jan. — Dziękuję ci chłopcze!

⁴⁵usty — dziś: ustami. [przypis edytorski]

Chociaż, co prawda rad bym, byś mi jeszcze jedną przysługę wyświadczył. Patrz, tam leży kotek Klary Gulli. Powinniśmy go byli zabić, bo nie mamy mu co dać jeść teraz, ale ja nie mam serca go zastrzelić, a Katarzyna nie może się zdobyć na to, by go utopić. Zanim przybyłeś, rozmawialiśmy właśnie o tym, że musimy kogoś prosić o pomoc.

August Där Nol wybąknął kilka całkiem niezrozumiałych słów.

— Włóż kota do koszyka, Katarzyno! — powiedział Jan. — August go weźmie i zrobi tak, byśmy go już nie widzieli na oczy!

Katarzyna wzięła małego kotka śpiącego na łóżku, włożyła go w stary koszyk, przewiązała krajką⁴⁶ i podała Augustowi.

— Cieszę się, że się go pozbył! Jest wesoły i mądry, znanadto mi też przypomina Klarę Gullę. Dlatego najlepiej będzie pozbyć się go!

⁴⁶*krajka* — brzeg tkaniny; taśma ozdobna, wstęga do przewiązywania. [przypis edytorski]

August Där Nol ruszył bez słowa ku drzwiom. Nagle obrócił się, chwycił rękę Jana i uścisnął silnie.

— Dziękuję wam! — powiedział. — Dałście mi więcej, niż się wam wydaje!

— Mylisz się! — powiedział do siebie Jan, gdy August wyszedł. — Mylisz się, chłopcze bardzo! To są rzeczy, na których się doskonale rozumiem. Wiem com ci dał i wiem także, kto mi to polecił uczynić.

PIERWSZY PAŹDZIERNIKA

Dnia pierwszego października Jan ze Skrołyki leżał przez całe popołudnie ubrany na łóżku z twarzą do ściany obróconą i mimo wszelkich wysiłków nie można zeń było wydobyć słowa.

Przed południem byli razem z Katarzyną w przystani w Borgu w celu powitania i zabrania do domu Klary Gulli. Nie tylko nie pisała, ale nigdy nie wspominała o tym, że przyjedzie w dniu pierwszego października. Nie było

o tym w ogóle mowy. Tylko Jan wyrachował sobie, że się ma tak stać niewątpliwie.

Wszakże pierwszego października miał zostać zapłacony dług Larsowi Gunnarsonowi, przeto tegoż dnia musiała Klara Gulla przybyć z pieniędzmi. Jan nie spodziewał się jej powrotu prędkiej, bo naturalnie musiała pozostać w Sztokholmie tak długo, aż zbierze potrzebną sumę. Nie mógł uwierzyć, by miała zostawać dłużej, chyba w wypadku, gdyby nie zdołała zarobić tyle. Ale nawet w razie niepowodzenia, po dniu pierwszego października sprawa była i tak przegrana i dalsza jej nieobecność zbyteczna.

Jan stał na cyplu pomostu i przedstawiał sobie, jak się to wszystko odbędzie. Oto Klara zobaczy z pokładu rodziców i przybierze smutną minę. Wysiadłszy powie, że jej się nie udało zebrać całej kwoty.

Wówczas oboje, on z Katarzyną, udadzą, że biorą to na serio, a Jan oświadczy, że go to bardzo dziwi, iż śmiała wracać do domu, wiedząc dobrze, że zarówno Katarzynie, jak i jemu tylko o pieniądze idzie.

Pewny był dalej, iż zanim wyjdą z przystani, Klara wyjmie z kieszeni pełny portfel i złoży go w ręce rodziców.

Ułożył sobie, że poleci potem Katarzynie liczyć banknoty, a sam włoży ręce w kieszenie i będzie patrzył na córkę długo... długo... bez końca.

Przekona się wówczas Klara Gulla, że nie szło mu przez cały czas o nic innego tylko o to, by wróciła do domu i powie, że zastaje ojca równie ograniczonym i dziecinnym, jak był, kiedy odjeżdżała.

Tak sobie wymarzył Jan powitanie córki, ale marzenie owo nie spełniło się wcale.

Nie byli zmuszeni dnia tego czekać długo w przystani, bo parowiec nadpłynął w czasie właściwym. Na pokładzie było mnóstwo ludzi i towarów, albowiem w Broby odbywał się właśnie jarmark. W pierwszej chwili nie mógł tedy wiedzieć, czy Klara przybyła, czy nie.

Spodziewał się co prawda, że pierwsza postawi nogę na pomoście łączącym pokład z lądem, ale zamiast niej zobaczył jeno kilku męż-

czynn. Gdy się i potem nie pokazywała, chciał wbiec na pokład i rozejrzeć się, jednak ścisk był za duży i utknął w tłumie. Mimo wszystko tak był pewny swego, że gdy ściągano most, krzyknął kapitanowi, by nie odbijał, bo nie wszyscy jeszcze wysiedli.

Kapitan zastosował się do jego życzenia, zatrzymał statek i spytał służby, czy jest jaki jeszcze pasażer do Svartsjö. Ale nie było nikogo, przeto ruszono dalej.

Musieli tedy sami wracać do domu, a gdy przyszli, Jan rzucił się jak stał na łóżko. Czuł straszne znużenie i był tak wyczerpany, że nie mógł zebrać tyle sił, by sięść.

Askadalarnczycy spostrzegli zaraz, że Jan z Katarzyną sami wrócili do domu i zadawali sobie wzajem pytania: co się teraz z nimi stanie. Potem jeden sąsiad po drugim jawili się u Jana, by się dowiedzieć, co słyhać.

Ciągle wentylowano kwestię, czy naprawdę Klara Gulla nie przybyła statkiem, a dalej dziwowano się, że przez cały wrzesień nie pisała do rodziców i nie dała o sobie wieści.

Jan nie odpowiadał na żadne pytanie. Leżał milcząc na łóżku i nie zwracał uwagi na wchodzących i wychodzących.

Katarzyna sama udzielała, jak mogła, wyjaśnień, a sąsiedzi myśleli oczywiście, że Jan leży i milczy powalony zmartwieniem z powodu rozpaczliwej konieczności wynoszenia się z domu. Nie robił sobie nic z ich przypuszczeń i leżał dalej jak martwy.

Katarzyna płakała i zawodziła żałością, a sąsiadom wydawało się, że muszą zostać, by jej okazać współczucie i wysilali się na różne sposoby pocieszania.

Niepodobieństwem jest, by Lars Gunnarson zabrał im dom, mówili. Nie dopuściłaby przecież do tego stara Erykowa z Falli, osoba uczciwa i bogobojna.

Zresztą dzień się jeszcze nie skończył, a Klara Gulla może zjawić się w ostatniej choćby chwili. Byłaby to zresztą rzecz arcydziwna, by jej się udało zarobić w krótkim okresie trzech miesięcy dwieście talarów. Chociaż znowu przy-

znać trzeba, że dziewczynie tej we wszystkim sprzyjało wyjątkowe szczęście.

Gadano tak i owak i rozważano szanse pomysłów i niepomysłnych. Katarzyna opowiadała, że Klara w pierwszych tygodniach nic odłożyć nie mogła. Zrazu mieszkała u znajomych ze Svartsjö i płaciła im jeszcze za utrzymanie swoje.

Potem na szczęście spotkała na ulicy owego przekupnia, od którego dostała czerwoną sukienkę i przy jego pomocy dostała się do służby.

Zastanawiano się, czy ów przekupień mógł jej też dostarczyć pieniędzy, ale zgodzono się, że jest to rzecz zgoła nieprawdopodobna.

— Nie ma rzeczy nieprawdopodobnych — zauważyła Katarzyna — ale ponieważ Klara ani nie wróciła, ani listu nie przysłała, przeto najwyraźniej nie powiodła jej się cała sprawa.

Z każdą chwilą odczuwali zebrani w izbie coraz to większy niepokój i obawę. Wydawało im się, że lada moment spotka coś strasznego biednych, mieszkających tu ludzi.

Właśnie gdy smutny ten nastrój osiągnął punkt najwyższy, otwarły się nagle drzwi i w progu stanął człowiek, którego chyba nikt dotąd nie widział w Askadalaranie, gdyż nie zjawiał on się w tak zapadłych kątach obwodu.

Gdy wszedł, uczyniła się w izbie taka cisza, jaka się zdarza jeno w lesie w czasie grudniowej nocy. Oczy wszystkich zwróciły się na przybyłego, tylko Jan nie wstał, nie obrócił się i nie spojrział nawet wówczas, gdy mu Katarzyna szeptała, że przybysz jest to poseł do parlamentu Karol Karlson ze Storwiku.

Poseł dzierzył w ręku złożony papier, a wszyscy zgromadzeni pewni byli, że przybywa imieniem właściciela Falli oznajmić Janowi i Katarzynie, co ich czeka wobec tego, że nie zapłacili w terminie należności⁴⁷.

Spoczęły tedy na Karolu Karlsonie spojrzenia smutne i zatroskane, on jednak miał swą zwykłą, nakazującą szacunek, surową minę i nikt nie mógł z niej wywnioskować, jaki ciężki cios rzuci za chwilę.

⁴⁷należność — dziś: należność. [przypis edytorski]

Podał rękę Katarzynie naprzód, potem zaś wszystkim obecnym, a ci wstawali po kolei, w miarę jak się zbliżał, i witali się grzecznie.

— Nie jestem dostatecznie obeznany z tą okolicą! — zaczął poseł. — Wszakże się nie mylę? Znajdujemy się w miejscowości Aska-dalarny, zwanej Skrołyką?

Potwierdzono zgodnie, ale jeno skinieniem głowy, gdyż żaden z obecnych wymówić głośno słowa nie był w stanie. Dziwiono się nawet, że Katarzyna zdobyła się na tyle przytomności, by trącić Börjego, który wstał i podał krzesło posłowi.

Posel przysunął krzesło do stołu, usiadł i położył przede wszystkim na stole papier trzymany w ręku. Potem dobył tabakierki i położył ją obok papieru. Następnie wyjął okulary z futerału i przetaił starannie chustką w niebieskie kratki.

Ukończywszy te pierwsze przygotowania, poseł rozejrzał się wokoło. Wszyscy zebrani w izbie byli to biedacy, których nawet z imion i nazwisk nie znał wcale.

— Chciałbym pomówić z Janem Andersonem ze Skrołyki! — powiedział.

— To ten, który leży na łóżku! — rzekł stary sieciarz Ola, pokazując palcem.

— Czy chory? — poinformował się poseł.

— Nie, nie! — odparło kilku.

— I nie pijany! — dodał Börje.

— I nie śpi także! — dorzucił Ola.

— Odbył dziś daleką drogę! — powiedziała Katarzyna. — Zmęczył się bardzo!

Pewna była, że to sprawę najlepiej załatwia. Jednocześnie pochyliła się nad mężem, chcąc go skłonić, by wstał.

Ale Jan nie ruszył się.

— Czy rozumie, co powiem? — spytał znowu poseł.

— Naturalnie... oczywiście! — zawołali wszyscy chórem.

— Może się boi złych wiadomości z powodu, że sam pan poseł Karol Karlson ze Storkwiku przybył doń w odwiedziny! — zauważył sieciarz Ola.

Poseł zwrócił ku niemu głowę, spojrział na starego o czerwono obwiedzionych oczach i rzekł:

— Ola Bengsta nie miał nigdy powodu bać się spotkania z Karolem Karlsonem i póki się spotykali, było pół biedy!

Potem zwrócił się znów do stołu i zaczął czytać to, co było napisane na papierze.

Zebrani doznali ogromnej ulgi, a nawet ogarnęła ich radość. Wszakże w głosie posła przebiła coś, co przy dobrej woli można było wziąć za życzliwość... ba... niektórym zdało się, że kąciki ust posła zadrgały uśmiechem.

Przeczytawszy, poseł rzekł:

— Sprawa ma się tak. Przed kilku dniami dostałem list podpisany przez Klarę Finę Gulleborgę, córkę Jana Andersona ze Skrołyki, w którym to liście donosi mi ona, że przed trzema miesiącami wyjechała z domu, by zarobić dwieście talarów, które rodzice jej mają w dniu pierwszego października zapłacić Larsovi Gunnarsonowi za prawo własności gruntu, na którym stoi ich dom...

Tu zrobił poseł pauzę, by obecni mogli lepiej zrozumieć jego słowa.

— Następnego dnia — ciągnął dalej — otrzymałem pieniądze, z prośbą, bym się sam udał do Askadalarny i sprawę załatwił z właścicielem w ten sposób, by rodzice nigdy już nie byli niepokojeni w swych prawach własności. To bardzo rozsądna dziewczyna! — pochwalił poseł, podnosząc w górę list. — Zwróciła się od razu wprost do mnie! Gdyby tak czynili wszyscy, lepiej by się działo w tej gminie!

Zanim skończył mówić, Jan usiadł na krawędzi łóżka i spytał:

— Co się dzieje z dziewczyną? Gdzie jest?

— A teraz zapytuję rodziców — kończył poseł — czy godzą się na życzenie córki i czy chcą, bym zawarł umowę kupna...

— Ale dziewczyna... dziewczyna! — zawołał Jan. — Gdzież jest?

— Gdzie jest? — powtórzył poseł patrząc na list. — Pisze, że nie była w stanie w tak krótkim czasie odłożyć tak wielkiej kwoty. Ale znalazła służbę u pewnej dobrej pani, która da-

ła jej pieniądze naprzód. Musi je teraz dopiero odstąpić.

— Więc nie przyjedzie? — spytał Jan.

— O ile wiem... — odrzekł poseł — to teraz jeszcze wracać nie może. Musi odsłużyć.

Jan położył się znowu i obrócił do ściany.

Cóż go obchodzić mógł grunt i dom, i wszystko? Czym że było mu życie bez jego drogiej Klary Finy Gulleborgi?

POCZĄTEK ZŁUDY

Przez pierwszych kilka tygodni po bytności posła nie był Jan zdolny do żadnej roboty. Leżał ciągle na łóżku i gryzł się.

Każdego ranka wstawał, co prawda, ubierał się i chciał iść do Falli. Ale doszedłszy do drzwi, uciuwał takie znużenie i bezsilność, że nie pozostawało nic innego, jak położyć się z powrotem na łóżku.

Katarzyna wysilała się na cierpliwość, bo wiedziała, że tęsknota, podobnie jak każda inna choroba, wymaga czasu, by się przełamać

i zniknąć. Dziwiła się tylko, czemu w danym wypadku tęsknota Jana za córką trwa tak długo i zachodziła w głowę, obliczając, kiedy minąć może. Może do samych świąt Bożego Narodzenia albo przez całą zimę nawet!

I byłoby się niezawodnie tak stało, gdyby nie to, że pewnego dnia przyszedł stary sieciarz Ola z zapytaniem, co słyhać i został zaproszony na kawę.

Był zazwyczaj małomówny, jak wszyscy, których myśli bujają daleko i dlatego nie dostrzegają, co się wokoło nich dzieje. Kiedy jednak kawa została podaną i Ola część jej zlał na spodek, by przestygła, uznał za swój obowiązek powiedzieć coś.

— Zdaje mi się, że właśnie dziś powinien nadejść list od Klary! Mam takie przeczucie.

— Dopiero przed dwoma tygodniami, pisząc do posła Karlsona, zamieściła dla nas pozdrowienie! — zauważyła Katarzyna.

Starzec podmuchał na kawę z wielką uwagą, potem zaś czując, że milczy za długo, postanowił rzec parę słów.

— Mogło ją spotkać coś pomyślnego, o czym zechce donieść! — powiedział.

— Cóż by ją mogło takiego spotkać? — zdziwiła się Katarzyna. — Temu kto zapracowuje się w służbie dni mijają bez żadnej uciechy.

Ola odgryzł kawałeczek cukru, a potem wielkimi, powolnymi haustami wypił kawę ze spodka. Gdy skończył, zapadła w izbie ponownie długa, wprost przykra i niesamowita cisza.

— Mogła kogoś przypadkiem spotkać na ulicy! — powiedział nagle starzec i wpatrzył się przygasłymi oczyma w podłogę. Trudno było przypuścić, że zdaje sobie sprawę z tego, co mówił.

Katarzyna nie uznała tej uwagi za godną odpowiedzi i w milczeniu naląła mu drugą filiżankę kawy.

— Wszakże możemy przypuścić — ozwał się znowu Ola — iż owa pani, którą Klara Gulla spotkała na ulicy, była w podeszłym wieku, słaba na nogi i że potknęła się właśnie w tej chwili, kiedy ją mijała Klara Gulla.

Starzec mówił bezprzytomnie, coraz bardziej nieprzytomnie.

— Nie byłoby to wcale tak ważne, by aż pisać o tym! — odrzekła Katarzyna z niechęcią, bo zaczynał ją gniewać upór starego Oli, z którym wracał do jednego tematu.

— Przypuśćmy jednak — podjął znowu — że Klara Gulla podtrzymała ową damę, albo ją podniosła i że staruszka tak była uradowana, iż otworzyła pulares i dała Klarze od razu banknot dziesięciokoronowy? Czyż nie była to rzecz przyjemna, o czym warto pisać?

— Zapewne! — odrzekła Katarzyna. — Ale to nieprawda. Siedzicie tylko i coś się wam marzy.

— Jak długo jeszcze można siedzieć i wyprawiać sobie uczty z myśli, tak długo wszystko dobrze! — powiedział starzec, chcąc się usprawiedliwić. — Potrawy takie smaczniejsze są od rzeczywistych!

— Macie doświadczenie w jednym i drugim! — odparła Katarzyna.

W chwilę potem pożegnał się stary Ola i poszedł do domu, a Katarzyna przestała myśleć o tym, co mówił.

Jan również uważał zrazu wszystko za pustą gadaninę. Ale leżąc beczynn timer na łóżku, zaczął rozmyślać i zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie tkwi w tych słowach jakiś sens głębszy.

Ola mówił o liście w sposób niezwykle i tajemniczy. Zresztą czyż mógł zmyślić sobie tę całą długą historię po to tylko, by coś mówić przy kawie? A może coś wie? A może dostał naprawdę list od Klary Gulli?

Może spotkało ją tak wielkie szczęście, że nie ma odwagi pisać o tym rodzicom, nie przysposobiwszy ich przedtem? Musiała donieść o wszystkim staremu sieciarzowi i prosić go, by pomału nastroił odpowiednio rodziców. To właśnie uczynić zamierzał dzisiaj, ale oni go nie zrozumieli.

„Przyjdzie jutro — pomyślał Jan — a wówczas dowiemy się całej prawdy”.

Ale Ola nie zjawił się ani nazajutrz, ani trzeciego dnia. Jan nie mógł poskromić ciekawości i tęsknoty, wstał tedy i udał się do chaty staro- sieciarza, by zbadać, czy słowa jego miały jakieś znaczenie ukryte.

Ola siedział sam w szałasie i naprawiał starą sieć rybacką, którą mu dano do załatania. Ucieszył się, ujrawszy Jana, i powiedział, że dręczyła go w ostatnich dniach podagra, przeto nie mógł przyjść.

Jan nie chciał pytać wprost, czy otrzymał list od Klary Gulli. Mniemał, że prędzej cel swój osiągnie, postępując tą samą co Ola metodą.

— Rozmyślałem — zaczął — nad tym, coście mówili o Klarze Gulli za ostatniej bytności swej u nas.

Starzec oderwał oczy od roboty i spojrzał na Jana, ale przez dobrą chwilę nie mógł zrozumieć, co ma na myśli.

— Aa... — odrzekł — to był tylko taki sobie koncept mój!

Jan przysunął się doń blisko i powiedział z naciskiem:

— Brzmiało to jednak pięknie i myślę, że byłbyście powiedział⁴⁸ jeszcze więcej, gdyby nie niedowiarstwo Katarzyny?

— O, tak — rzekł Ola — tutaj w Askaldarnie można sobie czasem pozwolić na takie marzenia!

Jan stał się śmiały i pomysłowy.

— Myślę, że stara dama nie poprzestała na tym, że dała Klarze Gulli banknot dziesięciomarkowy, ale ją do siebie zaprosiła... prawda?

— Może to i być! — mruknął starzec.

— A może też owa dama jest bardzo bogata i posiada wielki, murowany dom? — zaproponował Jan.

— Wiecie co, Janie — zawołał Ola — to wcale dobry pomysł!

— Może owa dama zapłaciła dług Klary Gulli? — zaczął Jan ponownie, ale urwał, bo

⁴⁸*byłbyście powiedział* — daw. forma grzecznościowa z użyciem form lm w odniesieniu do pojedynczej osoby, dziś: bylibyście powiedzieli a. powiedzielibyście. [przypis edytorski]

właśnie weszła do izby synowa starego Oli, a nie chciał jej przypuszczać do tajemnicy.

— Tak? — — powiedziała przybyła. — Już wstajecie, Janie? Możecie już chodzić? Bardzo się cieszę, żeście ozdrowiali!

— Zawdzięczam to pocziwemu Oli! — powiedział Jan tajemniczo. — On to mnie postawił na nogi!

Pożegnał się i poszedł, a stary sieciarz patrzył za nim długo.

— Lizo — powiedział po chwili — nie wiem, co myślał Jan, mówiąc, że go uzdrowił? Nie przypuszcza chyba, że to naprawdę...

KLEJNOTY RODZINNE

Pewnego wieczoru jesiennego Jan wracał z Falli do domu po całym dniu spędzonym w kieracie folwarcznym. Odzyskał ochotę do pracy po rozmowie ze starym Olą. Przyszedł do przekonania, że ma się jąć roboty, nie chcąc całkiem opaść z sił, a nie chciał także, by córka, gdy powróci, zastała rodziców w nędzy i opuszczeniu.

Jan oddalił się już na tyle od Falli, że nie można go było dostrzec z okien dworku Larsa i w tejże chwili spostrzegł idącą wprost ku niemu kobietę. Zmierzch już spadł gęsty, ale Jan poznał, że jest to gospodyni z Falli, nie żona Larsa, ale prawdziwa gospodyni, stara Erykowa.

Okryta była wielką chustką spływającą aż do kostek i Jan zdziwił się, albowiem nie zauważył dotąd, by się ubierała tak ciepło i przyszło mu na myśl, że może zachorowała nagle. W samej rzeczy zmizerniała w ostatnich czasach bardzo. W dniu, kiedy to przydarzył się tragiczny wypadek z Erykiem, nie miała jednego siwego włosa na głowie, teraz zaś, w niespełna pół roku nie sposób było uświadczyć jednego czarnego.

Zatrzymała się, pozdrowiła Jana i zaczęli rozmawiać. Nie powiedziała wprawdzie, że wysłała po to jeno, by się z nim spotkać, ale czuł dobrze, że tak w istocie było. Zaraz przyszło mu na myśl, że zacznie mu opowiadać o Klarze Gulli i zdziwił się niemało słysząc, że zaczyna o czymś zgoła innym.

— Powiedzcież mi Janie — rzekła — czy przypominacie sobie dawnego właściciela Falli, ojca mego, który posiadał folwark przedtem, zanim przeszedł na Eryka?

— Naturalnie — odparł — pamiętam go dobrze! Miałem około dwunastu lat, kiedy zmarł.

— Dostał dobrego zięcia, prawda? — powiedziała gospodyni.

— Tak, tak... — potwierdził — bardzo dobrego!

Staruszka zamilkła, wzdychała przez chwilę, a potem powiedziała dobitnie:

— Chciałam się was w jednej sprawie spytać o radę. Nie zaliczacie się do tych, którzy to, co się im powie, trąbią na cały świat.

— Umiem trzymać język za zębami.

— Wiem, zauważyłam to od dawna!

Jan uczuł ciekawość niezmierną. Cóż by to było dziwnego, gdyby Klara Gulla zwróciła się do swej matki chrzestnej, Erykowej, z prośbą przygotowania rodziców na owo wielkie szczęście, jakie ją spotkało.

Stary Ola dostał zaraz po rozmowie przerwanej przez siostrzenicę ataku podagry i gorączkował długo, a potem chorzał przez kilka tygodni, tak że Jan nie mógł z nim pomówić. Teraz wstał z tapczana, ale osłabiony był bardzo, a co gorsza, zdaje się skutkiem choroby, utracił pamięć. Jan czekał i czekał, czy nie zacznie sam mówić o Klarze Gulli, gdy to jednak nie następowało, a Ola nie dorozumiewał się nawet znaczenia częstych napomknień, Jan zapytał go wprost.

Wówczas starzec oświadczył, że nie otrzymał żadnego listu. Dla udowodnienia wyciągnął nawet szufladę stołu i uchylił wieka kufra z odzieżą, tak że Jan przekonał się na własne oczy, iż listu nie było.

Musiał tedy zapomnieć, gdzie list schował, toteż dziewczyna, zostając długo bez wieści, niezawodnie zwróciła się do starej Erykowej, swej chrzestnej matki. Szkoda tylko, że nie uczyniła tego od razu.

Gospodyni stała długo, milcząc i bijąc się z myślami, a Jan tymczasem upewniał się co-

raz to bardziej w swych przypuszczeniach. Tedy z wielkim trudem śledził jej słowa, gdy znowu zaczęła mówić o swym ojcu.

— Kiedy ojciec mój — powiedziała — leżał na łożu śmierci, przywołał Eryka i podziękował mu za to, że zawsze był dlań dobry, chociaż z braku sił przez kilka lat ostatnich na nic się przydać nie mógł w gospodarstwie. „Nie myślcie o tym, ojczy — powiedział Eryk. — Rad bym, byście jak najdłużej pozostał pośród nas!” Tak powiedział i takie miał przekonanie!

— To prawda! — zawołał Jan. — Eryk nie był nigdy nikczemnym obłudnikiem!

— Czekaścież no Janie! — powiedziała. — Mówmy naprzód o moim ojcu. Czy pamiętacie tę laskę ze srebrną gałką, którą nosił mój ojciec?

— Pamiętam także tę wysoką czapkę, w którą ubierał się zawsze do kościoła! — potwierdził Jan.

— Co? Pamiętacie i tę czapkę, Janie? — zdziwiła się. — Otóż powiem wam, że ojciec mój, leżąc na łożu śmierci, kazał przynieść czapkę i laskę i dał Erykowi jedno i drugie. „Mógł-

bym ci dać coś innego — powiedział — co ma większą wartość pieniężną, ale daję ci to, o czym każdy wie, że używałem sam, albowiem będzie ci to zaszczytem i da świadectwo wobec wszystkich, żeś był dla mnie dobry!”

— To święta prawda! — przychwalił⁴⁹ Jan. — Eryk zasłużył sobie rzetelnie na ten zaszczyt!

Gdy wymawiał te słowa, spostrzegł, że gospodyni otula się ciasniej chustką. Niewątpliwie ukrywała coś pod nią, a była to zapewne rzecz przysłana przez Klarę Gullę. Miał nadzieję, że zacznie i o tym, byle tylko cierpliwie czekał. Gadanina o ojcu był to oczywiście tylko wstęp do tamtej rzeczy głównej.

— Opowiadałam o tym często moim dzieciom, a także Larsowi Gunnarsonowi — ciągnęła dalej gospodyni — i kiedy zachorzał Eryk, spodziewali się Lars i Anna, że wezwie ich do swego łóża, jak Eryka zawezwał mój ojciec. — Dobyłam tedy obie rzeczy ze skrzyni, by je mieć pod ręką na wypadek, gdyby chciał je dać Larsowi. Ale Eryk nie wspomniał o tym nawet.

⁴⁹przychwalił — dziś: pochwalił. [przypis edytorski]

Głos gospodyni załamał się przy tych słowach, a gdy zaczęła znowu, mowa jej była drżąca, nieśmiała i trwożna.

— Pewnego dnia, gdy byliśmy sami, spytałam męża, jak chce, żeby postąpić. Odpowiedział, żebym uczyniła, jak mi się podoba. Mogę dać laskę i czapkę Larsowi, albo i nie dać. Zaraz przerwał, powiadając, że mówić długo nie może.

Powiedziawszy to, odwinęła Erykowa swą wielką chustkę i Jan zobaczył laskę niezwyklej długości z wielką srebrną gałką.

— Zdarzają się takie słowa, których nie sposób wypowiedzieć! — powiedziała Erykowa z wielką powagą. — Tedy proszę was, Janie, odpowiedzcie mi jeno znakiem, jeśli wam będzie trudno inaczej... Czy mam dać te rzeczy Larsowi Gunnarsonowi, czy nie?

Jan cofnął się zdumiony wstecz. Szło tu o rzecz, o której już dawno myśleć przestał. Wydało mu się, że Eryk z Falli zmarł przed wiekiem i z trudem jeno mógł sobie przypomnieć, co zaszło onego dnia w lesie.

— Rozumiecie mnie, Janie? — ozwała się znowu. — Chcę się tylko dowiedzieć, czy Lars może wziąć laskę i czapkę z tym samym prawem, co niegdyś Eryk? Musicie to wiedzieć, byliście przecież wówczas w lesie!

Jan milczał, a ona powiedziała:

— Bardzo bym była rada, mogąc te rzeczy oddać Larsowi. Zdaje mi się nawet, żeby mi wówczas lepiej się działo w domu młodych gospodarzy na Falli.

Znowu głos jej utknął w gardle i Jan zaczął się dorozumiewać, dlaczego tak prędko osiwiała. Był jednak tak bardzo zajęty myślą o Klarze Gulli, że nie powstała mu w głowie jakaś zemsta.

— Najlepsza rzecz — odparł powoli — żyć w zgodzie z wszystkimi. Jedyna to i najprostsza reguła życia!

Erykowa odetchnęła z głębi piersi.

— Takie jest wasze zdanie, Janie? — powiedziała. — A więc tak się rzeczy miały, jak się domyślałam?

Wyprostowała się, tak że się nagle wydała dziwnie wysoka i rzekła:

— Nie chcę o nic pytać. Najlepsza dla mnie rzecz, nie wiedzieć nic. To tylko pewne, że Lars Gunnarson nigdy nie tknie laski mego ojca!

Zwróciła się ku odejściu, gdy nagle przystała znowu.

— Słuchajcie, Janie! — powiedziała. — Weźcie wy laskę i czapkę! Rada bym, by rzeczy te znalazły się w rękach człowieka dobrego i uczciwego. Nie mam odwagi zabierać tego do domu, bo mogliby mnie zmusić, bym je dała Larsowi. Weźcie je na pamiątkę po swym dawnym gospodarzu, który wam był zawsze życzliwy.

Wyprostowana, dumna, odeszła w stronę Falli, a Jan został na drodze z laską i czapką w ręku.

Pojąć nie mógł, jak i czemu się to wszystko stało. Nie spodziewał się nigdy w życiu takiego zaszczytu. Czyż naprawdę te rodzinne pamiątki, te rodowe klejnoty były jego własnością?

Ale niedługo wytłumaczył to sobie. We wszystkim tym tkwiła oczywiście Klara Gulla. Gospodyni z Falli wiedziała, że czeka go nieba-

wem wielkie szczęście i zaszczyty, toteż uznała, że nie ma dlań nic zbyt drogocennego i wielkiego. Gdyby zresztą cała laska była ze szczerego srebra, a czapka ze złota, natenczas zapewne byłaby stosowniejszym jeszcze podarkiem dla ojca Klary Gulli.

W JEDWABIACH

Nie nadchodził wcale list od Klary Gulli ani do ojca, ani do matki, ale Jan niewiele sobie z tego robił, wiedział bowiem, że dlatego milczy, by tym bardziej uradować rodziców, gdy nadejdzie pora ogłoszenia zdumiewającej nowiny.

Mimo to dobrze się stało, że Jan zdołał po trochu zerknąć jej w karty, gdyż inaczej mógłby się być dać omamić ludziom, którzy twierdzili, że wiedzą więcej niż własny ojciec Klary Gulli o tym, co czyni i co się z nią dzieje.

By dać przykład, można by przytoczyć, co się zdarzyło Katarzynie na placu kościelnym pewnej niedzieli.

W pierwszą niedzielę adwentu udała się Katarzyna do kościoła, a gdy wróciła, była dziwnie zastraszona i zmieszana.

Spostrzegła kilku wyrostków, którzy powrócili ze Sztokholmu, gdzie pracowali jesienią przy murarce, a teraz paplali wesoło z parobczakami i dziewczętami.

Katarzyna, zobaczywszy ich, podeszła, przypuszczając, że dowie się czegoś o Klarze Gulli i chciała wszcząć z nimi rozmowę.

Właśnie opowiadali widocznie wesołe historyjki, bo parobczaki śmiali się na całe gardło. Nie spodobało się to Katarzynie, bowiem stali tuż pod samym kościołem. Sami zresztą spostrzegli, że czynią rzecz niewłaściwą, bo za zbliżeniem się jej, tręcili się łokciami i zamilkli nagle.

Pochwyciła jeno parę słów, które mówił jeden z wyrostków, obrócony do niej plecami, tak że nie wiedział, iż nadchodzi.

— Powiadam wam... była cała w jedwabiach... ha... ha... ha...!

W tej samej chwili chłopak dostał takiego szturchańca w kark od jednej z dziewcząt, że zamilkł, obrócił się i oblał się cały rumieńcem, widząc stojącą tuż przy sobie Katarzynę.

— Czegóż chcesz? — ozwał się nagle do dziewczyny, która go trąciła. — Czyż nie mogę opowiadać, że królowa była cała w jedwabiach?...

Na te słowa parobcy wybuchli głośniejszym jeszcze śmiechem, a Katarzyna poszła, widząc, że nie dowie się niczego.

Wróciła do domu tak strapiona, że Jan omal nie zdecydował się opowiedzieć jej, jak się w rzeczywistości mają sprawy z Klarą Gullą. Ale rozmyślił się, poprosił tylko, by mu raz jeszcze powiedziała, co chłopcy opowiadali o królowej.

Uczyniła, co chciał.

— Powiedział to tylko dlatego, by wobec mnie ukryć całą rzecz! — dodała Katarzyna.

Jan nic nie odpowiedział, ale usta jego złożyły się same do uśmiechu.

— O czymże to myślisz? — spytała. — Od kilku dni masz tak dziwną minę? Czyżbyś wiedział dawno już to, o czym mówiły te wisusy?

— Nie — odrzekł — tego nie wiem wcale, ale możemy mieć chyba tyle zaufania do Klary Gulli, droga Katarzyno, by nie powątpiewać, że wszystko jest w należyтым porządku.

— Ach... tak się boję! — odparła.

— Im nie wolno jeszcze mówić o wszystkim i mnie także nie! — powiedział Jan uroczyście. — Klara Gulla prosiła chłopaków, by zachowali tajemnicę, a i nam także przystoi czekać i milczeć, tak też uczynimy, Katarzyno!

GWIAZDY

Kiedy już minęło osiem miesięcy od czasu, jak Klara Gulla wyjechała ze Skrołyki, przyszła pewnego dnia do stodoły, gdzie Jan młócił zboże, „szalona Ingeborga”.

Była ona siostrą Jana, ale widywał ją rzadko, albowiem Ingeborga strasznie się bała Katarzyny. I teraz niezawodnie przyszła doń tutaj

do stodoły, gdzie był zajęty, by się nie spotkać z żoną Jana.

Jan nie ucieszył się wcale, ujrawszy ją. Nie była ona w całym znaczeniu słowa szalona, ale nie miała też klepek w porządku, a nade wszystko gadatliwość jej przekraczała wszelkie granice. Dlatego też wywijał Jan dalej cepem i udawał, że jej nie dostrzega.

— Przestańże raz młócić! — powiedziała. — Chcę ci opowiedzieć, co mi się dziś o tobie śniło.

— Opowiesz mi na drugi raz, Ingeborgo! — odparł. — Gdy tylko Lars Gunnarson posłyszy, że nie młócę, zaraz przyjdzie tu spytać się, co się stało.

— Opowiem prędko! Bardzo prędko! — powiedziała szalona Ingeborga. — Wiesz przecież, że byłam najmądrzejszą ze wszystkich sióstr. Inne pod każdym względem nie zdadzą się na nic i naprawdę nie można się nimi chlubić!

— Miałaś mi opowiedzieć sen! — przypomniał Jan.

— Zaraz! zaraz! Nie bój się... nie zapomniałam! Srogi to pan, ten nowy pan na Falli. Ale nie bój się wcale! Z mego powodu nie dostaniesz połajanki. Nic trudne nie jest, gdy się ma do czynienia z osobą rozsądną, jaką ja jestem!

Jan byłby się chętnie dowiedział, co jej się o nim śniło. Mimo że uważał swe nadzieje za rzecz pewną, rozglądał się na wszystkie strony za ich potwierdzeniem. Ale szalona Ingeborga wkroczyła już na ścieżkę swych myśli i niepodobieństwem było zawrócić ją stamtąd.

Przysunęła się blisko do Jana, chwiała się górną częścią ciała za każdym zdaniem, mrużyła oczy, potrząsała głową i gadała bez upamiętania⁵⁰. Słowa płynęły z jej ust niby woda siklawy⁵¹ po skałach.

— Nie bój się Janie! Nie bój się niczego! Czyżbym tu przychodziła i wazyła się rozmawiać z kimś, kto ma młócić na folwarku we Falli, gdybym nie wiedziała, że gospodarz po-

⁵⁰*upamiętanie* — dziś: opamiętanie. [przypis edytorski]

⁵¹*siklawy* (gw.) — wodospad. [przypis edytorski]

szedł do lasu, a gospodyni do miasta z masłem na sprzedaż. „Mieście go zawsze na oczach”... tak jest napisane w katechizmie i to jest moim hasłem. Nie przychodzę nigdy, gdy mnie mogą zobaczyć!

— Odstąpcze, Ingeborgo! — zawołał Jan.
— Może cię bijak cepów trafić w głowę!

— To nic! Czy pamiętasz, jakieście mnie bili nieraz w domu? A i teraz bije mnie kto chce! Ale jeśli idzie o religię, to nie ma takiej jak ja, która by umiała dać odpowiedź na każde pytanie! Z Ingeborgą nikt się mierzyć nie może! Tak powiada zawsze proboszcz. Ona wie, co gada! O, jestem za pan brat z panienkami z Löwdali. Mówię im często cały katechizm, z wszystkimi pytaniami i odpowiedziami od początku do końca. Ha... ha — mam, jak widzisz, doskonałą pamięć. Umieję też na pamięć całą *Biblię*, śpiewnik i wszystkie kazania proboszcza. Czy chcesz, bym ci coś powiedziała, albo może wolisz któryś z hymnów?

Jan nie odpowiedział i zaczął na nowo mówić.

Ale to jej nie odstraszyło wcale. Usiadła na snopku słomy, prześpiewała z dziesięć wierszy hymnu, a potem wyklepała kilka rozdziałów *Biblii*. Na koniec wstała, odeszła i nie było jej przez długą chwilę. Nagle zjawiała się znowu u drzwi stodoły.

— Cicho... sza! — zawołała. — Teraz powiem tylko to co konieczne! Cicho...!

Podniosła wskazujący palec, przestała się ruszać i wpatrzyła się przed siebie szeroko rozwartymi oczyma.

— Precz z innymi myślami! Precz! — zawołała. — Nie zbaczajmy od rzeczy! Przestańże raz młócić!

Uparła się i musiał usłuchać.

— Przyszedłeś dziś w nocy do mnie, a ja spytałam: — Czy to ty Janie z Askadalamy? — Nie — odpowiedziałeś. — Zwę się teraz: Jan z kraju Tęsknoty! — Tedy witam cię — powiedziałam — jako ziomka, bo tam właśnie pędzę całe swe życie!

Rzekłszy to, wyszła szalona Ingeborga ze stodoły, a Jan zadumał się nad jej słowami. Nie

wszczął na nowo pracy, ale stał i rozmyślał, co mogą znaczyć.

Za moment ujrzał znowu Ingeborgę przed sobą.

— Już wiem, po com jeszcze przyszła! — powiedziała. — Chcę ci pokazać moje gwiazdy!

Miała zawieszony na ramieniu, niewielki koszyczek, omotany chustką. Rozwiązując z trudem węzły, gadała dalej nieustannie.

— Są to gwiazdy prawdziwe! — zapewniała Jana. — Człowiek mieszkający w kraju Tęsknoty nie zadowala się rzeczami ziemskimi, ale musi ciągle szukać gwiazd. Nie może uczynić inaczej. I ty musisz teraz ruszyć na wędrówkę za gwiazdami!

— Nie... nie, Ingeborgo — odrzekł Jan — wolę trzymać się rzeczy tej ziemi!

— Cicho... sza! — zawołała. — Czy sądzisz, że jestem szalona i chcę sięgnąć gwiazd, które świecą na niebie? Nie, ja szukam tych tylko, co spadły. Jestem przecież osobą rozsądną!

Otworzyła koszyk, a Jan zobaczył, że pełno w nim było gwiazd najrozmaitszych, które zapewne wyżebrała sobie po różnych dworzech chłopskich i pańskich dworzyszczach. Były to gwiazdy cynowe, blaszane, papierowe i szklane, większość zaś stanowiła ordery i ozdoby używane na drzewko Bożego Narodzenia.

— To wszystko prawdziwe gwiazdy! — zapewniała Ingeborga. — Spadły z nieba. Tobie jednemu pokazuję je, a nawet dam ci kilka, jeśli potrzebujesz, zanim znajdziesz sam... Co? Chcesz?

— Dziękuję ci, Ingeborgo! — odrzekł Jan. — Jeśli nadejdzie czas, kiedy będę potrzebował gwiazd, a może to nastąpić już bardzo niedługo, to nie ciebie prosił o nie będę... nie ciebie!

Poszła sobie, tym razem naprawdę, ale minęło sporo czasu, zanim Jan rozpoczął na nowo młockę.

„Tak... tak... — myślał — i to jest także znak. Naturalnie, ta biedaczka Ingeborga nic nie wie o Klarze Gulli i o jej czynach, ale wyczuwa niewątpliwie, że ma nastąpić coś nie-

zwykłego. Widzi ona i słyszy to, o czym tak zwani ludzie rozsądni nie mają wyobrażenia”.

OCZEKIWANIE

Inżynier Boräus z Borgu każdego niemal dnia udawał się spacerem do przystani, by przypatrzeć się, jak statek nadpływa i nic w tym nie było dziwnego. Miał krótką tylko do odbycia drogę przez zagajnik sosnowy, a przy tym na pokładzie niemal zawsze znalazł kogoś, z kim mógł parę słów zamienić. Było mu to miłą rozrywką w jednostajnym, prowincjonalnym życiu.

W tym miejscu właśnie, gdzie u skraju zagajnika droga do przystani spadała stromo, sterczało z ziemi kilka nagich, dużych bloków skalnych i na nich to siadywali zawsze ludzie czekający na statek, z dala nieraz przybyli.

Nie brakło nigdy czekających na statek w Borgu, gdyż nikt nie wiedział dokładnie, kiedy nadpłynie. Rzadko się, co prawda, zjawiał przed dwunastą, nie można było jednak wykluczyć,

że przybędzie już o jedenastej, natomiast czekano nań czasem do pierwszej i drugiej. Toteż kto chciał nie spóźnić się na pewno, stał już o dziesiątej w przystani lub siedział na skałach i mógł tak przeczekać całe pół dnia.

Inżynier Boräus miał z okien swego mieszkania pyszny widok na całe wybrzeże. Widział statek wysuwający się z za przylądka i zawsze zjawiał się na pomoście przystani w samą porę. Nie potrzebował tedy nigdy wysiadywać na skałach i idąc tylko przelotnym spojrzeniem obrzucał czekających.

Pewnego lata zwrócił jednak uwagę na pewnego człeczka, niewielkiego wzrostu, sympatycznego wyglądu, który czekał codziennie na statek. Siedział zawsze spokojnie i spozierał obojętnie przed siebie, aż do chwili ukazania się parowca. Wówczas zrywał się, a oblicze jego zalewała łuna radości. Biegł szybko na dół i stawał na samym skraju pomostu jakby z całą pewnością oczekiwał kogoś. Ale nikt doń nie przybywał nigdy, a kiedy statek odpłynął, człowiek ów pozostawał samotny i smutny na brzegu.

Radość gasła na jego twarzy, a kiedy udawał się w drogę powrotną, ledwo miał tyle sił, by wyjść na stromy brzeg.

Inżynier nie znał tego człowieka, ale pewnego pogodnego dnia, widząc, że znowu siedzi i gapi się na wodę, wszczął z nim pogawędkę. Dowiedział się zaraz, że czeka na córkę, która wyjechała z domu, a dzisiaj właśnie ma powrócić.

— Czy wiecie na pewno, gospodarzu, że dzisiaj przyjedzie? — spytał inżynier. — Od dwu miesięcy widzę was tu każdego dnia. Pewnie już kilka razy dała wam niedokładne informacje?

— O nie... nie... — odrzekł łagodnie — wcale nie nadesłała nam mylnych informacji⁵²!

— Cóż to u diaska znaczy? — wrzasnął inżynier, mający bardzo popędliwe usposobienie. — Siedzisz tu, człowieku, i czekasz, ona nie przybywa, a powiadasz, że nie dała mylnych wieści o swym powrocie?

⁵²informacj — dziś popr. forma D.lm: informacji. [przypis edytorski]

— Nie! — odrzekł mały człeczek i spoj-
rzał przyjaźnie prosto w oczy inżyniera. — Nie
mogła tego uczynić, bo całkiem nie przysłała
wieści o sobie!

— Nie mieliście tedy wcale listu? — spytał
Boräus.

— Nie! Od października zeszłego roku nie
pisała do domu!

— Czemuż tedy przychodzicie tu ciągle?
— zdziwił się. — Wysiadujecie przez pół dnia,
gapiąc się daremnie! Czyż to dobrze marnować
tyle czasu, miast⁵³ pracować?

— To prawda... to prawda — odrzekł —
bardzo to niedobrze, ale — tu uśmiechnął się
tajemniczo — sprawa zostanie już niedługo za-
łatwiona!

— Człowieku! — krzyknął inżynier, wpa-
dając ponownie w złość. — Jesteś osłem dar-
danelskim! Siedzisz bez powodu i czekasz da-
remnie! Miejsce dla ciebie najodpowiedniejsze
w szpitalu wariatów.

⁵³*miast* — dziś: zamiast. [przypis edytorski]

Nic nie odrzekł. Otoczył ramionami kolana i siedział spokojnie. Uśmiech rozlewał się coraz to szerzej po jego obliczu i z każdą chwilą nabierał więcej jakiejś zwycięskiej pewności siebie.

Inżynier wzruszył ramionami, zostawił go i poszedł. Ale na pół drogi⁵⁴ przystanął, uczuł litość i zawrócił. Przybrał życzliwy wyraz, a zwykle rozgoryczenie malujące się na poważnej, surowej twarzy jego znikło gdzieś. Podał siedzącemu rękę i powiedział:

— Chcę wam dłoń uścisnąć. Dotychczas sądziłem, że w całym Borgu ja jeden jestem najciężej chory na tęsknotę. Teraz widzę, że znalazłem człowieka, który mnie w tym o wiele... wiele przewyższa.

CESARZOWA

Minęło już dwanaście miesięcy od wyjazdu Klary Gulli ze Skrołyki, ale Jan nie zdradził dotąd ni słowem, że wie coś o owych wzniosłych, wspaniałych rzeczach, jakie się jej przydarzyły.

⁵⁴na pół drogi — dziś: w pół drogi. [przypis edytorski]

Powziął postanowienie milczeć aż do jej powrotu. Gdy nie będzie podejrzewała, że się czegoś przedtem dowiedział, natenczas z tym większą radością roztoczy przed rodzicami wspaniałość swą i osiągnięte dostojeństwo.

Ale na świecie tym zdarza się więcej rzeczy niespodziewanych niż tych, których oczekujemy na pewno. Toteż nadszedł dzień, w którym Jan zmuszony został złamać pieczęć tajemnicy i powiedzieć, jak się ma sprawa cała. Nie stało się to ze względu na niego samego. Chętnie byłby dalej nosił podarte odzienie i wiódł żywot biednego wyrobnika, wobec ludzi tając, że jest czymś więcej. Tylko dla dobra córki jedynie odkrył wielką tajemnicę.

Pewnego dnia siedział znów i czekał w przystani na córkę, bo nie mógł sobie tego odmówić, by nie pójść codziennie tam, gdzie zjawić się miała Klara Gulla. Nie mogła mu przecież tego wziąć za złe.

Parowiec przybił, a Jan zobaczył, że znowu nie ma Klary na pokładzie. Sądził nieraz, że w ciągu tak długiego czasu mogła już upo-

rać się ze wszystkim i wrócić. Ale widocznie zjawily się jakieś nowe trudności i przeszkody, jak w ciągu całego lata. Ha, trudno... ten kto ma tak wielkie zadania, nie może myśleć o sobie samym i wszystko naraz porzucić.

Szkoda jednak, że nie przybyła tego dnia właśnie, gdyż w przystani zjawilo się mnóstwo dawnych znajomych. Jan widział posła Karlsona ze Storwiku i Augusta Dära Nola z Prästerudu. Był też Björn Hindrikson, a na koniec stary Agrypa Prästberg. Agrypa czuł dotąd urazę do Klary Gulli za figla z okularami, jakiego mu wypłatała swego czasu.

Jan wyobraził sobie mimo woli, jakby to było pięknie, gdyby Klara ukazała się w całej swej wspaniałości właśnie dziś, gdy mógł ją widzieć Agrypa.

Ponieważ jednak nie było jej na pokładzie, przeto nie pozostawało nic innego, jak zabierać się z powrotem do domu. Miał właśnie zejść z pomostu, gdy mu zastąpił drogę stary, złośliwy Agrypa.

— Latasz, widzę, ciągle jeszcze za swoją córunią? — zaśmiał się Agrypa zjadliwie.

Jan uznał, że najlepiej zrobi, nie dając odpowiedzi, usunął się tedy na stronę, chcąc wyminąć natręta.

— No... no... — mówił dalej starzec — nie dziwię się, że rad byś się spotkać z tak wielką damą, jaką teraz została Klara Gulla...!

W tej chwili przyskoczył doń August Där Nol, chwycił go za ramię i dał znak, by milczał.

Ale Agrypa nie chciał ustąpić.

— Wie o tym cała parafia! — powiedział. — Czas więc najwyższy, by rodzice dowiedzieli się także, jak sprawy stoją. Jan Anderson źle wychował córkę, ale sam jest człowiekiem uczciwym. Nie mogę znieść, widząc, jak z tygodnia na tydzień wysiaduje tu i czeka na taką...

Tu nazwał Klarę ze Skrołyki mianem tak ohydny, że ojciec jej, Jan, nie byłby go za nic w świecie powtórzył nawet w myśli.

Kiedy jednak Agrypa wymówił to słowo głośno, rzucając mu je w twarz w ten sposób, że wszyscy zebrani w przystani musieli niezawod-

nie usłyszeć, wszystko to, co od roku było utajone w Janie, utorowało sobie drogę na świat i przejawiało się samo. Nie mógł dłużej kryć tajemnicy. Córka przebaczy mu to, myślał, gdyż idzie o nią samą.

To, co miał rzec, wypowiedział bez żadnego gniewu, ani dla zemsty. Zadrgały mu usta i uczynił gest ręką świadczący, że odpowiedź wprost byłaby poniżej jego godności. Rzekł tylko:

— Nie wiem, Agrypo Prästbergu, czy będziesz śmiały powtórzyć to słowo, które wyrzekłeś dzisiaj, wówczas, kiedy przybędzie... cesarzowa...

— Cesarzowa? Jakaż to cesarzowa?... — drwił Agrypa, jakby dotąd nie słyszał nic a nic o dostojęństwie małej dziewczynki ze Skrołyki.

Jan nie dał sobie przerwać i mówił z tym samym co poprzód⁵⁵ spokojem:

— Cesarzowa Klara, władczyni Portugalii, w złotej koronie na głowie. Siedmiu królów nieść będzie kraj jej cesarskiego płaszcza, sie-

⁵⁵poprzód — dziś: poprzednio. [przypis edytorski]

dem oswojonych lwów położy się u jej stóp, a siedemdziesięciu siedmiu dowódców wojsk kroczyć będzie w świcie z połyskującymi, obnażonymi mieczami w dłoniach. Wówczas zobaczymy się znowu, Agrypo Prästbergu...

Powiedziawszy to zamilkł na chwilę, sycąc się przerażeniem, jakie widział na twarzach wszystkich zebranych. Potem obrócił się i odszedł, naturalnie bez żadnych nieprzystojnych objawów dumy czy zarozumiałości.

Gdy tylko obrócił się plecami, w całej przystani powstał gwar i rozległy się krzyki. Nie zwracał na to zrazu uwagi i szedł dalej, za chwilę jednak usłyszał, że ktoś padł ciężko na ziemię, musiał się tedy obejrzeć.

Stary Agrypa leżał na pomoście, a nad nim stał z zaciśniętymi pięściami August Där Nol.

— Wiedziałaś dobrze, łajdaku — wołał — że nie zniesie tego ciosu, że nie zniesie wyjawienia prawdy! Nie masz odrobiny serca!

Tyle usłyszał Jan ze Skrołyki. Był mu wstrętny każdy zatarg, nie mógł patrzeć na bijatykę,

przeto ruszył dalej, nie pytając nawet, o co im idzie.

I stała się rzecz dziwna. Skoro tylko znalazł się sam, z dala od ludzi, wstrząsnął nim gwałtowny płacz. Nie wiedział zgoła, co to znaczy. Niezawodnie płakał z radości, że nadszedł wreszcie czas wyjawienia tajemnicy. Wydawało mu się, że córka nagle wróciła do niego.

CESARZ

Pierwszej niedzieli września mieli zebrani na nabożeństwo w swartsjoeńskim kościele wspaniałe widowisko, które musiało ich w niezmiernie wprawić zdumienie.

W kościele tym jest wielki, szeroki chór, przecinający w poprzek całą nawę, a na pierwszej ławce tegoż chóru od niepamiętnych czasów zwykli zasiadać dostojnicy okoliczni, panowie po lewej, zaś panie po prawej stronie.

Nie było nigdy wzbronione siadać tam innym, zwyczajnym śmiertelnikom, bo kościół bez żadnych różnic dostępny był zawsze i jest

wszystkim wiernym, ale nie przyszłoby naturalnie do głowy biednemu wyrobnikowi zajmować miejsca pośród możliwych tego świata.

Dawnymi czasy Jan cieszył się bardzo, widząc siedzących tam pięknie ubranych, dostojnych, wykształconych, bogatych ludzi. Też nawet samej niedzieli uznawał z całą gotowością, że właściciel huty duwneńskiej, porucznik z Löwdali i inżynier z Borgu są to ludzie wspaniali, na których warto popatrzeć. Ale czymże byli oni wobec wspaniałości, jaką miano teraz zobaczyć. Czyż mógł się ktoś spodziewać, że na ławce w kościele tym zasiądzie prawdziwy cesarz?

I oto naprawdę zasiadł dziś potężny mocarz w pierwszej ławce małego, wiejskiego kościółka. Siedział na samym przedzie, na pierwszym miejscu, opierając ręce na wysokiej ławce o srebrnej gałce, z wysoką czapką z zielonej skóry na głowie, a na piersiach jego połyskiwały złotem i srebrem dwie wielkie, orderowe gwiazdy.

Gdy zabrzmiały organy, poruszył się na swym miejscu cesarz i zaczął śpiewać. Cesarz winien śpiewać w kościele głośno i wyraźnie, nawet wówczas, gdy nie umie znaleźć odpowiedniego tonu i nie trzyma się melodii. I tak radują się ludzie, słysząc jego głos.

Panowie siedzący obok cesarza zwracali się raz po raz i spoglądali na niego. Nie było w tym nic dziwnego, albowiem dopiero pierwszą mieli sposobność znajdować się przy tak wielkim dostojniku.

Musiał, co prawda, zdjąć czapkę z głowy, ale zrobił to jak się tylko dało najpóźniej. Cesarz wiedział, że tak uczynić należy, chciał jednak, by wszyscy nasycili się widokiem jego czapki.

Ludzie znajdujący się na dole, w nawie, również tej niedzieli ciągle podnosili głowy ku chórowi. Zdawało się, że więcej myślą dzisiaj o cesarzu niż o kazaniu.

Trzeba im to było przebaczyć. Niewątpliwie uspokoją się, gdy nawykną do obecności cesarza w kościele.

Przypuszczać należy, że zdumiali się, widząc owo nagłe wywyższenie znanego sobie dobrze, biednego Jana. Powinni jednak zrozumieć, że przecież ojciec cesarzowej, sam musiał zostać cesarzem, inaczej sprawy załatwić nie było sposobu.

Gdy Jan po nabożeństwie wyszedł na plac kościelny, przystąpiło doń zaraz kilku znajomych, ale nie mógł się z nimi rozmówić, bo kościelny Svartling nadbiegł szybko i poprosił go imieniem⁵⁶ proboszcza do zakrystii.

Jan, wszedłszy do zakrystii z kościelnym, zastał proboszcza zatopionego w żywej rozmowie z posłem Karolem Karlsonem. Był obrócony do wchodzących plecami i siedział w fotelu o wysokim oparciu. Proboszcz widocznie zmartwiony był czymś i rozgniewany. Głos mu drżał tak, iż zdawało się, że wybuchnie płaczem.

— Dwie dusze powierzone mej pieczy poszły na zaturę i moja to jest wina! — mówił w podnieceniu.

⁵⁶*poprosił (...) imieniem* — dziś: poprosił w imieniu. [przypis edytorski]

Poseł starał się pocieszyć plebana.

— Przecież ksiądz proboszcz nie winien temu złu, które panuje po wielkich miastach! — perswadował.

Ale proboszcz nie dał się uspokoić. Ukrył w dłoniach swą piękną, młodzieńczą twarz i zapłakał.

— To prawda! — rzekł. — Ale czyż czuwałem, jak należy, nad młodą, osiemnastoletnią dziewczyną, czyż czyniłem, co trzeba, by nie rzuciła się w zepsuty świat? Czyż starałem się pocieszyć ojca, któremu córka była wszystkim, który nią tylko żył?

— Ksiądz proboszcz niedawno jest w tej gminie! — zauważył poseł. — Zarzut ten dotyka raczej nas, którzy znamy stosunki lepiej. Któż mógł jednak przypuszczać, że się to wszystko źle skończy? Wszakże młodzi muszą iść w świat? Większość spośród nas również losy w świat pognały, a jednak nieźleśmy na tym wyszli.

— Pomóż mi, wielki Boże! — zawołał proboszcz. — Oświeć mnie, bym z nim mówił, jak

trzeba! Naucz jak przytrzymać jego rozsądek, który ulata!

Kościelny stojący obok Jana chrząknął, a proboszcz obejrzał się szybko.

Zerwał się z fotelu i ujął dłoń Jana w obie dłonie.

— Drogi Janie! — zaczął.

Był to wysoki mężczyzna o jasnych włosach i pięknym obliczu. Nikt nie mógł się oprzeć tkliwemu spojrzeniu jego niebieskich oczu, pełnych współczucia i życzliwości. Ale w tej sytuacji nie pozostawało Janowi nic innego do uczynienia, jak sprostować pomyłkę proboszcza, toteż dokonał tego niezwłocznie.

— Mój dobry proboszczu, nie ma tu żadnego Jana. Stoi przed panem cesarz Jan, władca Portugalii, a kto mnie nie chce zwać właściwym imieniem, z tym nie mam nic do gadania.

Powiedziawszy to, zaszczyił Jan proboszcza lekkim, cesarskim skinieniem głowy, włożył czapkę i obrócił się na pięcie.

Pozostali w zakrystii spoglądali z przerażeniem za odchodzącym, który otwarł drzwi i za chwilę znikł im sprzed oczu.

CZEŚĆ TRZECIA

HYMN CESARSKI

Na porośłym drzewami wzgórzu, powyż⁵⁷ Lobby, istnieje jeszcze dotąd część drogi jezdnej, którą dawniej snuły się szeregi wozów, teraz jednak została opuszczona, ponieważ wznosi się na wszystkie grzbiety i stacza w każdą dolinę, miast⁵⁸ biegnąc zboczem gór. Część zachowana dotąd jest tak stroma, że nie ma mowy o przejechaniu tamtędy, a używają jej tylko piechurzy i to chętnie, albowiem stanowi dogodną linię orientacyjną w wędrówce poprzez lasy.

Dotąd zachowała ona szerokość gościńca i pokład drobnego żwiru, a nawet piękniejsza się stała, bo nie ma na niej głębokich kolei kół, błota, ni kurzu.

Rosną na jej brzegach kępy kwiatów, złotych mleczków, ostróżek i błękitnych gencjan. Tylko rowy znikły całkiem, bo usadowiły się

⁵⁷powyż — dziś: powyżej. [przypis edytorski]

⁵⁸miast — dziś: zamiast. [przypis edytorski]

w nich świerki, stając gęstym rzędem po bustronach. Świerki owe równej wysokości, młode, zielone, okryte od wierzchołka do samej ziemi gęsto gałęzmi, stanęły szpalerem, tworząc jakby aleję wiodącą do pałacu jakiegoś wielmoży, a pośród nich brzęczą latem owady chórem tak rozgłośnym, że przypominają trzmiele, polatujące nad łąkami czy derkacze odzywające się o wieczorze znad trzęsawisk nizinnych.

Jan wracał tą właśnie drogą z kościoła do domu po owym nabożeństwie, na którym się pokazał po raz pierwszy przybrany w swe dostojne, cesarskie insygnia.

Słońce przygrzewało ciepło, toteż muzyka pośród choin brzmiała dnia tego głośniej jeszcze niż zawsze. Zwróciło to uwagę Jana i zdziwił się bardzo. Nie słyszał dotąd, by drzewa śpiewały w taki sposób i postanowił sobie dociec, dlaczego się to dzisiaj właśnie stało.

Nie śpieszył się nigdzie, przeto usiadł pod zieloną ścianą na żwirze, położył koło siebie la-

skę, zdjął czapkę, otarł pot z czoła, wyciągnął się na grzbiecie, złożył ręce i słuchał.

Niebo było czyste, bez chmur, nie wiał najmniejszy nawet wiatr, który by mógł wprowadzić w ruch gałęzie i wywołać owo granie. Nie było wątpliwości, że świerki te grają same przez się, radując się, iż są młode, świeże, zielone, że im nikt nie broni rosnać tu wzdłuż starej, opuszczonej drogi i że tyle jeszcze lat minie, zanim ludziom przyjdzie do głowy ściąć je siekierą.

Wszystko to nie objaśniało jednak jeszcze, dlaczego właśnie dzisiaj drzewa wygrywają tak głośno.

Za wszystkie owe dary nieba dziękować mogły także każdego innego, pogodnego dnia. Nie wiadomo, czemu dzisiaj przyszło im do głowy dać koncert.

Jan słuchał w skupieniu.

Piękne to były dźwięki, mimo, że ciągle wracały te same, nie było też wcale pauz, ni żadnego taktu, czy melodii.

Nic dziwnego, że drzewa czuły się szczęśliwe, czemu jednak nie umiały lepiej grać? Za-

iste rzecz to była dziwna wielce. Jan spoglądał na piękne gałązki nastroszone zielonym igliwiem. Wdychał żywiczną ich woń pełniącą⁵⁹ powietrze. Nie ma zaprawdę rośliny na łące, ni kwiatu, który by miłszy dlań wydawał zapach. Oglądał uważnie małe, miękkie jeszcze szyszki o łuskach misternie ułożonych, jakby chroniły nasienie.

Drzewa, tak znajdujące się na wszystkim, co trzeba, winny były przecież znać się nierównie lepiej na muzyce i grać tak, by człowiek wiedział, co to znaczy i jaki ma sens.

Ale ciągle brzmiały te same tony i Janowi zachciało się spać.

— Może by dobrze było zdrzemnąć się trochę? — mruknął do siebie.

Ale ledwo przyłożył ucho do ziemi i zamknął oczy, wydało mu się, że coś słyszy innego. Nagle w muzyce tej znalazł się tekst i melodia.

Aha, pomyślał, wszystko tamto było jeno przygrywką, jak się ma rzecz z organami w ko-

⁵⁹pełniący — tu: wypełniający. [przypis edytorski]

ściele, zanim popłynie pieśń. I zaraz wydało mu się, że słyszy słowa, słowa zupełnie zrozumiałe.

Tak, tak, objawiło się wyraźnie to, o czym od pierwszej chwili wiedział dobrze, ale nawet w myśli nie chciał przyznać. Oto drzewa wiedziały o wszystkim, co zaszło... tak, nawet one wiedziały! I dla niego to, na jego cześć zaczęły tak głośno grać, gdy się tylko ukazał.

Dla niego grały, nie ulegało wątpliwości. Sądząc, że śpi, śpiewać nawet zaczęły, nie chciały bowiem, by słyszał, jak go wielbią.

Co za pieśń! Co za wspaniała pieśń! Leżał z zamkniętymi oczyma, ale słyszał, tym lepiej nawet słyszał wszystko! Nie stracił najcichszego tonu...

Po skończeniu pierwszej zwrotki, nastąpiła przegrywka i to było najlepsze.

Co za muzyka! Teraz grały już nie tylko młode choinki nad drogą, ale cały las wziął udział w koncercie. Brzmiały organy, bębny, trąby, kosy naśladowały flet, a kawki gwizdały na fujarkach. Do tego przyłączył się plusk strumieni, śpiew rusałek, pobrzęk błękitnych, gencja-

nowych dzwonków i łopotliwy głos szpaków. Wszystko grało razem.

Nigdy jeszcze nie słyszał Jan tak wspaniałej muzyki, bo też nigdy nie przysłuchiwał się graniu z taką uwagą. Wnikała mu w uszy i jakby osiadała tam tak, że nie mógł już zapomnieć.

Gdy pieśń się skończyła i las umilkł, zbudził się Jan z marzeń swoich. I zaraz bez namysłu odśpiewał od początku do końca ową pieśń, ów cesarski hymn lasu, aby nie uleciał z jego pamięci.

Ojciec wielkiej monarchini
Honory królestwa czyni.

Tu miała powtarzać się przy każdej zwrotce przegrywka, której dobrze nie spamiętał, ale śpiewał ją odważnie tak, jak mu została w uszach.

Pisało o tym w gazecie⁶⁰...
Wiecie chyba wszyscy przecie!
Austria, Metz, Japonia społem
Portugalii biją czołem,

⁶⁰*pisało o tym w gazecie* — dziś popr.: było napisane w gazecie a. napisano w gazecie. [przypis edytorski]

A więc niech muzyka gra!
Ratata! Ratata!
Bum! Bum! Bum!

Ze złota korona jego,
Rycerze go zbrojni strzegą!
Pisało o tym w gazecie...
Wiecie chyba wszyscy przecie!
Austria, Metz, Japonia społem
Portugalii biją czołem,
A więc niech muzyka gra!
Ratata! Ratata!
Bum! Bum! Bum!

Już nie jada lichej strawy,
Stoły gną się od zastawy,
Pisało o tym w gazecie...
Wiecie chyba wszyscy przecie!
Austria, Metz, Japonia społem
Portugalii biją czołem,
A więc niech muzyka gra!
Ratata! Ratata!
Bum! Bum! Bum!

Gdzie się zwróci, dookoła
Damy uginają czoła,
Pisało o tym w gazecie...
Wiecie chyba wszyscy przecie!
Austria, Metz, Japonia społem
Portugalii biją czołem.
A więc niech muzyka gra!
Ratata! Ratata!
Bum! Bum! Bum!

Nawet w lesie, gdy tnie śpika
Cesarz, zaraz gra muzyka!
Pisało o tym w gazecie...
Wiecie chyba wszyscy przecie!
Austria, Metz, Japonia społem
Portugalii biją czołem,
A więc niech muzyka gra!
Ratata! Ratata!
Bum! Bum! Bum!

Właśnie owo „ratata! ratata!” brzmiało najpiękniej z wszystkiego. Uderzał laską w takt

po żwirze i naśladował głos trąbki, usiłując dąć w nią najgłośniej.

Śpiewał i śpiewał, aż się echami roztętnił cały las. Pieśń była niezrównana! Zaczynał ciągle od początku, nie mogąc się nią nasycić.

Powstała w sposób niezwykły i była doskonała, najdoskonalsza z pieśni świata. Dowodem na to dostatecznym chyba dla każdego, mógł być ten bodaj sam fakt, że pierwszy raz w życiu nie śpiewał jej fałszywie i mógł zachować takt właściwy.

SIEDEMNASTY SIERPNIA

Pierwsza wizyta u porucznika Liliecrony, jaką mu Jan złożył w dniu urodzin, to jest siedemnastego sierpnia nie skończyła się tak honorowo, jak tego pragnął. Nie był też od tej pory w Löwdali, mimo że słyszał od tych, którzy brali udział w uroczystości, że z roku na rok coraz to świetniej obchodzi porucznik rocznicę swych urodzin i coraz to hojniej raczy gości.

Teraz jednak, po owym niesłychanym wywyższeniu córki swojej wszystko przedstawiło się Janowi inaczej. Pewny był, że porucznik Lillecrona czułby się pokrzywdzony, gdyby człowiek tej miary, co cesarz Jan Portugalski, nie złożył mu życzeń w dniu tak uroczystym.

Ubrał się przeto w insygnia swej godności i wyruszył w drogę. Ale wystrzegał się pilnie, by nie być jednym z pierwszych gości. Najodpowiedniej było dlań jako dla cesarza ukazać się dopiero wówczas, kiedy zgromadzą się i rozgoszczą wszyscy zaproszeni, a zabawa dojdzie do szczytu.

Za pierwszą bytnością Jan nie śmiał posunąć się dalej jak do ogrodu i na ścieżkę przed dworem, nie wystąpił też przed dostojnych państwa z życzeniami. Teraz mowy być nie mogło o tak niewłaściwym zachowaniu się. Skierował się wprost ku wielkiej altanie po lewej stronie schodów, gdzie siedział na krześle porucznik Lillecrona w otoczeniu mnóstwa dygnitarzy ze Svartsjö i okolicy. Przystąpił do pana domu,

podał mu rękę i złożył życzenia długich, szczęśliwych lat życia.

— Aa... Janie... przybyłeś tedy? — powiedział porucznik nieco zdziwiony. Nie spodziewał się widocznie tak wielkiego zaszczytu, zmieształ się i dlatego, nie uświadomiwszy sobie nowej godności Jana, nazwał go po dawnemu.

Człowiek tak dobry jak porucznik nie mógł mieć złych zamiarów i dlatego Jan zdecydował się zwrócić mu uwagę w sposób łagodny.

— Nie będziemy odnośnie do porucznika Liliecrony traktować sprawy zbyt surowo, zwłaszcza ze względu na dzisiejszą uroczystość. Ale nadmienić należy, że przysługuje nam tytuł cesarza Portugalii.

Jan wypowiedział te słowa jak mógł najłagodniej, ale mimo to wszyscy goście zaczęli się śmiać z porucznika, że zachował się tak niestosownie. Jan nie chciał mu psuć dobrego humoru w taki dzień, przeto dla zatarcia wrażenia zwrócił się do innych panów:

— Witam... witam... was szanowni panowie generałowie, biskupi i radni! — wykrzyk-

nął głośno, zdjął czapkę: uczynił nią wspaniały gest w powietrzu.

Miał zamiar obejść wszystkich wkoło i uściśnić każdemu dłoń, jak należy uczynić, znalazłszy się w towarzystwie.

Obok porucznika Liliecrony siedział mały, tłusty panek w białej kamizelce, fraku z haftowanym kołnierzem i szpadą przy boku. Gdy Jan zbliżył się chcąc go powitać, podał mu miast ręki dwa palce.

Nie miał pewnie złego zamiaru, ale człowiek taki jak Jan, cesarz Portugalii, wiedział, że nie można pozwolić czynić ujmy swemu dostojństwu.

— Czemuż to nie podajesz mi całej ręki, kochany biskupie? — spytał Jan zawsze tym samym łaskawym tonem, bo nie chciał zmącić nastroju dnia.

Trudno dać wiarę! Tłusty człowieczek uczynił pogardliwy grymas.

— Słyszałem dobrze, że ci nie w smak poszło, gdy ci Liliecrona powiedział: ty... Jakże śmiesz w ten sposób odzywać się do mnie?

Czyż nie widzisz, kim jestem? — To rzekłszy, wskazał na pierś swą, gdzie wisiały trzy małe, nędzne gwiazdki orderowe.

Teraz nastąpiła dla Jana pora złożyć szatę skromności. Rozpiął szybko kaftan tak, że ukazała się cała kamizelka, zasypana od góry do dołu ogromnymi, złotymi i srebrnymi gwiazdami.

Zazwyczaj chodził Jan w kaftanie szczelnie zapiętym, gdyż gwiazdy jego były nader kruche, traciły blask, a końce ich łamały się łatwo. Ludzi onieśmielało zresztą obcowanie z tak wielkim panem, a zacny Jan nie chciał im sprawiać przykrości przez natrętne ukazywanie swej świetności. Teraz jednak przyszła pora ujawnienia się przed całym światem.

— Spójrz no na mnie, człowieku! — zawołał — A co? Tak się dzieje zazwyczaj pyszałkom! Czymże są wobec tego twoje trzy nędzne gwiazdki?

Efekt był niesłychany. Tłuścioch nabrał zaraz respektu. Przyczynił się do tego szalony śmiech, jakim wybuchnęło całe towarzystwo, natrzęsa-

jąc się z owego głupca, który nie wiedział zgoła, jak stoją sprawy z cesarzową i cesarstwem.

— Ooo... przepraszam bardzo! — zawołał tłuścioch, wstając i kłaniając się nisko. — Teraz przekonałem się, że mam przed sobą prawdziwego władcę. Wasza Cesarska Mość umie dawać niezwykle trafne odpowiedzi!

Tak się dzieje zawsze, gdy człowiek wie, jak postępować z ludźmi. Żaden z obecnych panów nie czuł się szczęśliwszy z możliwości rozmawiania z władcą Portugalii, niż ten właśnie udekorowany tłuścioch, który był zrazu tak dumny, że podał cesarzowi dwa palce miast całej dłoni.

Zbyteczne byłoby dodawać, że potem żaden z obecnych w altanie panów nie odmówił należnego cesarzowi Portugalii pozdrowienia. Gdy minęło pierwsze zakłopotanie i wykwintni goście przekonali się, że cesarz Portugalii, mimo swego dostojęstwa, jest człowiekiem łatwym i łaskawym w obejściu, stało się, co się dzieje zawsze, mianowicie okazali wielkie zainteresowanie i nie mogli się nasycić opowiada-

niem Jana o wyniesieniu jego córki, niedawno prostej dziewczynki, na tron, oraz jej rychłym powrocie do wsi rodzinnej.

Wytworzył się rychło tak przyjacielski stosunek pomiędzy cesarzem a dostojnymi panami, że cesarz zdecydował się zaśpiewać ów hymn, którego się nauczył w lesie. Była to może łaskawość zbyt daleko posunięta, ale widząc, że cieszą się z każdego jego słowa, nie mógł im odmówić tej przyjemności i zaszczycił towarzystwo śpiewem swoim.

Nieopisane wzburzenie nastąpiło, gdy zaczął śpiewać. Od pierwszych zaraz słów zwiększyło się jego audytorium. Zbiegły się hrabiny, hrabianki, generałowe i damy dworu siedzące dotąd w salonie na kanapie i zajadające ciastka. Przyszli nawet młodzi baroneci i księżniczki, pływający w sali balowej, a wszyscy ci dostojnicy cisnęli się, by słyszeć śpiew. Otoczyli go zwartym kołem, skierowali nań spojrzenia i zaparli oddech. Tak zresztą należy zachowywać się wobec cesarza.

Oczywiście pieśni takiej nikt ze zgromadzonych dotąd nie słyszał, toteż, gdy Jan prześpiewał ostatnią zwrotkę, wszyscy zaczęli go błagać, by raczył powtórzyć hymn. Wzbraniał się przez chwilę, bo nie należy być zbyt łatwym z ludźmi, ale wobec natarczywych, ogólnych próśb uległ i zaczął na nowo. Ile razy przychodziła przegrywka, śpiewali wszyscy chórem, a gdy przychodziło: „ratata! ratata!”, wybijali młodzi baroneci takt nogami, udawali trąbkę, a księżniczki i damy dworu klaskały rączkami.

Była to pieśń, zaiste, niezwykła! Gdy Jan znowu zaczął od początku, śpiewali już teraz chórem wszyscy, pięknie ubrani panowie, precudne panienki, rzucały mu życzliwe spojrzenia, a starsi po każdej zwrotce wołali: „brawo!”. Nastrój dziwny ogarnął Jana, władcę Portugalii, uczuł zawrót głowy, jakby po tańcu, wydało mu się, że coś go chwyta pod rękę i unosi wysoko w powietrze.

Nie stracił przytomności i zachował przez cały czas świadomość, że stoi na ziemi, doznał tylko myślowo rozkoszy unoszenia się wzwyż,

sięgania głową wyżej od innych, prześcigania ich lotem, gdzieś daleko, ku niebu. Unosiło go dostojeństwo, a także pieśń owa; czuł, że posiada dwa potężne skrzydła i na nich dźwiga się na jakiś wyniosły, cesarski tron zawieszony kiedyś, pośród różowych zachodnich chmur.

Jednego mu tylko było brak... jednego! Ach! Czemuż nie ma tu wielkiej cesarzowej, małej Klary Gulli ze Skrołyki?

Zaledwo myśl ta zjawiała się w duszy cesarza, wydało mu się, że cały ogród, dom i ludzi obląła purpurowa łuna. Spojrzał uważniej i spostrzegł, że blask ów idzie od młodej, ubranej w czerwoną sukienkę dziewczyny, która właśnie wyszła z domu i stała na najwyższym stopniu schodów.

Była wysoka i miała bujne, jasne włosy. Twarzy jej nie mógł dostrzec, gdyż była odeń na pół odwrócona, ale... zaprawdę... nie mógł to być nikt inny, jak... Klara Gulla!

Zrozumiał teraz, dlaczego czuł się tak bardzo szczęśliwy tego dnia. Było to przeczucie, że znajduje się w pobliżu.

Urwał w połowie zwrotki, odsunął na bok stojących na jego drodze ludzi i pobiegł ku domowi.

U stóp schodów musiał przystanąć, serce biło mu tak silnie, że omal nie rozwalilo piersi.

Za chwilę wróciło mu tyle siły, że mógł się poruszyć. Powoli wstępował w górę, krocząc ze stopnia na stopień. Na koniec stanął u szczytu, rozpostarł ramiona i wyszeptał jej imię.

Dziewczyna zwróciła ku niemu głowę... Nie była to Klara Gulla! Była to obca, zupełnie obca dziewczyna i patrzyła nań ze zdziwieniem.

Nie rzekł ni słowa, tylko gorące łzy rzuciły mu się do oczu. Nie mógł ich powstrzymać. Zszedł z powrotem po schodach, odwrócił się od całej tej wspaniałości, całej zabawy i radości, jaka go otaczała i poszedł aleją ku wyjściu.

Wołano za nim, wzywano go, by wracał, by dalej śpiewał. Nie zważał na nic. Jak mógł najprędzej, dostał się do lasu i skrył się w jego cieniu wraz ze smutkiem swoim.

JAN I KATARZYNA

Nigdy jeszcze nie miał Jan ze Skrołyki tyle do myślenia i rozważania co teraz, kiedy został cesarzem.

Od samego początku swego wywyższenia musiał czuwać niezwykle bacznie, by go nie ogarnęła pycha. Uprzytomniał sobie często, że wszyscy ludzie są ulepieni z tej samej gliny, pochodzą od jednej pary prarodziców i że wszyscy jesteśmy ułomni i słabi, a przeto w gruncie rzeczy jeden niczym albo nawet zgoła niczym nie przewyższa drugiego. Przez całe życie wstrętem napawało Jana, kiedy widział, jak ludzie starali się prześcigać wzajem i dlatego też i teraz nie chciał popaść w taki błąd. Zauważył jednak, że niełatwą jest rzeczą żyć dalej w prawdziwej pokorze chrześcijańskiej człowiekowi, który tak wysoko został postawiony, iż nie posiada drugiego równego sobie w całej parafii.

Z wielką troskliwością czuwał nad sobą, by nie uczynić, albo nie powiedzieć czegoś, co by ubliżało starym przyjaciółom, którzy musieli

męczyć się dalej codzienną, twardą pracą, lub co by ich poniżyć mogło. Bywał teraz obecny, jak nakazywał obowiązek, na wszelkich zebraniach i uroczystościach w całym obwodzie, ale uznał za rzecz najwłaściwszą nie wspominać nigdy ni słówkiem o tym, co zaszło. Wprawdzie nie posądzał, broń Boże, nikogo o zazdrość, ale chciał innym ludziom oszczędzić przykrości porównywania siebie z nim.

Naturalnie nie mógł się również domagać od takich ludzi, jak Börje lub stary sieciarz, by go nazywali, jak się należało cesarzowi. Ci starzy przyjaciele mieli pozwolenie zwania go po dawnemu, Janem. Nie śmieliby zresztą nigdy dać mu innego miana.

Najważniejszą osobą, na którą musiał cesarz wyteńczyć całą swą myśl, a zarazem ostrożność, była oczywiście stara żona jego, Katarzyna, siedząca po dawnemu w małej chatce wyrobnika. Byłoby to wielką ulgą, uproszczeniem i zarazem bardzo by uradowało Jana, gdyby i u Katarzyny zjawilo się poselstwo z wieścią

o wywyższeniu. Nie stało się to jednak i Katarzyna pozostała Katarzyną.

Może nie dało się zrobić inaczej. Klara Gulla wiedziała dobrze, że z Katarzyny nie sposób zrobić cesarzową i nikt z ludzi nie mógłby sobie jej wyobrazić idącej do kościoła ze złotą gwiazdą we włosach. Raczej opuściłaby nabożeństwo, a żadna moc nie skłoniłaby jej pokazać się w czymś innym prócz czarnej, jedwabnej chusteczki na głowie.

Katarzyna powiedziała prosto z mostu, że nie chce wiedzieć o tym, iż Klara Gulla została cesarzową, a Jan po dojrzałym namyśle uznał, że najkorzystniej będzie uczynić zadość jej woli w tej sprawie.

Oczywiście trudną było rzeczą składać całe swe dostojeństwo na progu własnego domu człowiekowi, który codziennie w przystani otaczany był przez mnóstwo ludzi i co słowo tytułowany cesarzem. Często na wielkie wystawiony był przykrości i pokusy. zwłaszcza gdy nosił dla niej drzewo z lasu, albo czerpał wodę,

a ona wygłaszała poglądy, z których wynikało, że miast wywyższenia popadli w nędzę.

Gdybyż to zresztą Katarzyna na tym tylko chciała poprzestać. Żaliła się ona i lamentowała, że nie chce teraz pracować jak dawniej i wyrzuty mu czyniła przykre. Ale ile razy wyjeżdżała z tym, Jan udawał głuchoniemego. Wiedział on doskonale, że cesarzowa Portugalii lada chwila przyśle mu taką masę pieniędzy, iż wobec tego byłoby niedorzecznością oblekać się w roboczą odzież. Cesarzowa wzięłaby mu to nawet za złe.

Pewnego poobiedzia sierpniowego siedział Jan na progu domku swego i palił małą fajeczkę, gdy nagle posłyszał dolatujące z lasu cienkie, młodzieńcze głosiki i zobaczył jasne sukienki migające pośród drzew.

Katarzyna poszła do lasku brzozowego naciąć gałązek na miotłę, ale przed odejściem oświadczyła, że odtąd trzeba będzie wszystko urządzić inaczej. Ona pójdzie do Falli pomagać w strzyży owiec, on zaś może zostać w domu, gotować

ważę i łątać odzież, gdyż jest za wielkim panem do innej roboty.

Nie odrzekł ni słowa, mimo że to, co powiedziała, dotknęło go bardzo. Toteż rad był, że może myśl zająć czymś zgoła odmiennym. Skoczył co prędzej po cesarską czapkę swoją i laskę ze srebrną gałką i zdążył jeszcze dobiec do furtki w chwili, gdy ją mijały młode panienki.

Było aż pięć, trzy z nich były to córki właściciela Löwdali, dwie zaś obce, zapewne przybyłe w odwiedziny do przyjaciółek.

Jan otworzył szeroko furtkę i wyszedł do przechodzących.

— Witam was, piękne, czcigodne księżniczki! — powiedział, zdjął czapkę i skłonił się tak nisko, że niemal dotknęła ziemi.

Dziewczęta przystanąły z minami spłoszonymi nieco w pierwszej chwili. Ale Jan ośmielił je kilku słowami.

Wówczas odpowiedziały: — dobry wieczór! — wykrzyknęły: — aa... to nasz drogi cesarz!

— a Jan widział dobrze, że ucieszyło je to spotkanie.

Panienki z Löwdali, były to istoty zgoła różne od Katarzyny i wielu innych Askadalarńczyków i nie broniły mu wcale opowiadać o cesarzowej. Zaraz spytały, jak jej się powodzi i czy wnet wróci do domu.

Potem spytały, czy mogłyby wejść do izby, by zobaczyć, jak tam wygląda. Nie miał Jan potrzeby bronić im tego, bo Katarzyna utrzymywała domek w wielkim porządku i czystości, tak że najdostojniejsza osoba mogła każdego czasu przybyć w odwiedziny.

Wszedłszy do izby, młode córki właścicielki Löwdali zdziwiły się nieco, że cesarzowa żyła w tak małym domku i uczyniły uwagę, że póki nie była cesarzową, to jeszcze pół biedy, gdyż nawykła do ciasnoty, ale gorzej będzie, gdy powróci. Spytały, czy zamieszka na stałe z rodzicami, czy może odjedzie z powrotem do Portugalii?

Jan zadawał sobie już nieraz to pytanie i powiedział sobie, że Klara Gulla nie może pozo-

stać w Askadarnie, bo wszakże musi rządzić państwem. Toteż na pytanie panienek odrzekł:

— Sądzę, że cesarzowa powróci po pewnym czasie do Portugalii.

— Naturalnie ojciec uda się tam za nią? — spytała jedna z przybyłych.

Jan uczuł, że wolałby, gdyby go o to nie pytano. Nie dał też niezwłocznej odpowiedzi. Ale panienska nalegała.

— A może nie wiecie jeszcze, co się stanie?

Jan wiedział dobrze, co się stanie, ale nie zdał sobie dotąd sprawy, jak ludzie przyjmą jego postanowienie. Może im się wyda po trochu niegodnym cesarza.

— Ja będę musiał zostać w domu! — odrzekł wreszcie. — Nie mogę zostawić samej Katarzyny! Nie mogę!

— Więc Katarzyna nie pojedzie do Portugalii?

— Nie! Katarzyna nie da się nakłonić do porzucenia domu, a ja zostanę z nią. Trudno, jeśli się komuś przysięgło wierność w doli i niedoli...

— O tak! — zawołała panienka, która rozpytywała o wszystko najgorliwiej. — Rozumiem dobrze, że przysięgi tej łamać nie wolno! Słyszycie? — spytała zwracając się do reszty — Jan nie opuści swej żony, mimo że go czekają wszystkie cuda Portugalii!

I dziwna rzecz! Wszystkie uradowały się tym, co powiedział. Klepały go po plecach i mówiły, że to bardzo pięknie z jego strony. Mówiły też, że to dobry znak. Nie całkiem przypadł jeszcze zacny, poczciwy Jan Anderson ze Skrołyki.

Jan nie rozumiał, co chciały wyrazić owymi słowami. Musiały się cieszyć z tego, że nie stracą go ze wsi.

Panienki pożegnały się i poszły dalej, mówiąc, że idą do huty duwneńskiej, gdzie się dzisiaj odbywa zebranie towarzyskie.

Zaledwo poszły, dziwnym trafem pojawiła się natychmiast Katarzyna. Musiała chyba stać za drzwiami i czekać. Nie chciała wchodzić, widząc, że w izbie są obce osoby, ale stała zapewne w pobliżu i Bóg raczy wiedzieć, ile posłyszała z rozmowy toczonej w izbie.

W każdym razie miała minę łagodniejszą i mniej ponurą niż w czasach ostatnich. Dawno nie była też tak uprzejma.

— Jesteś skończony wariat! — oświadczyła z miejsca. — I rada bym wiedzieć, co by uczyniła inna kobieta, mając takiego męża. Ale poczciwie zrobiłeś, mówiąc, że mnie nie opuścisz!

POGRZEB

Nie zaproszono Jana ze Skrołyki na pogrzeb Björna Hindriksona, ani też, co prawda, nie przyszło doń nawet żadne zawiadomienie, że ma wziąć udział w pogrzebie jego w Loby. Ale pozostała rodzina nie była pewna, czy chce zaliczać się on jeszcze do krewniaków, od kiedy został tak bardzo wywyższony i żyje wśród takich wspaniałości i przepychu.

Może też sprawiło im trudność przysposobienie wszystkiego na jego przyjęcie i dostosowanie ceremoniału do obecności tak dostojnej osoby na wiejskim pogrzebie.

Najbliżsi krewni Björna Hindriksona powinni oczywiście zajmować naczelne, pierwsze miejsce w żałobnym orszaku, gdyby zaproszono cesarza, jemu by to miejsce oddać trzeba, co naruszyć by musiało przyjęte zwyczaje miejscowe.

Nie mogli wiedzieć, jak bardzo pobłażliwy jest w tych sprawach, na które inni panujący tak wielki nacisk kładą. Nie zależało mu na drobiazgach i tak bowiem wiedział, kim jest. Nie przyszło mu nigdy do głowy spierać się z tymi, którzy szczęśliwi się czuli, zajmując pierwsze w towarzystwie miejsce przy stole.

Aby tedy nie dawać powodu do zgorszenia, nie poszedł rano do domu żałoby, zanim stamtąd ruszył kondukt, ale udał się wprost do kościoła i dopiero, gdy dzwony zaczęły dzwonić i zobaczył ustawiający się przed kościołem orszak żałobny, podszedł i zajął skromnie miejsce pośród krewnych.

Wszyscy mieli nieco przerażony wyraz twarzy, gdy go ujrzeli, widział to dobrze, ale nawykł już do tego, że ludzi onieśmiała zawsze

jego wspaniałomyślna łaskawość, przeto nie robił sobie nic z wrażenia, jakie wywarł. Powinno by się go było poprosić do pierwszego szeregu, ale nie było już na to czasu, bo kondukt ruszył w kierunku cmentarza. Kiedy skończona została ceremonia pogrzebowa, udał się wraz z osieroconą rodziną do kościoła i zajął miejsce w ławce pośród innych. Znowu zauważył, że wszyscy są zmieszani, ale nikt nie zdobył się uczynić uwagi, że opuścił zaszczytne miejsce na chórze, by się znaleźć razem z nimi.

Zresztą nie wypadało żadnym czynić usprawiedliwień w chwili, kiedy zabrzmiały organy i rozległ się psalm.

Po nabożeństwie zajeżdzać zaczęły jeden po drugim wózki i bryczki, będące własnością uczestników pogrzebu. Jan podszedł do drabiniastego wozu, którym przywieziono trumnę i zajął w nim miejsce. Wiedział, że wóz ten wracać będzie teraz pusty do Loby, przeto usiadł tu, by nikomu nie zabierać miejsca.

Córka i zięć Björna Hindriksona przeszli kilka razy koło tego wozu i spoglądali na sie-

dzącego Jana spod oka. Jan sądził, że martwi ich to może, iż mu nie oddali miejsca w najpawodniejszym pojeździe. Ale nie chciał, by z jego przyczyny nastąpić miało jakieś zamieszanie, jakaś zmiana w ustalonym już porządku. Wiedział i tak, kim jest.

Kiedy ruszył sprzed kościoła, nie mógł się opędzić wspomnieniu, jak to ongiś on i Klara Gulla wędrowali do Loby, odwiedzić krewnych. Teraz wszystko odwróciło się na wspak. Któż to był dziś bogaty i sławny? Kto czynił zaszczyt krewnym udając się do nich?

Po przyjeździe do domu żałoby wprowadzono gości do wielkiej świetlicy na parterze, gdzie pozdejmowali okrycia. Potem wystąpił jeden z sąsiadów Björna Hindriksona, którzy wedle zwyczaju byli gospodarzami żałobnej uczyty i poprosił co znakomitszych gości na górę, gdzie czekały zastawione stoły.

Było to pełne odpowiedzialności zadanie wybrać spośród uczestników tych, którzy mieli pierwsi zasiąść do uczyty, bo natłok był taki, że nie stało miejsca dla wszystkich od razu

i musieli zasiadać partiami, jedni po drugich. A znalazło się sporo takich, którzy by pominięcie w pierwszej partii uważali za brak szacunku i nie przebaczyli tego do śmierci.

Jeśli idzie o tego, który został podniesiony do godności cesarza, to mógł on w wielu wypadkach pozwolić sobie na pobłażanie, musiał jednak domagać się niezbędnego, by został zaliczony co najmniej do pierwszej partii biesiadników, skoro już tyle dotąd okazał łaskawości. Inaczej wszyscy słusznie mogliby mniemać, że nie jest świadom swych praw i swego dostojństwa.

To jednak stać się żadną miarą nie mogło, nie zagrażało mu żadne niebezpieczeństwo, mimo że dotąd nie został wymieniony pomiędzy tymi, którzy już czekali na górze. Będzie siedział razem z proboszczem i pierwszymi dostojnikami, nie miał powodu niepokoić się tą sprawą.

Siedział na ławce osamotniony i milczący, gdyż tutaj nie było oczywiście nikogo, z kim by mógł pomówić o cesarzowej. Czuł, co prawda,

pewne przygnębienie. Kiedy wybierał się z domu, Katarzyna radziła mu, by lepiej nie szedł na pogrzeb, gdyż ta rodzina chłopska jest ze starego rodu i tak dumna, że nie uchyli z pewnością czoła ni przed królem, ni cesarzem. Wyglądało wszystko tak, jakby Katarzyna w istocie miała słuszość. Chłopi starych, odwiecznych rodów, siedzący od stworzenia świata na tym samym gospodarstwie, uważają się za dostojniejszych od wszystkich innych dygnitarzy.

Długo trwało zanim dobrano tych, którzy mieli zaliczać się do pierwszej partii biesiadników. Sąsiedzi, odgrywający dziś rolę gospodarzy, chodzili wszędzie, szukając najgodniejszych, ale do niego, do cesarza, nie przyszedł żaden.

Obok Jana siedziało dwoje dziewcząt niespodziewających się zgoła, by je zaliczono do pierwszej partii i rozmawiało ze sobą spokojnie. Dziwiły się, jak się stać mogło, że Linnart Björson, syn Björna Hindriksona zdążył jeszcze na czas wrócić do domu, by się pojednać z ojcem.

Co prawda nie dzieliła ich żadna zawiść, tylko sprawa miała się w ten sposób: przed trzydziestu mniej więcej laty, gdy Linnart miał dwudziesty rok życia i chciał się żenić, spytał ojca, czy zda na niego gospodarstwo, czy rzecz ureguluje inaczej, tak jednak, by syn był samodzielnym gospodarzem. Ale stary Björn odmówił jednego i drugiego bez namysłu. Życzeniem jego było, by syn pozostał w domu jak dotąd, a gospodarstwo przejmie na siebie dopiero, kiedy ojciec legnie w grobie.

Na to odpowiedział Linnart z całą szczerością:

— Nie! Nie chcę zostać w domu, byś mną orał jak parobkiem, mimo że jesteś ojcem moim! Wolę ruszyć w szeroki świat i założyć własne ognisko domowe. Chcę być własnym panem jak ty, ojcze, bo inaczej niedługo by trwała przyjaźń nasza!

Na to odrzekł stary Björn:

— Przyjaźń skończyć się może także i wtedy, gdy pójdziesz w świat!

Syn ruszył w lasy, ciągnące się na północ i na wschód jeziora duwneńskiego, osiedlił się tam w zupełnej pustce, wykarczował drzewo i uprawił ziemię. Posiadłość jego leżała w parafii broeńskiej i nie pokazywał się nigdy w Svarstjö. Rodzice nie widzieli syna na oczy przez lat trzydzieści. Ale, o dziwo, akuratnie zeszłej niedzieli, kiedy Björn kończył życie, zjawił się nagle w domu.

Dziewczęta opowiadały sobie o tym, a słysząc to, Jan powstał od razu. Były to wieści dobre. Zeszłej niedzieli Katarzyna wróciwszy z kościoła oświadczyła, że z Björnem jest źle, a Jan spytał zaraz, co słyhać z synem i czy po niego posłano.

Nie stało się to. Katarzyna słyszała, że żona Björna Hindriksona prosiła gorąco męża, by pozwolił posłać wieść Linnartowi, ale jej surowo zabronił. Stary oświadczył, że przynajmniej na łóżu śmierci chce mieć spokój.

Jana nie zaspokoilo to wcale. Ciagle mu na myśl przychodził Linnart, zakopany w lasach, niewiedzący o niczym. Toteż postanowil uczy-

nić wręcz przeciwnie, jak chciał Björn i zawiadomić syna.

Nie wiedział, jakim się sprawy potoczyły torem i dopiero tu, na pogrzebie wyjaśniło mu się wszystko. Przysłuchiwał się ciekawie opowiadaniu dziewcząt o Linnarcie i ojcu jego i zapomniał zupełnie, kogo zaliczono do pierwszej i drugiej partii biesiadników.

Jedna z dziewcząt opowiadała szczegółowo.

Gdy syn przybył, powitali się z ojcem bardzo serdecznie. Stary śmiał się i dziwowało go bardzo ubranie syna.

— Przybyłeś widzę w roboczej odzieży? — powiedział ojciec.

— Tak! — odrzekł. — A mogłem się wystroić, bo wszakże mamy niedzielę! Ale widzicie, ojcze, tego roku mieliśmy tam w górach istny potop deszczu, toteż w niedzielę po południu chciałem zwieść owies.

— No i zwiozłeś go? — spytał Björn.

— Jedną furę zawiozłem pod dach, ale kiedy przybył posłaniec, rzuciłem wszystko i ruszyłem w drogę, nie przebierając się nawet!

— Któż ci przyniósł wiadomość? — spytał ojciec po dobrej chwili.

— Nie widziałem tego człowieka nigdy na oczy! — odrzekł. — Nie przyszło mi na myśl spytać, jak się zowie. Wyglądał jak stary żebrak.

— Człowieka tego musisz odszukać, Linnarcie — powiedział stary z naciskiem — i podziękować mu w moim imieniu! Gdziekolwiek go spotkasz, oddaj mu cześć, albowiem miał serce dla całej naszej rodziny.

Rozmawiali ze sobą potem przyjaźnie i nie rozłączali się aż do końca, tak że stary Björn znalazł bodaj trochę tej radości, której mu brakło przez całych lat trzydzieści.

Jan zadrżał, usłyszawszy, że Linnart nazwał go starym żebrakiem, ale pocieszył się tym, że przecież nie miał wówczas ani czapki, ani laski cesarskiej. Naturalnie, tu była przyczyna nieporozumienia!

Myśli Jana wróciły znowu do chwili obecnej i ogarnął go smutek. Siedział już i tak dosyć długo, teraz musi zostać zaproszony, inaczej wszystko przepadło.

Wstał, pewnym krokiem przeszedł podwórze, minął werandę, wszedł na górę po schodach i otworzył drzwi do wielkiej sali na piętrze.

Uczta była w pełnym toku, zauważył to od razu. Wielki stół ustawiony w podkowę obsadzony był gęsto biesiadnikami i obniesiono właśnie pierwszą potrawę. Wynikało więc z tego, że nie miano zamiaru zaliczyć go do pierwszej partii.

Siedział proboszcz, kościelny, porucznik z Löwdali z żoną, jednym słowem byli tu ci wszyscy, którzy powinni być, tylko jego jednego nie było.

Jedna z dziewcząt podających półmiski, zobaczywszy go we drzwiach, podeszła i spytała szeptem:

— Czegóż tu chcecie, Janie! Zejdźcież na dół!

— Drogie dziecko! — odrzekł. — Cesarz Portugalii zaliczony być chyba musi do pierwszej partii biesiadników!

— Nie gadajno tak, Janie! — powiedziała ostro. — Dziś nie pora na te twoje głupstwa! Zejdź na dół i poczekaj, a dostaniesz jeść, gdy przyjdzie na ciebie kolej!

Jan odczuwał w istocie dla tej rodziny więcej szacunku niż dla którejkolwiek innej w gminie. Ale właśnie dlatego przywiązywał wielką wagę do należytego przyjęcia i ugoszczenia w tym domu. Stał w progu z czapką w ręku i opanowało go wielkie przygnębienie. Wydało mu się, że naraz spada zeń cały majestat cesarski.

W tej przykrej chwili usłyszał lekki okrzyk Linnarta z drugiego końca stołu.

— Oto jest człowiek, który mi zeszłej niedzieli przyniósł wieść o chorobie ojca!

— Co mówisz? — spytała matka. — Czy pewny tego jesteś?

— Tak! Nie może to być kto inny! — odparł Linnart. — Widziałem go już przedtem, ale nie poznałem, gdyż był jakoś dziwnie ubrany! Teraz poznaję go doskonale!

— Jeśli tak — powiedziała matka — to nie dajmy mu stać w drzwiach jak żebrakowi,

ale zróbmy mu miejsce przy stole! Winniśmy mu cześć i podziękę, albowiem on to właśnie uczynił śmierć lekką Björnowi Hindriksonowi. Mnie zaś osobno przyniósł jedyną pociechę, jaką mieć mogę po śmierci męża!

Mimo że i przedtem straszliwy panował ścisk przy stole, zrobiono miejsce Janowi pośrodku podkowy, wprost naprzeciw proboszcza. O lepszym miejscu nie mógł zamarzyć.

Z początku zdawało mu się, że dostał kijem przez łeb i pojąć nie mógł, czemu robią sobie z nim tyle zachodu z tego jeno powodu, że zrobił kilkumilowy spacer do osiedla Linnarta Björnsona.

Ale po chwili zrozumiał cały związek wewnętrzny rzeczy. Oczywiście w pierwszej linii chciano w nim uczcić cesarza, tylko urządzono to w ten sposób, aby nie dotknąć żadnego z zazdrosnych o zaszczyty wielmożów i dygnitarzy.

Nie mógł znaleźć innego wytłumaczenia, bo przecież, mimo że przez całe życie był uczynny dla ludzi, życzliwy i skromny, nigdy go za

to nie fetowano i nie honorowano, a właśnie dzisiaj spotkał go ten zaszczyt wielki.

GASNĄCE SERCE

Inżynier Boräus z Borgu w codziennych wycieczkach swoich do przystani zauważył, że od pewnego czasu tłum ludzi otaczał małego człeczka ze Skrołyki, z którym się zapoznał osobiście. Nie nudził on się teraz, nie wysiadywał samotny, zapatrzony w wodę, zatopiony w marzenia, jak bywało zeszłego lata. Wszyscy oczekujący statku otaczali go kołem, przysłuchując się opowiadaniu o cesarzowej, jej powrocie do domu, a zwłaszcza uroczystej chwili wylądowania w borskiej przystani. Ile razy przechodził inżynier mimo tej grupy, wpadały mu w uszy opowieści o złotym diademie we włosach cesarzowej i złotych kwiatach, jakie zakwitną na wszystkich krzewach, gdy tylko dotknie stopą ziemi.

W drugiej połowie października, to jest mniej więcej w trzy miesiące od onego dnia, w któ-

rym Jan po raz pierwszy odkrył tutaj, w przystani Borgu, tajemnicę wywyższenia Klary Gulli, zauważył inżynier, że tłum otaczający Jana jest bardzo wielki. Miał zamiar przejść mimo po krótkim pozdrowieniu, ale rozmyślił się i przystanął, chcąc się dowiedzieć, co zaszło.

Na pierwszy rzut oka nie dostrzegł nic szczególnego. Jan siedział jak zawsze na głazach, miał tylko dziś pełną dostojeństwa, uroczystą minę. Obok niego siedziała niesamowita jakaś kobieta i trzepała tak szybko i napastliwie, że słowa zdawały się perlić w jej ustach niby woda spadająca ze skał. Potrząsała głową, mrużyła oczy, chwiała się w tył i naprzód, pochylała się tak, że gdy kończyła zdanie, twarzą niemal dotykała ziemi.

Inżynier poznał zaraz oczywiście szaloną Ingeborgę, nie mógł jednak z początku zrozumieć, co mówi, musiał przeto zapytać innych, o co idzie.

— Prosi go, by zarządził co trzeba w sprawie zabrania jej przez cesarzową do Portugalii. Chce tam jechać koniecznie! Namawia go już

od chwili, ale Jan nie może się zdecydować na danie przyrzeczenia.

Po takiej informacji mógł już inżynier śle-
dzić słowa Ingeborgi, ale to, czemu się przy-
słuchiwał, nie sprawiało mu widocznie radości,
gdyż prostopadła zmarszczka między brwiami
jego stawała się coraz to głębsza i czerwiejsza.

Oto miał przed sobą jedyną na świecie prócz
Jana osobę wierzącą we władztwo portugalskie
i jej to właśnie odjęta była możliwość udania się
do wymarzonego kraju. Biedna, stara kobieta
wiedziała, że w miejscu tym nie ma głodu, nę-
dzy, złych, brutalnych ludzi, drwiących z nie-
szczęśliwych, nie ma dzieci biegnących długo
za samotnikiem, bezbronnym tułaczem, rzuca-
jących weń kamieniami. Panował tam wieczy-
sty pokój i dostatek, tam też chciała się dostać,
rzucając nędzę zmarnowanego w niedoli życia.
Błagała, płakała, używała wszelakich sposobów
przekonywania, ale ciągle padało jeno twarde:
nie... nie... w odpowiedzi.

A ów człek, głuchy na prośby, przeżył prze-
cież sam cały rok ostatni w trosce i tęsknocie.

Przed kilku miesiącami jeszcze, kiedy serce jego tętniło żwawo i mocno, nie mógłby wyrzec słowa: nie... Teraz atoli, czasu szczęśliwości zakamieniało serce jego, zmieniając się w zimny głaz.

Zewnętrzny wygląd Jana doznał również przemiany wielkiej. Policzki jego wypełniły się, miał teraz podwójny podbródek, a na górnej wardze ukazał się czarny wąsik. Oczy rozlały się i zmętniały, a spojrzenie stało się tępe. Inżynierowi wydało się nawet, że nos powiększył się trochę i nabrał linii znamionującej dumę. Włosy natomiast widocznie wypadły całkiem, bo ani jeden kosmyk nie spływał spod skórzanej czapki.

Od pierwszej rozmowy w lecie, inżynier nie spuszczał Jana z oka. Już tęsknota nie gnała go teraz codziennie ku przystani. Na statek zaledwo raczył rzucić okiem. Przychodził, by spotkać ludzi godzących się na jego szaleńcze pomysły i zwących go cesarzem w celu usłyszenia fantastycznych opowieści i śpiewania.

Czemuż jednak gorszyło go to? Wszakże człowiek ów był wariatem i basta!

— Szaleństwo to było może uleczone — myślał — i uratować mógł Jana ktoś, kto by go bezlitośnie strącił z fikcyjnego tronu. Taki człowiek nie znalazł się, niestety!

Inżynier objął raz jeszcze spojrzeniem szaleńca ze Skrołyki. Miał minę łaskawą, wyrażającą żal, pozostał jednak nieubłagany i nieugięty.

W onym cudnym portugalskim kraju było miejsce jeno dla książąt, generałów i pięknie ubranych ludzi. Nie ulegało wątpliwości, że szalona Ingeborga w bawełnianej chustce i samodziałowym kaftanie nie była wcale pożądanym zjawiskiem pośród tak świetnego towarzystwa. Ha... ha...! Inżynier przybrał groźną minę...

Zdawało się, że ma ochotę zwymyślać porządnie Jana i byłby dobrze uczynił. Ale za chwilę wzruszył ramionami. „Nie... nie — pomyślał — nie jestem powołany do tego! Pogorszyłbym tylko całą sprawę”.

Oddalił się bez słowa od tłumu ludzi i poszedł do przystani, gdyż statek wynurzył się właśnie spoza ostatniego przylądka.

DETRONIZACJA

Dawnymi czasy, kiedy Lars Gunnarson nie był jeszcze żonaty z Anną, córką Eryka z Falli, brał pewnego dnia udział w publicznej licytacji.

Sprzedawano rzeczy pewnej biednej rodziny i widocznie przedmioty nie nęciły wcale nabywców, gdyż rezultat był bardzo marny. A można się było spodziewać zgoła innego, bowiem licytátorem był słynny Jöns z Kisterudy, żartowniś i facecjonista niezrównany, którego dowcipy ściągają zawsze licytántów bez względu na to, co sprzedawano. Nie szło dziś, mimo że Jöns ciągle powtarzał swe, znane zresztą, figle i nikt nie miał ochoty. Doszło do tego, że odłożył młotek i ustąpił, mówiąc, iż zachrypnął zupełnie.

— Panie pośle — powiedział do Karola Karlsona, który prowadził sprzedaż — musi pan wyszukać kogoś innego. Nakrzyczałem się tyle

do tych kłoców stojących wokoło, że muszę iść do domu i zamilknąć na kilka tygodni, zanim znowu będę mógł mówić.

Był to kłopot niemały dla posła, bo został bez wywoływacza, a większość rzeczy jeszcze nie została sprzedana, toteż starał się wszelkimi sposobami nakłonić Jönsa z Kisterudy, by licytował dalej. Ale Jöns nie dał się przekonać i miał słuszną rację. Nie mógł narażać się na utratę opinii w razie ujemnego wyniku sprzedaży i nagle zachrypnął do tego stopnia, że ledwo szeptał.

— Czy zgodziłby się ktoś z obecnych — zapytał poseł — wywoływać przez pewien czas, zanim Jöns wypocznie trochę?

Niewielką mając nadzieję na znalezienie zastępcy, rozglądał się wokoło. Naraz przecisnął się aż do niego Lars Gunnarson i oświadczył, że gotów jest spróbować. Był on wówczas młody, a wyglądał młodziej jeszcze, toteż Karol Karlsson roześmiał mu się w nos i powiedział, że nic mu po wyrostku niekonfirmowanym pewnie. Ale Lars odrzekł, że jest już parobczakiem i na-

praszał się tak, by mu pozwolono ująć młotek licytatorski, że poseł uległ w końcu.

— No dobrze... można zezwolić na próbę!
— oświadczył. — Zresztą nie może już chyba iść gorzej niż dotąd.

Lars zajął wzniesione miejsce Jönsa i wziął do rąk starą, wysłużoną maśnicę, by wywołać jej cenę. Nagle wstrzymał się i najspokojniej w świecie zaczął oglądać sprzęt z wszystkich stron. Obracał maśnicę w jedną i drugą stronę, opukiwał dno i boki i dziwił się bardzo, nie mogąc odkryć w niej żadnej wady. Potem przybrał minę strapionego człowieka, który zmuszony jest sprzedać przedmiot wielkiej wartości.

Wyraźnie czuli obecni, że boli go, iż maśnica ta musi iść pod młotek, a nawet dorozumiewali się, że dla właściciela byłoby najkorzystniej, gdyby się nikt nie domyślił, co to za doskonały sprzęt domowy.

Padaly cyfry jedna za drugą, a Lars stawał się coraz posepniejszy. Zrazu gdy kwoty były niskie, krzywił się tylko, gdy jednak zaczę-

ły szybko wzrastać, rozpacz prawdziwa odmawiała się na jego twarzy i miał minę ofiary, w chwili gdy zmuszony był oddać ową maśnicę ostatniemu z licytantów.

Przyszła kolej na wiadro, szatkownicę i wycymaczkę do bielizny. Lars okazywał się nieco przystępniejszy, dopóki szło o stare sprzęty i sprzedawał je wzdychając tylko, natomiast nowe po kilka razy odstawiał na bok, wzbraniając się najwyraźniej wystawiać na widok publiczny.

— Szkoda tego puszczać na bęben — tłumaczył właścicielowi — to pyszny szaflik i można go na targu sprzedać za nowy!

Zebrani nie umieli sobie zdać sprawy z tego, co się dzieje, ale licytowali coraz to zapalczywiej. Larsa Gunnarsona przerażała wprost każda cyfra i owa gorączka kupowania nie była mu całkiem na rękę. Ludzie nagle nabrali przekonania, że sprzedają tu rzeczy naprawdę cenne i nagle przypomnieli sobie, iż właśnie brak im w domu tego i owego. Można tu było zrobić nie na żarty dobry interes, toteż licytowano nie

jak dawniej, kiedy Jöns był wywoływaczem, dla posłuchania jego facecji, ale z zupełnym przekonaniem i powagą.

Po tej pierwszej mistrzowsko przeprowadzonej licytacji proszono Larsa Gunnarsona zawsze, gdy szło o tego rodzaju rzecz, by wywoływał ceny. Od kiedy dzierzył młotek, nie bywało na licytacjach tak wesoło, nikt jednak nie umiał jak on wpoić ludziom wprost pożądaną, by pozyskać na własność wszelkiego rodzaju bezużyteczne rupiecie, lub też podszczuć dwu bogaczy do współzawodniczenia ze sobą z racji jakiegoś drobiazgu, celem pokazania wobec wszystkich, że ich stać na wyrzucanie pieniędzy.

Ile razy Lars dzierzył młotek, wyzbywał się do ostatka wszystkiego. Raz jeden tylko wielkie na nim zawisło niebezpieczeństwo, a mianowicie przy publicznej sprzedaży ruchomości po śmierci Svena Oesterberga ze Storstugi pod Bergvikiem. Miał tam sprzedawać przepyszne sprzęty i natłok licytantów był wielki. Mimo późnej jesieni piękna była pogoda i ciepło, to-

też licytacja odbywała się pod gołym niebem. W tych warunkach sprzedaży nie sposób pojąć, dlaczego ani rusz iść nie chciała. Nikt nie zwracał uwagi na wywoływane kwoty i nie podbijał ich w górę. Jakaś ogólna zapanowała niechęć i zdawało się, że Larsowi przydarzy się to samo, co swego czasu Jönsowi z Kisterudy, który musiał złożyć młotek w inne ręce.

Lars nie miał jednak ochoty zdać innemu swych funkcj⁶¹, starał się tedy wy badać, co mogło być przyczyną, że ludzie byli tak roztrzepani i niechętni do interesów. Nie trwało długo, a wymiarkował wszystko.

Stanął on na stole, by każdy mógł zobaczyć dokładnie sprzedawany przedmiot i z tego miejsca nietrudno mu było odkryć, że nowy cesarz europejski, mieszkający w wyrobniczej chałupie niedaleko Falli, znajduje się wśród tłumu. Lars widział, jak kłania się z miną łaskawą na prawo i lewo i pokazuje ludziom swą skórzaną czapkę i swoje wspaniałe berło. Szedł jego śladem długi korowód dzieci i parobczaków,

⁶¹*funkcyj* — dziś: funkcji. [przypis edytorski]

a nikt z obecnych nie uważał sobie za ujmę zamienić z nim słów kilka. Wobec tego trudno się było dziwić, że licytanci nie mogli skupić uwagi, gdy znajdował się pośród nich mąż tak znakomity.

Lars nie przerwał sprzedaży, śledził tylko oczyma Jana ze Skrołyki i wypatrywał chwili, gdy się tenże znajdzie w pierwszym rzędzie licytantów, tuż obok stołu. Nie było obawy, by Jan Portugalski miał stać gdzieś z tyłu. Rozmawiał wprawdzie łaskawie z każdym i ścisnął każdemu rękę, ale jednocześnie przepychał się coraz dalej i stanął w pierwszym rzędzie.

W tej chwili dał Lars susa ze swego stołu, rzucił się na cesarza, wyrwał mu laskę z ręki, zdarł czapkę z głowy i wskoczył z powrotem na stół, zanim Jan miał czas pomyśleć o oporze.

Cesarz krzyknął przeraźliwie, rzucił się do stołu i chciał odebrać zrabowane insygnia koronne, ale Lars machnął kijem w ten sposób, że musiał się cofnąć. W tłumie powstał szmer niezadowolenia, ale Larsa nie zastraszyło to wcale.

Wyprostował się i krzyknął:

— Widzę, że wszyscy jesteście zdziwieni moim postępkami?

Głos jego donośny i jasny rozlegał się po całym podwórku.

— Ta czapka i laska jest to rodowa pamiątka właścicieli Falli. Były one własnością Eryka, mego teścia, on zaś otrzymał je w spadku po dawnych właścicielach gospodarstwa. Rzeczy te cieszyły się zawsze wielkim poszanowaniem w naszym domu i nie ścierpię, by ich używał dla błazeństwa taki wariat stary. Nie wiem, jak doszedł do ich posiadania, ale to wiem, że nie pozwolę, by się pysznił naszą własnością.

Jan uspokoił się bardzo prędko i stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, słuchając obojętnie przemówienia Larsa, a miał taką minę, jakby wcale o niego i jego insygnia nie szło.

Gdy Lars skończył mówić, Jan uczynił gest rozkazujący i powiedział do stojącego najbliżej parobka:

— Drogi szambelanie! Przynieś mi koronę i berło moje!

Ale nikt się nie ruszył, by mu pomóc, ten i ów zaśmiał się nawet w głos. Wszyscy do jednego stanęli po stronie Larsa.

Jedną tylko osobę spośród obecnych zdjęła litość.

Z tłumu wzbił się jakiś głos kobiety:

— Lars! Oddajcież mu z powrotem te oznaki cesarskie! Nie możecie przecież ani w takiej czapce chodzić ani takiej długiej laski używać!

— Dam mu własną czapkę, gdy wrócę do domu, — odkrzyknął — ale nie zezwolę, by się wałęsał pomiędzy ludźmi i wystawiał na pośmiewisko nasze skarby rodzinne.

Po tym oświadczeniu rozległy się w tłumie głośnie śmiechy, a Jan uczuł takie przynębienie, że stał jak skamieniały, rzucając tylko wkoło oczami. Poglądał⁶² po ludziach i nie mógł ochłonąć ze zdumienia. Boże wielki, dumiał, czyż wśród tych wszystkich, którzy mu się przed chwilą kłaniali, świadczyli grzeczności i cześć mu oddawali, nie ma ni jednego, który by mu przyszedł z pomocą w potrzebie? Wszy-

⁶²poglądać — dziś: spoglądać. [przypis edytorski]

scy stali jak martwi, był im niczym, ni palcem nie uważali za słuszne ruszyć w jego sprawie. Widział to jasno, a strach go też przejął, że ta cała monarsza dostojność tak mogła zeń spaść niespodzianie, jak ten liść jesienny. Stał biedny, drżący, najpodobniejszy dziecku, co rychło rozplakać się musi, gdy mu źli ludzie wyrwali z rąk zabawki umiłowane i niezbędne do życia.

Lars Gunnarson zwrócił się teraz do ogromnego stosu rzeczy leżących wokół stołu i chciał na nowo zacząć wywoływać ceny. Nagle myśl strzeliła do głowy Janowi, postanowił poradzić sobie sam. Popłakując i lamentując zbliżył się do samego stołu, potem nagle schylił się i wsadził głowę pod blat, chcąc nagłym szarpnięciem bark wywrócić stół razem z Larsem.

Lars miał bystre oko. W mig chwycił berło Portugalii i grzmotnął Jana przez krzyż z taką mocą, że jęknął i musiał się cofnąć.

— Nic z tego! Nie oddam ci skradzionych rzeczy! Zdaje mi się, że dość już zmarnowałeś czasu na królowaniu. Bierzno się, stary ośle, do

kopania. Dziady jak ty nie mają czego szukać po licytacjach!

Jan nie miał wielkiej ochoty usłuchać i czaił się do nowego ataku, ale Lars machnął raz jeszcze laską i to wystarczyło, by cesarz Portugalii podał tył⁶³ i rzucił się do ucieczki.

Nikt nie poszedł za nim, nikt mu nie dał jednego dobrego słowa, nikt nie krzyknął, by został. Większość nie mogła się nawet powstrzymać od śmiechu na widok biednego szaleńca, który postradał całą swą urojoną wielkość.

Lars nie był zadowolony z takiego wyniku, raziło go zaburzenie licytacji, która była dla niego czymś w rodzaju nabożeństwa.

— Uważam — powiedział — że lepiej poważnie postępować z Janem, niż się zeń natrzęsać. Wielu przytakuje jego szaleństwu, zwie go cesarzem, a takie postępowanie nie jest uczciwe. Lepiej starać się wykazać mu, że jest wyrobnikiem i wszyscy powinni to czynić, choćby rzecz nie była łatwa ni przyjemna. Jestem od dłuższego już czasu jego chlebodawcą i posta-

⁶³ *podać tył* — odwrócić a. cofnąć się (np. o armii). [przypis edytorski]

ram się, jak to jest obowiązkiem moim, nakłonić go znów do roboty. Tak zrobić trzeba, inaczej bowiem stanie się niedługo ciężarem gminie.

Po tym zajściu przeprowadził Lars świetną wprost licytację, z ożywionym podbijaniem cen i wybornym wynikiem. Zadowolenie, jakiego doznawał z tego powodu wzmogło się jeszcze nazajutrz, kiedy się dowiedział, że Jan przywdział roboczą odzież i wziął się z powrotem do kopania rowów na mokradłach.

— Nie trzeba mu teraz wspominać o jego szaleństwie! — zapowiedział wszystkim w domu. — Może odzyska jeszcze rozsądek. Nie miał go zresztą nigdy tak dużo, by mógł nim szafować hojnie.

KATECHIZACJA

Z niczego nie radował się tak bardzo Lars Gunnarson, jak z pomysłu odebrania Janowi ze Skrołyki skórzanej czapki i laski. Zdawało się w sa-

mej rzeczy, że wraz z tymi rzeczami odeszło też odeń szaleństwo.

W parę tygodni po licytacji w Berwiku odbywała się we Falli zwyczajna katechizacja wiernych. Zeszli się wszyscy z okolicy jeziora duwnieńskiego, a wraz z innymi przybyli mieszkańcy Skrołyki. I, o dziwo, po Janie nie można było wcale poznać, jakoby rozum jego szwankował kiedykolwiek.

Wszystkie stołki i ławy, jakie tylko były, zniesiono do wielkiej czeladnej izby na dole. Siedzieli w ciasnych szeregach ramię w ramię wszyscy przybyli na katechizację, czyli naukę zasad wiary, a pośród nich Jan, nie pchając się zgoła na pierwsze miejsce, ale poprzestając na tym, jakie mu się należało. Lars nie spuszczał go przez cały czas z oka i przekonał się, że szaleństwo znikło niby cudem. Jan zachowywał się jak zgoła inny człowiek, nie było o czym wątpić.

Milczał tylko jak zaklęty, a kto go pozdrowił, odbierał w odpowiedzi jeno krótkie skinienie głową. Mogło to być spowodowane sza-

cunkiem dla miejsca i duchownej praktyki, bo katechizację uważano ogólnie za rodzaj nabożeństwa.

Przed rozpoczęciem samej nauki musiano stwierdzić obecność wiernych, gdy tedy proboszcz wywołał Jana Andersona ze Skrołyki, odpowiedział bez chwili wahania, zupełnie jakby nigdy nie istniał na świecie jakiś cesarz Portugalii.

Proboszcz siedział pod ścianą w głębi izby i trzymał rozłożoną przed sobą na stole wielką księgę, a obok niego Lars Gunnarson i pomagał mu, wyjaśniając, kto w czasie ostatniego roku wydalil się z gminy, kto się ożenił czy zmarł.

Kiedy Jan dał odpowiedź jak należy, wszyscy zobaczyli, że proboszcz zwrócił się do Larsa z niedosłyszalnym pytaniem.

— O, nie było tak źle, jak się zdawało! — powiedział Lars. — Wyperswadowałem mu to! Teraz codziennie przychodzi tu do Falli i pracuje jak przedtem.

Lars nie był tak taktowny jak proboszcz i odpowiadając, nie zniżył głosu, toteż wszyscy zrozumieli, o co idzie i oczy wielu zwróciły się na Jana. Ale on siedział spokojnie, jak gdyby nie słyszał nic a nic.

Rozpoczęła się katechizacja, a proboszcz kazał powiedzieć czwarte przykazanie kilkunastu młodym, zatrwożonym trochę parobczakom, którzy mieli dnia tego być pytani dla zbadania, czy obeznani są należycie z zasadami wiary świętej.

Nie stało się to tak całkiem przypadkowo, że proboszcz wybrał właśnie to czwarte przykazanie za temat nauki. Znalazł się w wygodnej, zacisznej izbie, z ławkami wzdłuż ścian, pełnej staroświeckich naczyń, noszącej niezaprzeczalne znamiona dobrobytu. Czuł tedy potrzebę przypomnieć słuchaczom o tym, że dobrze dzieje się tym rodzinom, które trzymają się z pokolenia w pokolenie razem i gdzie młodzi pozwalają starszym rządzić i władać, póki im starczy sił, potem zaś szanują ich i otaczają opieką aż do śmierci.

Zaczął właśnie objaśniać owe wielkie obietnice nagród, jakich Bóg udzieli tym, którzy czczą ojca i matkę swoją, gdy nagle wstał z ławki Jan ze Skrołyki i powiedział:

— Pod drzwiami stoi ktoś i nie śmie wejść do środka!

— Börje! — powiedział proboszcz. — Siedzicie najbliżej drzwi, wyrzycie też!

Börje wstał, otworzył drzwi i wyjrzał za próg.

— Nie ma nikogo! — powiedział. — Janowi się przesłyszało.

Nauka potoczyła się dalej. Proboszcz objaśniał wiernym, że przykazanie to nie ma cech rozkazu, ale jest raczej rodzajem dobrej rady, której powolny być winien ten, kto pragnie, by mu się powodziło w życiu. Proboszcz przyznał, że jest jeszcze młodym człowiekiem, ale zarazem oświadczył, że z doświadczenia zna dużo przykładów na to, iż ten kto nie słucha swych rodziców i pogardza nimi, kładzie kamień węgielny pod gmach niepowodzeń, zawodów i nieszczęść własnych.

Proboszcz mówił, a Jan obracał raz po raz ku drzwiom głowę. Potem dał znak Katarzynie, siedzącej w ostatnim rzędzie krzesel i mającej lepszy dostęp do drzwi, by wyjrzała. Posiedziała jeszcze chwilę, ale rozważywszy, że Janowi nie trzeba się w tym czasie sprzeciwiać, wstała na koniec. Nie ujrzawszy znowu nikogo, potrząsnęła ku mężowi przecząco głową i wróciła na miejsce.

Proboszcz nie zwracał uwagi na krętaninę Katarzyny, ale ku wielkiej radości tych, którzy mieli być pytani, pełną parą wjechał w poruszony temat i zapomniawszy o właściwym katechizowaniu, rozwijał przed słuchaczami piękne myśli, nasuwające mu się ciągle.

— Pomyślcie tylko — mówił — czyż nie podnosi ducha widok domostwa, gdzie wszystko, co może stworzyć praca młodych, oddane zostaje dla użytku rodziców i ich wygody. Oni to, gdyśmy byli mali i nie mogli dać sobie rady, z wysiłkiem nieraz wielkim hodowali nas, zapominając o sobie. Jakże słuszne jest, by wówczas, kiedy gospodarstwo obejmie młoda pa-

ra, rodzice ci, starzy zawsze prawie, czuli się u dzieci swych jak w niebie...

W chwili gdy proboszcz wypowiadał te słowa, rozległ się w przeciwległym kącie izby cichy płacz. Lars Gunnarson, siedzący przez cały czas z pochyloną nabożnie głową, wstał szybko, przeszedł pokój stąpając na palcach, by nie przeszkadzać proboszczowi, otoczył swą teściową ramieniem i przyprowadził ją do stołu, przy którym siedział kaznodzieja.

Tu musiała zająć miejsce Larsa, a on stanął za nią i spoglądał z góry. Dał znak swej żonie, a ona wstała i stanęła obok. Wyglądało to bardzo pięknie i wszyscy zrozumieli, co chciał przez to wyrazić; chciał zaznaczyć, że właśnie u niego jest tak, jak wedle słów proboszcza wszędzie dźiać się powinno.

Proboszcz spoglądał radośnie uśmiechnięty na starą matkę i młodą parę, jedno mu tylko psuło wrażenie, a mianowicie, że stara Erykova płakała i to coraz bardziej, coraz rozpacz-

niej⁶⁴. Zaprawdę, takiego rozrzewnienia nie wywołały słowa jego u żadnego z parafian.

Uczył małą pauzę, a potem ciągnął dalej:
— Niewielka sztuka przestrzegać czwartego przykazania jak długo jesteśmy mali i potrzebujemy opieki rodziców, potem natomiast wymaga to pewnego wysiłku i przewyciężenia. Gdy dorośniemy, gdy dojdziemy do pełni wieku, wyda nam się zaraz, że jesteśmy tak samo jak rodzice mądrzy...

Proboszcz urwał, przeszkodził Jan, który dopchawszy się z trudem sam do drzwi, otworzył je i wyszedł.

Musiał mieć więcej od innych szczęścia, gdyż wszyscy usłyszeli, że pozdrawia kogoś i rozmawia z nim.

Oczy wszystkich zwróciły się na drzwi, pod którymi ktoś stał od tak dawna, nie śmiejąc wejść do środka. Słyszano w całej izbie, jak Jan prosił owego kogoś, by wszedł i widzieli szeroko otwarte drzwi, ale ów nieznajomy wzbraniał się widocznie. W końcu przyciągnął Jan drzwi

⁶⁴*rozpacznie* — dziś: *rozpaczliwie*. [przypis edytorski]

do siebie i wrócił sam. Nie skierował się jednak ku swemu miejscu, ale przeciskał się wprost ku stołowi, przy którym siedział proboszcz.

— No i cóż, Janie — spytał proboszcz trochę zniecierpliwiony — któż to nam dziś ciągle przeszkadza w katechizacji?

— Pod drzwiami stał stary gospodarz z Falli, Eryk! — oświadczył Jan, nie okazując wcale, że dziwią go lub przestraszają własne słowa. — Nie chciał wejść do środka, kazał mi tylko powiedzieć Larsowi Gunnarsonowi, by się miał na baczności w pierwszą niedzielę po świętym Janie.

W pierwszej chwili nie dorozumieli się⁶⁵ wszyscy, co znaczyć mają te słowa.

Siedzący w tyle nie dosłyszeli dobrze, co Jan mówił, gdy jednak proboszcz rzucił się wstecz, pojęli, że to coś strasznego być musi. Zerwali się z miejsc, zaczęli się cisnąć, rozpytując na prawo i lewo siedzących bliżej, od kogo, na miły Bóg, Jan otrzymał to zlecenie.

⁶⁵*dorozumieć się czego* — dziś: zrozumieć co. [przypis edytorski]

— Janie! — zawołał groźnie proboszcz — czy wiesz, co mówisz?

— Naturalnie, że wiem! — potwierdził Jan i skinął głową dla potwierdzenia swych słów. — Słyszałem od dawna, że jest pod progiem. Wyszedłem i poprosiłem do środka, ale nie chciał, dał mi tylko zlecenie do zięcia. Potem poszedł sobie gdzieś. „Powiedz mu — dodał jeszcze — że nie mam doń urazy za to, iż mnie zostawił tyle czasu w śniegu zranionego i nie pośpieszył z pomocą, choć mógł. Ja się nie mszczę, ale czwarte przykazanie boskie! Pozdrów go i powiedz, by złożył wyznanie i wzbudził w sobie żal, to będzie dlań najlepsze. Ma jeszcze czas do pierwszej niedzieli po świętym Janie”.

Jan mówił zupełnie rozsądnie i wywiązywał się z dziwnego zlecenia w sposób tak wiarogodny, że zarówno proboszcz, jak i wszyscy zebrani przez kilkanaście sekund trwali w przeświadczeniu głębokim, iż rzeczywiście Eryk z Falli stał pod drzwiami domu i rozmawiał ze swym dawnym wyrobnikiem. Toteż oczy wszystkich

zwróciły się na Larsa Gunnarsona, by zobaczyć, jakie to na nim wywiera wrażenie.

Lars jednak roześmiał się i rzekł:

— Uważałem Jana dotąd za rozsądnego, inaczej bowiem nie brałbym go na katechizację. Ksiądz proboszcz raczy łaskawie przebaczyć, że mu przeszkodził. Widocznie szaleństwo wystąpiło znowu.

Proboszcz przesunął dłonią po czole, odechnął z ulgą i powiedział:

— Tak... tak... to prawda!

Omiał że nie uwierzył w rzecz nadnaturalną, szło tu jednak tylko o wizję chorego umysłowo i to odkrycie uspokoiło go bardzo.

— Trzeba księdzu proboszczowi wiedzieć jeszcze — dodał Lars — że Jan nie czuje dla mnie wielkiej sympatii. Zdradza się z tym teraz, kiedy go opuścił rozum. Przyznaję się zresztą do tego, iż z mojej to winy córka jego musiała porzucić dom, by zarobić pieniądze. Tego właśnie Jan przebaczyć mi nie może.

Proboszcza zdziwił ten ton gorączkowy i to publiczne, niespodziane wyznanie. Głębokie, błę-

kitne oczy jego wpatrzyły się w twarz Larsa, a on nie mógł wytrzymać tego spojrzenia i odwrócił głowę. Uczuł w tej chwili, że jest to niewłaściwe, przeto zebrawszy wszystkie siły, znowu zwrócił oczy na proboszcza, ale nie mogąc w żaden sposób patrzeć nań, zaklął głośno i ponownie głowę odwrócił.

— Larsie Gunnarsonie, co to ma znaczyć?
— zawołał proboszcz. — Co się z wami dzieje?
Lars opamiętał się.

— Nie mogę się pozbyć tego wariata! — powiedział z gniewem, udając, że niby to klął pod adresem Jana. — Stoję tu przed księdzem proboszczem i wszystkimi sąsiadami niby pod pręgierzem dlatego tylko, że się staremu szaleńcowi spodobało nazwać mnie mordercą przez zemstę. Powiedziałem już. Żywi do mnie nienawiść z powodu córki. Nie mogłem przecież wiedzieć, że wpadnie w nieszczęście z tego powodu, iż się upominałem o należytość⁶⁶! Czy nie ma tu kogo, kto by się zajął Janem, my zaś mogli wrócić do przerwanej nauki?

⁶⁶należytość — dziś: należność. [przypis edytorski]

Proboszcz przesunął ponownie dłoń po czo-
le. Słowa Larsa dotykały go boleśnie, ale nie
mógł mu uczynić formalnego zarzutu, gdyż nie
wiedział niczego na pewno. Obejrzał się za starą
Erykową, ale wymknęła się z izby. Potem ob-
jął spojrzeniem zebranych. Oni wiedzieli nie-
wątpliwie, czy Lars jest zbrodniarzem, czy nie,
każdy z nich wiedział, gdy jednak spojrzenie
księdza zaczęło padać na parafian, zamykała się
pod tym dotknięciem jedna twarz po drugiej,
przygasła, okrywała się drętwią⁶⁷ obojętności,
a oczy spoglądały tępo. Bali się.

Tymczasem zbliżyła się Katarzyna i ujęła
Jana pod ramię. Wyszli niezatrzymani przez pro-
boszcza, który nie chciał dzisiaj rozmawiać z cho-
rym.

— Na dzisiaj będzie chyba dość! — powie-
dział proboszcz. — Zakończmy tedy modlitwą.

Odmówił krótką modlitwę, odśpiewano hymn
i wszyscy się rozeszli.

Proboszcz był ostatnim.

⁶⁷*drętvia* — dziś: odrętwiałość. [przypis edytorski]

Lars, wiedząc go do bramy, sam skierował rozmowę na to, co dopiero zaszło.

— Słyszał ksiądz proboszcz, że mam się wystrzegać pierwszej niedzieli po świętym Janie? To jest dowód, że Jan mści się za córkę. Właśnie roku zeszłego w pierwszą niedzielę po świętym Janie udałem się do niego w sprawie zapłaty za grunt!

Proboszcza wszystkie te wyjaśnienia wprawiły w coraz to większy niepokój. Szybkim ruchem położył dłoń na ramieniu Larsa Gunnarsona i próbował spojrzeć mu w oczy.

— Larsie Gunnarsonie! — powiedział serdecznie, ciepło. — Nie jestem sędzią. Jeśli macie coś na swym sumieniu, możecie przyjść do mnie. Zapamiętajcie to dobrze! Będę czekał codziennie... Larsie Gunnarsonie, baczcież, by nie było za późno!

STARY TROLL

Druga już nastąpiła zima od kiedy dziewczyna ze Skrołyki puściła się w świat szeroki, a z końcem

stycznia przyszyły takie mrozy, że niech ręka boska! Mróz ścisnął siarczysty. Askadalarnczycy musieli wznosić wokół ścian domów swoich wysokie śnieżne wały, by jako tako ogrzać izby, zaś krowy po stajniach otulano na noc słomą, by nie zamarzły do rana na śmierć.

Okropne były mroziska. Zamarzał chleb, zamarzał ser, a masło dawno przemieniło się w kloc lodowy. Nawet ogień utracił, zda się, moc swoją czasu tej klęski i nie grzał jak dawniejszym czasem. Choć się roznieciło ogromne płomienisko na kominie, to w izbach nie było cieplej, a gorąco nie przedostało się poza okap kuchni, nie chciało się dalej posunąć i basta.

Pewnego najmroźniejszego dnia nie poszedł Jan ze Skrołyki do roboty, ale został w domu i pomagał Katarzynie w podsycaniu ognia. Ani on, ani Katarzyna nie mieli śmiałości wychylić się za próg, ale im dłużej siedzieli w izbie, tym im zimniej było. Około piątej po południu zaczęło się zmierzchać i Katarzyna powiedziała, że najlepiej by było położyć się do łóżka. Nie ma sensu siedzieć dłużej koło ognia i marznąć.

Szyby pokryte były grubą warstwą złodowaciego śniegu w przeróżne desenie, ale w jednym rogu, tuż przy ramie znalazło się małe, przezroczyste miejsce i Jan co chwila wyglądał na świat przez ten otwór.

— Połóż się, Katarzyno! — radził żonie, spozierając ciekawie. — Ja muszę jeszcze troszkę posiedzieć!

— Tego jeszcze brakowało! Cóż to za koncept? Ciekawam bardzo, co masz tak pilnego do roboty? — odburknęła. — Możesz śmiało kłaść się spać!

Nie odpowiedział wprost, rzekł tylko:

— Dziwna rzecz, że nie widziałem dotąd przechodzącego drogą Agrypy Prästberga.

— Acha! Na niego tedy czekasz? — powiedziała — Nie był dla ciebie tak życzliwy, byś z jego powodu wyczekiwał i marzył!

Jan podniósł rozkazującym gestem ramię. To jedno pozostało mu jeszcze z czasów cesarskich, ruch ten zachował, zda się, na pamiątkę. Nie czekał odwiedzin Agrypy Prästberga, ale wiedział, że był on zaproszony na wieczerzę

do pewnego rybaka z Askadalarny, dziwiło go przeto, że jeszcze nie udał się tam.

— Pewnie miał tyle rozumu, by zostać w domu przy piecu! — zawyrokowała.

Ciemność rosła, a wraz z nią potęgował się mróz. Trzeszczały belki w ścianach i powale, jakby zamróz pukał, chcąc wejść do środka. Krzaki i drzewa stały się nieforemnymi bryłami, przyodziawszy grube futra ze śniegu i lodu i wydawało się, że dobyły wszystką, jaką jeno miały odzież celem ochrony przed zimnem.

Po chwili ponowiła Katarzyna wezwanie położenia się spać.

— Jest wprawdzie dopiero pół do szóstej — powiedziała — ale postawię wody na ogień i zgotuję wieczerzę. Potem rób, co chcesz, kładź się, albo czekaj na Prästberga, nie moja w tym głowa!

Przez cały czas Jan nie odstępował od okna.

— Niepodobieństwo, by już przeszedł — powiedział — musiałbym go chyba zobaczyć!

— Czyż zależy ci na tym, czy taki włóczęga przeszedł, czy nie? — burknęła ostro; zniecier-

pliwiło ją bowiem ciągle gadanie o tym drabie Prästbergu.

Jan westchnął ciężko. Katarzyna, mówiąc tak, miała więcej słuszności, niż sama sobie sprawę zdawała. Janowi nie zależało wcale na tym, czy Agrypa przeszedł już, czy nie. Mówiąc, że nań czeka, chciał jeno zyskać pozór, by stać przy oknie i wyglądać na świat.

Od onego dnia, kiedy Lars z Falli odjął mu wszystką potęgę i cesarski majestat, nie było żadnej wieści od wielkiej cesarzowej, od dziewczyny ze Skrołyki, nie było wcale znaku ni poselstwa do niego. Wiedział, że wszystko, co zaszło, stało się z jej woli lub za jej zgodą i poznał, że musiał coś uczynić, co ją zraziło czy pogniewało. Łamał sobie głowę, co by to być mogło, ale nie mógł zmiarkować. Rozmyślał ciągle nad tym jednym przez długie wieczory zimowe, ciemne poranki, młóćąc w stodole zboże lub wożąc na małym dniu drzewo z lasu na folwark.

Nie mógł uwierzyć, by mogła się czuć obrażoną za jego zachowanie się w sprawach zwią-

zanych z cesarstwem. Przez całe trzy miesiące wszystko szło wyśmienicie. Była to pora szczęścia, o jakim nigdy marzyć nawet nie mógł. Przeżył po prostu cuda nie zdarzające się w życiu biednego wyrobnika. Klara Gulla nic chyba mieć przeciw temu nie mogła!

Musiał tedy uczynić coś czy powiedzieć, z czego nie była zadowolona i dlatego spadła nań kara.

Skądże jednak wzięła się u niej owa srogość i czemu mu nie przebaczyła do tej pory? Pragnął tego jeno, by mu objawiła, czym ją mógł rozgniewać. Uczyniłby, co chce, byle nastąpiła zgoda, poddałby się wszystkiemu bez skargi. Sama się przecież przekonała, że gdy otrzymał znak, że tak chce, natychmiast wdział roboczą odzież i jął się ciężkiej, codziennej pracy.

Nie chciał ani z Katarzyną, ani ze starym sieciarzem mówić o tym, co go nurtuje. Czekał pokornie i cierpliwie wyraźnego znaku Klary Gulli. Czuł też czasem, że znak ów zbliża się,

że jest tuż, tuż, że mógł go sięgnąć ręką, że się oń⁶⁸ ociera.

To uczucie ogarnęło go znowu wraz z nastaniem mrozów, a dziś, gdy zamknięty siedział w izbie, wzmogło się aż do zupełnej pewności, iż wieści od Klary Gulli idą. Onych to właśnie wieści, onego to znaku wypatrywał przez mały przejrzysty otwór w zamarzonej szybie swej nędznej chałupy, czując, że jeśli nie nadejdą rychło, niepodobieństwem mu będzie żyć dalej i znosić udręki codzienne.

Pociemniało już tak, że ledwo mógł dojrzeć furtkę w płocie, toteż stracił nadzieję, by dziś coś się zdarzyć mogło. Kiedy Katarzyna po raz trzeci wezwała do łóżka, nie wzbraniał się już. Katarzyna zastawiła na stole kaszę, zjedli ją i zanim zegar wskazał kwadrans na siódmą⁶⁹, oboje udali się na spoczynek.

Zasnęli niezwłocznie, ale sen trwał niedługo. Zaledwo stary zegar wybił pół do siódmej, Jan zerwał się i wyskoczył z łóżka. Przyłożył

⁶⁸oń — skrót od: o niego. [przypis edytorski]

⁶⁹kwadrans na siódmą — piętnaście minut po szóstej. [przypis edytorski]

prędko drzewa na węgle niewygasłe jeszcze, potem zaś ubrał się co tchu.

Starał się zachowywać jak mógł najciszej, mimo to jednak zbudził Katarzynę. Usiadła w łóżku i spytała, czy już świta.

Jan uspokoił ją, że jeszcze noc, prosił by spała dalej i powiedział potem, że wstał, gdyż zjawiała mu się we śnie Klara Gulla i kazała iść do lasu.

Katarzyna zaczęła wzdychać boleśnie. Ach, znowu wróciło szaleństwo Jana! Spodziewała się tego zresztą z dnia na dzień, gdyż był przygnębiony i miejsca sobie nie mógł znaleźć.

Nie czyniła tedy wysiłków, by mu wyper-swadować tę przechadzkę, ale wstała i ubrała się także.

— Poczekajmy trochę! — powiedziała, widząc, że stoi pod drzwiami gotów do drogi. — Kiedy już musisz iść nocą do lasu, to pójdziemy oboje.

Spodziewała się odmowy i niechęci, ale Jan zgodził się od razu i czekał u drzwi, aż była go-

towa. Śpieszno mu było niewątpliwie, ale zachowywał się rozsądniej i spokojniej niż przez cały dzień.

Noc nie nadawała się zgoła do przechadzki. Gdy jeno wyszli, uderzyli twarzami w twarde, kolący mur zamrozu najeżony potłuczonym jakby szkłem. Ciął ich nożami i zdawało się, że chce wyrwać nos. Bolały ich strasznie końce palców i mieli wrażenie, że popękają lada chwila, a potem że ktoś poobcinał je siekierą, albowiem czucie stracili zupełnie.

Jan nie pozwolił sobie na jeden jęk skargi, a Katarzyna milczała także. Szli śmiało wprost przed siebie, kierując się w tę samą stronę, którą przed laty dążyli rankiem w Boże Narodzenie z Klarą Gullą, tak małą jeszcze, że trzeba ją było nieść na rękach.

Niebo było bez chmur na zachodzie, połyskiwał wąski sierp księżyca, mogli przeto widzieć dobrze przed sobą. Mimo to jednak trudno im było trzymać się drogi, gdyż śnieg zasy-

pał wszystko i wyrównał naokół. Raz po razu⁷⁰ mijali twardy grunt i zapadali głęboko.

Udało im się wreszcie dotrzeć do wielkiego bloku skalnego, który swego czasu olbrzym cisnął w kościół swartsjoeński.

Jan minął go już, ale Katarzyna idąca za nim wydała nagle okrzyk przerażenia:

— Janie! Janie! Czyż nie widzisz, że tu ktoś siedzi?

Nie wrzasnęła tak przeraźliwie jak teraz od onego dnia, kiedy to Lars Gunnarson chciał im zabrać dom.

Obrócił się, zbliżył do niej i niewiele brakło, by oboje nie uciekli co tchu. Było się czego przerazić. Pod skałą, oparty plecami o głaz siedział stary, pokryty zupełnie zlodowaciałym szronem straszliwy troll z najeżoną brodą i ogromnym jak trąba nosem.

Trwał w zupełnym bezruchu i nie ulegało wątpliwości, że zamarzył na śmierć na mrozie, zanim zdążył skryć się w swej szatańskiej jaskini podziemnej.

⁷⁰raz po razu — dziś: raz po razie. [przypis edytorski]

— Nie mogę wyjść z podziwu, że widzę na własne oczy trolla — powiedziała Katarzyna. — Słyszałam o nich tyle, ale nie mogłam nigdy uwierzyć, że chodzą po świecie!

Jan pierwszy opanował się i poznał, kogo ma przed sobą, nie zaś Katarzyna.

— To nie troll! — zawołał — to Agrypa Prästberg.

— Co mówisz? Na miłość boską, prawda! To Agrypa! Ale zupełnie podobny do trolla!

— Usiadł tu i zasnął! — powiedział Jan. — Kto wie, czy jeszcze żyje?

Wołali nań po imieniu, potrząsali nim, ale milczał i siedział dalej bez ruchu.

— Leć do domu i bierz sanki! — rozkazał Jan. — Inaczej go nie doniesiemy do domu! Ja zostanę i będę go nacierał śniegiem, aż się zbudzi.

— Żebyś tylko sam nie zamarznął, zanim wrócę! — powiedziała serdecznie.

Ale Jan odparł:

— Droga Katarzyno, od lat całych nie było mi tak ciepło jak dzisiaj. Jestem uszczęśliwio-

ny znakiem od Klary Gulli. Czyż to nie pięknie z jej strony, że wysłała nas po nocy aż tutaj, byśmy ratowali tego właśnie, który tyle kłamliwych o niej szerzył wieści?

W kilka tygodni potem, wracając z roboty do domu, spotkał Jan Agrypę.

— Już przyszedłem całkiem do siebie! — powiedział wesoło Agrypa. — To jednak nie ulega wątpliwości, że niewiele by zostało do dziś z Jana Uttera Agrypy Prästberga, gdyby nie ty, Janie i Katarzyna! Dlatego to długo sobie łamałem głowę nad tym, jak by się wam odwdzięczyć.

Jan podniósł ramię i uczynił gest lekceważenia.

— Kochany Agrypo, nie łam sobie daremnie głowy! To był zwyczajny ludzki obowiązek sumienia!

— Cicho bądź i słuchaj! — krzyknął Agrypa porywczo. — Mówię, że łamałem sobie głowę i basta, a jeśli tak mówi Agrypa, to nie jest gadanie na wiatr... rozumiesz? Otóż com zamierzył, to wykonałem. Przed kilku dniami

zdybałem tu niedaleko owego przekupnia, który swego czasu podarował twej córce czerwoną sukienkę.

— Kogo? — spytał Jan, chwytając z trudem powietrze i drżąc z podniecenia.

— Powiadam, tego przekupnia, który dał Klarze Gulli czerwoną sukienkę, a potem spotkał ją w Sztokholmie i wprowadził na drogę nieszczęścia. Ten drab był winien wszystkiemu. W twoim tedy imieniu sprąłem go na kwaśne jabłko i zapowiedziałem, że mu kości połamię, jeśli się poważy pokazać jeszcze raz w naszej okolicy!

Jan nie wierzył własnym uszom.

— Jak to? — zawołał. — Nie spytałeś go nawet, co się dzieje z Klarą Gullą? Może mu dała jakieś wieści o sobie dla mnie?

— Nie pytałem! Jakże pytać, kiedy się kogoś bije? On też nie rzekł nic, schował do kieszeni, co dostał i uciekł co tchu. Tak... oddałem wam obojgu przysługę i skwitowaliśmy się! Cieszy mnie to, bo Jan Utter Agrypa Prästberg nie lubi być czyimś dłużnikiem.

Agrypa ruszył za swymi sprawami, a Jan stał długo na drodze i lamentował.

— Moja dziewczyna! Moja droga dziewczyna! Przysłała mi wieści przez przekupnia, przysłała pewnie wieści ważne. Ale teraz nie dowiem się o niczym, bo posłaniec uciekł i nie wróci.

Łamał ręce. Nie płakał, ale bolały go wszystkie członki, całe ciało czuło sroższe katusze, niż gdyby był śmiertelnie chory.

Zrozumiał teraz zamiar Klary Gulli. Prästberg chodził po całej okolicy, miał tedy dowiedzieć się od przekupnia o zleceniu i podać je Janowi. Ale Prästberg był niemal trollem i stało się jak zawsze z trollami, czy chcą pomóc, czy zaszkodzić, zawsze sprawa z nimi kończy się nieszczęściem.

PIERWSZA NIEDZIELA PO ŚW. JANIE

W pierwszą niedzielę po świętym Janie zostali wszyscy Askadalarnczycy zaproszeni na wielką

fetę do starego sieciarza i jego synowej, jak się to działo zresztą co roku, w tym właśnie czasie.

Można się było dziwować, że dwoje takich nędzarzy wydawało każdego roku ucztę, ale ci, którzy wtajemniczeni byli w stosunki miejscowe, nie widzieli w tym nic niezwykłego.

Sprawa miała się tak. Wówczas kiedy dzisiejszy sieciarz był jeszcze człowiekiem bogatym, dał on każdemu ze swych synów po jednym folwarku. Najstarszy postąpił ze swym mieniem w sposób podobny jak sam Ola Bengsta i zmarł w nędzy.

Drugi syn był jednak rozważniejszy i pracowitszy. Utrzymywał gospodarstwo w porządku, nie tracił mienia, ale przeciwnie powiększył je jeszcze i był teraz zamożnym kmieciem.

To wszystko, co dziś posiadał, było jednak niczym w porównaniu z tym do czego by mógł być doprowadzić, gdyby ojciec nie zmarnotrawił mienia, nie roztrwonił pieniędzy i pola w sposób zgoła bezmyślny. Syn, dostawszy w młodym wieku takie środki, niezawodnie stałby się magnatem, zakupiłby lasy lörsjoeńskiego

obwodu, miałby w Broby wielki dom handlowy i statki na Lövenie. Zostałby może nawet właścicielem hut w Ekeby.

Syn nie mógł oczywiście przebaczyć ojcu marnotrawstwa, mimo to jednak panował nad sobą i strzegł pilnie, by nie doszło do zerwania stosunków. Kiedy Ola Bengsta zbankrutował, wszyscy pewni byli, a i on sam także, że teraz syn pośpieszy z pomocą ojcu. Ale na cóż by się to zdało? Wszystko dostałoby się jedno w szpony wierzycieli. Syn przeto zatrzymał w swych rękach to, co dostał, chcąc, by ojciec miał u niego przytułek, gdy wszystko straci.

Nie był on zgoła winien temu, że ojciec sprowadzał się do wdowy po starszym synu i utrzymywał się wraz z nią z wiązania sieci.

Nie jeden, ale setki razy prosił ojca, by u niego zamieszkał, a stary uczynił mu ponowną krzywdę, odmawiając, albowiem wszyscy znający nędzę Oli Bengsty za złe mieli synowi, że do tego dopuszcza.

Stosunki zostały mimo wszystko utrzymane, nie przyszło do zerwania, syn udawał się raz

do roku wraz z żoną i dziećmi w trudną, przykrą drogę do Askadalarny i spędzał tam cały dzień w celu okazania ojcu swego przywiązania.

Ludzie nie wiedzieli wcale, jak przygnębiony był sam i żona jego, ile razy znalazł się w małej chałupinie z walącą się szopą obok i musiał patrzeć na zgraję okrytych łachmanami dzieci swej bratowej. Gdyby to czuli, oceniliby miłość jego dla ojca skłaniającą go do takiego poświęcenia.

Najokropniejszą rzeczą było, zarówno dla syna, jak i żony jego, że zawsze na ich cześć odbywała się wielka uczta. Za każdą bytnością prosili ojca gorąco, by zaniechał tego spraszanania sąsiadów, gdy zjawią się w roku następnym, ale stary był nieprzejednany. Nie chciał się wyrzec przyjęcia chociaż nie stać go na to było. Patrząc na otępiałego, starego Olę, nikt by nie przypuścił, że żywie⁷¹ w nim jeszcze tak rogata dusza, tkwiła w nim dawna żyłka do rozrzutno-

⁷¹żywie (daw.) — dziś: żyje. [przypis edytorski]

ści i nałogu tego nie pozbył się dotąd, mimo że wtrącił go w nieszczęście.

Syn dowiedział się pośrednio, sam także widział bez pośrednictwa innych, że ojciec i bratowa przez cały rok odejmowali sobie od ust i gromadzili pieniądze, w tym jeno celu, by wydać prawdziwą ucztę na cześć krewnych. W takich razach traktament⁷² nie miał granic. Na przybywających czekał obficie zastawiony stół. Wypić musieli kawę wysiadłszy z wózka. Potem był obiad, w którym brali udział wszyscy sąsiedzi. Podawano ryby, pieczeń i pudding z ryżu z sokiem, a wszystko gęsto zapijano. Uczta owa była tak smutna, że obojgu synostwu⁷³ zbierało się na płacz.

Wystrzegali się uczynić coś, co by tę manię ojca podniecić jeszcze mogło i przywozili podarki praktyczne, zastosowane do życia codziennego. Uczta odbywała się jednak za każdym razem.

⁷²*traktament* — poczęstunek. [przypis edytorski]

⁷³*synostwo* — tu: syn z żoną. [przypis edytorski]

Zastanawiali się oboje, czy nie lepiej by było przestać bywać i w ten sposób odwieść ojca od rujnowania się dla nich. Atoli obawiali się, że jeśli przerwą swe wizyty, dobry zamiar ten nie zostanie zrozumiany i oceniony, jak należy.

Z jakimiz to ludźmi po społu siedzieć musieli na takiej uczcie? Byli tam tylko starzy kowale, rybacy, chałupnicy i wyrobnicy dzienni, toteż gdyby nie to, że spotykali też właściciele Falli, ludzi zamożnych i szanownych, nie byłoby z kim zamienić rozsądnego słowa.

Syn Oli Bengsty miał w pierwszej linii wielki szacunek dla Eryka, ale wysoko też cenił jego następcę i dziedzica Larsa Gunnarsona. Lars nie wywodził się ze starego rodu, umiał jednak tak pokierować sprawą, że zawarł bardzo korzystny związek małżeński i nie poprzestając na tym, co ma, powiększał swe mienie szczęśliwymi operacjami handlowo-gospodarczymi.

Zmartwił się tedy niemało, gdy go zaraz po przybyciu do Askadalarny w trzecim roku po

śmierci Eryka doszły słuchy, że Lars Gunnarson tym razem pewnie na ucztę nie przybędzie.

— Nie moja w tym wina! — powiedział Ola. — Lars nie zalicza się do ludzi, z którymi się bratam, ale przez wzgląd na ciebie byłem we Falli i zaprosiłem go.

— Może nie lubi przyjęć tego rodzaju? — spytał syn.

— Owszem, lubi bardzo — odrzekł ojciec — i bardzo chętnie wziąłby udział. Przeszkodziła mu całkiem inna sprawa.

Nie dał bliższego objaśnienia, co ma na myśli, ale wrócił do tego, kiedy goście siedzieli przy pierwszej filiżance kawy.

— Nie żałuj, że Lars nie przybył! — powiedział. — Nie wiem, czy czułbyś się teraz dobrze w jego towarzystwie. W ostatnich czasach wiedzie życie dosyć nieporządne.

— Nie znaczy to chyba, by zaczął pić? — wtrącił syn.

— Trafiłeś w sedno! — potwierdził Ola. — Przyszło to na niego z początkiem wiosny,

a od świętego Jana ani przez godzinę nie był trzeźwy.

Zwykle po kawie brali ojciec i syn wędkę i szli nad jezioro łowić ryby. Ola zachowywał się cichuteńko, by nie straszyć ryb, tego jednak roku postąpił inaczej.

Raz po raz⁷⁴ zagadywał syna. Oczywiście, jak zawsze myśl swą klarował powoli, w urywanych zdaniach, był atoli bardziej niż w inne lata ożywiony i zwawszy jakiś. To nie ulegało żadnej wątpliwości.

Zdawać by się mogło, że leży mu coś ważnego na sercu, czyli jaśniej mówiąc, że chciałby otrzymać od syna odpowiedź w jakiejś sprawie. Był niby ktoś, co stoi przed pustym domem i ciągle woła w nadziei, że mu otworzą, a wiary owej pozbyć się nie może.

Wracał kilka razy do Larsa Gunnarsona. Opowiedział, co się stało podczas katechizacji i powtórzył wszystkie plotki o przyczynie śmierci Eryka z Falli, dotyczące Larsa Gunnarsona.

⁷⁴raz po raz — dziś: raz po razie a. raz po raz. [przypis edytorski]

Syn przyznał ojcu słuszną w tym, że Lars nie jest zupełnie wolny od wszelkiej winy, a to, że zaczął pić ze zmartwienia, to zły znak.

— Ciekawym, jak się dlań skończy dzisiejszy dzień? — powiedział Ola.

W tej chwili zatrzepotała się u wędki syna ryba i nie potrzebował dawać odpowiedzi. W całej tej historii nie było nic, co by dotyczyło ich wzajemnego stosunku, ale syn czuł, że ojciec w całym tym opowiadaniu ma jakiś określony zamiar. Był tego nawet całkiem pewny.

— Myślę, że pójdzie dziś wieczór do proboszcza... — zaczął stary na nowo — bo przebaczenie otrzymać można, byle jeno chcieć...

Po tych słowach zapadło długie milczenie, ni syn, ni ojciec nie rzekli słowa. Syn z wielką gorliwością zasadzał świeżą glistę na haczyk i nie myślał o odpowiadaniu. Nie było zresztą na co odpowiadać. Ale stary westchnął naraz tak ciężko, że syn spojrział nań mimowolnie.

— Ojcie! — powiedział. — Złapał się tęgi okoń! Pilnujcież, bo ucieknie razem z haczykiem.

Stary drgnął. Zaczął zdejmować rybę z haczyka, ale tak niezręcznie to czynił, że spadła z powrotem w wodę.

— Nie mam dziś szczęścia widać do ryb — rzekł — mimo że chciałbym coś ułowić!

Nie było wątpliwości, starego gryzło coś, co chciał synowi wyznać. Trudno mu było jednak stawiać się w jednym rzędzie z kimś, na którym ciążyło podejrzenie, że przyprawił o śmierć swego teścia.

Załoczył świeżą przynętę. Stał z założonymi rękami na płaskim głazie i wpatrywał się przyciasnymi oczyma w wodę.

— Tak., tak... — powiedział uroczyście. — Jest przebaczenie dla tych, którzy zaniebują swych rodziców i z lodowatym sercem w piersi każą im wyglądać daremnie pomocy. Jest przebaczenie do końca dnia dzisiejszego... Potem będzie już... za późno!

Nie mogło się to chyba odnosić do syna. Stary myślał jeno głośno, jak to jest zwyczajem starców.

Przyszło mu na myśl, że trzeba by odwrócić myśli ojca na co innego i zaczął:

— Cóż słyhać z owym biedakiem z Askaldarny, co to oszalał zeszłej jesieni?

— Aaa... — odparł ojciec — masz na myśli Jana ze Skrołyki? A no, przez całą zimę był zdrów. I jego dziś nie będzie u mnie, ale pewnie ci nie żal. Jest to jeno biedny wyrobnik jak ja.

Była to rzetelna prawda, ale syn uradował się, że może rozmawiać o kim innym, nie o Larisie Gunnarsonie, toteż zapytał z wielkim współczuciem, jak się przedstawia choroba Jana ze Skrołyki.

— Rozchorował się po prostu z tęsknoty za córką, która wyruszyła przed dwoma laty w świat i dotąd nie ozwała się ni jednym słowem!

— Czy to ta dziewczyna, która zeszła na złą drogę? — spytał.

— Wiesz i o tym? — rzekł stary. — Jana nie to gryzie właściwie, gdyż nie wierzy; roz-

chorował się, nie mogąc znieść jej obojętności i braku serca dla siebie.

Gadatliwość ojca była stanowczo za wielka. Mówił więcej, niż należało.

— Stanę na tym ostatnim kamieniu! — powiedział syn. — Widzę tam dużo ryb w pobliżu.

Zmieniając miejsce, oddalił się tak, że rozmowa była niemożliwą, a przez całe poobiedzie nie było już sposobności, by ją nawiązać z powrotem. Syn czuł jednak skierowane na siebie ciągle spojrzenie przygasłych oczu ojca.

Był tym razem bardzo zadowolony z przybycia gości. Stół zastawiono pod gołym niebem, przed domem, a ojciec, zasiadając do jedzenia, odrzucił wszelkie troski i smutki. Odżył stary Ola, siedząc w roli pana domu pośród gości swych i można było sobie wyobrazić, jakim był niegdyś, w młodszych, szczęśliwszych latach.

Z Falli nie przybył nikt, ale Lars Gunnarson był w myśli wszystkim i nie można się było temu dziwić, albowiem nadszedł dzień, przed

którym został w tak tajemniczy sposób ostrzeżony. Syn Oli Bengsta musiał jeszcze wysłuchać kilka razy szczegółowych sprawozdań o przebiegu katechizacji we Falli i dziwnym zbiegu, że proboszcz właśnie tego dnia nauczał o obowiązkach dzieci względem rodziców. Słuchał, lecz nie sprawiało mu to przyjemności żadnej. Nie rzekł ni słowa, ale ojciec musiał spostrzec po jego oczach, że miał tego dość, gdyż zwrócił się doń i spytał:

— Cóż sądzisz, Nilsie, o tym wszystkim? Dziwisz się pewnie, że Pan Jezus nie ustanowił również przykazania dla rodziców, jak mają postępować z dziećmi swymi?

Zaskoczyło to pytanie syna. Uczuł, że się oblał rumieńcem, jakby go schwytano na gorącym uczynku.

— Ojczy! — odparł. — Nigdy nie myślałem, ani nie mówiłem...

— Tak, to prawda! — przerwał mu stary Ola i zwracając się do wszystkich biesiadników, ciągnął dalej. — Trudno wam będzie pewnie uwierzyć temu, co powiem. Prawdą atoli jest

zupelną, że ani syn mój, ani synowa nigdy nie powiedzieli mi jednego złego słowa!

Starzec nie mówił do pewnych, określonych osób, toteż nikt nie czuł się w obowiązku odpowiadać.

— Obojgu trudnym to było bardzo! — mówił Ola dalej. — Utracili mnóstwo wszelkiego dobra. Mogliby państwem teraz być wielmożnym, gdybym był się inaczej obchodził z darami boskimi. Nie uskarżali się jednak nigdy, a teraz oto co roku przyjeżdżają tu, by pokazać, że nie żywią dla mnie żalu nijakiego!

Oblicze starca było teraz znowu jakby zamarte, a głos jego brzmiał spokojnie i uroczyście. Syn nie wiedział, czy ojciec ma coś określonego na myśli, co by mu chciał powiedzieć, czy mówi, by w ogóle coś mówić.

— Oni inaczej postępują ze mną niż Liza! — podjął Ola na nowo, wskazując palcem synowę⁷⁵. — Liza robi mi od rana do wieczora piekło o to, że marnotrawił majątek.

⁷⁵synowę — dziś: synową. [przypis edytorski]

Synowa nie uczuła się wcale dotkniętą tym przytykiem, uśmiechnęła się tylko dobrodusznie w odpowiedzi.

— A ojciec lamentuje nade mną, że po całych dniach muszę łątać, szyć, naprawiać i mało sobie rąk nie urobię!

— Prawda! — przyznał otwarcie. — Wiedzicie, żadne z nas się nie zapiera, ale powiada, jak jest i basta! Możemy ze sobą mówić, wszystko co ja mam, ma ona, a cała jej własność jest moją własnością. Dlatego to czuję, że jest ona naprawdę moim dzieckiem.

Syn uczuł się teraz dotknięty i uczuł niepokój, który wzrastał ciągle. Niezawodnie stary chciał na nim coś wymusić. Była to określona odpowiedź, na którą czekał od rana.

Ale przecież nie trzeba jej było dawać tutaj, publicznie, przy wszystkich.

Nils odetchnął z ulgą niezmierną, gdy, podniósłszy oczy, zobaczył Larsa Gunnarsona z żoną wchodzących właśnie furtką na podwórko.

Nie tylko on sam zresztą, wszyscy zebrani zadowoleni byli bardzo z ich przybycia. Nie pa-

miętał jakoś nikt z obecnych o podejrzeniach żywionych odnośnie do Larsa, przepadły one, rozwiały się w niwecz.

Lars i żona jego przepaszali za opóźnienie, ale Lars miał taki ból głowy, że myśleli, iż nie będą już mogli wziąć udziału w uroczystości. Ulżyło mu po pewnym czasie i postanowił skorzystać z zaproszenia Oli Bengsta. Prawdopodobnie ból prędzej przeminie w miłym towarzystwie znajomych i sąsiadów.

Lars miał oczy nieco zapadłe, a na skroniach włosy mu się nieco przerzedziły. Poza tym jednak wesół był i towarzyski jak co roku na przyjęciu u Oli. Ledwo Lars i Nils wzięli w usta kilka kąsków, niezwłocznie zawiązała się pomiędzy nimi ożywiona rozmowa o handlu drzewem, wielkich zyskach i pożyczanych sumach.

Siedzący wkoło biedacy przerazili się po prostu niesłychanych cyfr padających co chwila i nie śmieli mieszać się do rozmowy. Ale stary Ola zabrał głos:

— Kiedy już mowa o pieniądzach, to rad bym wiedzieć Nilsie, czy przypominasz sobie

ten skrypt na 17 000 talarów, który mi wystawił dawny właściciel duwneńskiej huty? Pewnie pamiętasz, że się gdzieś zapodział i nie mogłem zeń skorzystać w czasie, kiedy źle było ze mną bardzo. Mimo to napisałem do dłużnika, zgłosiłem swą pretensję, dostałem jednak odpowiedź, że leży na śmiertelnej pościeli. Po śmierci jego nie znaleziono żadnego zapisku w księgach handlowych i odpowiadano mi ze strony egzekutorów testamentu, iż nie można mi wypłacić tej należności, gdyż nie mogę wykazać się skryptem dłużnym. Szukałem go wszędzie i obaj synowie szukali, wszystko jednak skończyło się na niczym.

— Czy chcecie przez to powiedzieć ojczy, żeście go znalazł? — zawołał syn.

— Dziwna rzecz! — ciągnął dalej Ola. — Pewnego dnia przyszedł do mnie Jan ze Skrołyki i powiedział mi całkiem stanowczo, że skrypt leży w skrytce wielkiej skrzyni z odzieżą. Powiadał, że widział we śnie, jak go stamtąd dobywam.

— Przecież szukaliście i tam?

— To prawda! Szukałem w skrytce mieszczącej się na lewej ścianie skrzyni. Ale Jan twierdził, że skrypt leży po stronie prawej. Naturalnie zacząłem szukać na nowo i znalazłem, rzeczywiście, na samym spodzie, po prawej stronie, zapomnianą zupełnie skrytkę, a w niej leżał sobie najspokojniej mój skrypt!

Syn odłożył na chwilę nóż i widelec, ale wziął je zaraz ponownie do rąk. W tonie ojca zauważył coś, jakby ostrzeżenie. Może wszystko było zresztą zmyślane.

— Pewnie skrypt był przedawniony! — wtrącił od niechcienia.

— Gdyby sprawa dotyczyła innego dłużnika, nic by nie było ze skryptu, bo czas minął! — odrzekł stary. — Udałem się zaraz do młodego właściciela duwneńskiej huty, a on niezwłocznie uznał należytość. „Jasne jak słońce — powiedział mi — że uznaję zobowiązanie ojca mego, któremu wszystko co mam zawdzięczam! Tylko mój drogi, Olo Bengsta, musicie mi dać parę tygodni czasu. Suma jest po-

ważna i trudno by mi było zapłacić ją w tej chwili”.

— To szlachetny człowiek! — powiedział syn i uderzył ręką po stole. Mimo podejrzeń, jakie żywił, radość wcisnęła się do jego serca. Cóż za dziwak z tego starego! Jakże mógł nosić się przez cały dzień z tak wspaniałą nowiną i nie pisnąć słówka?

— Powiedziałem mu tedy — ciągnął dalej Ola — że wcale nie potrzebuje płacić. Jeśli tylko wystawi świeży skrypt, to pieniądze mogą zostać u niego na procencie.

— Doskonaleście postąpił⁷⁶, ojcze! — pochwalił Nils.

Trudno mu było zachować się tak spokojnie, jak tego pragnął. Głos jego zabrzmiał donośnie i wesoło. Wiedział jednak przy tym, że Oli dowierzać nie można. Za chwilę gotowe mu wpaść do głowy powiedzenie, że wszystko to było jeno zmyśleniem i fantazją.

⁷⁶*doskonaleście postąpił* — doskonale postąpiliście. [przypis edytorski]

— Pewnie mi nie dowierzasz? — spytał Ola — Chcesz zobaczyć skrypt? Liza! Przynieś mu go!

Za chwilę miał syn przed oczyma cudowny ów skrypt. Spojrzał przede wszystkim na podpis i poznał czytelne, śmiałe pismo pana hutduwneńskich. Potem sprawdził sumę i przekonał się, że wszystko w porządku.

Skinął głową żonie swej siedzącej naprzeciwko na znak, że wszystko jest prawdą, potem zaś podał jej dokument, gdyż była oczywiście straszliwie ciekawa ujrzeć go na własne oczy.

Przeczytała skrypt od początku do końca jak najstaranniej.

— A cóż to znaczy? — spytała i odczytała... — Zapłacę Lizie Persdotter w Askadalar-
nie, wdowie po Bengście Olsonie... Czyż Liza ma otrzymać te pieniądze?

— Tak! — potwierdził Ola. — Darowa-
łem jej tę sumę, gdyż jest moim prawdziwym dzieckiem.

— Ależ to krzywda dla...

— Nie ma żadnej krzywdy! — odrzekł znużonym głosem Ola. — Spłaciłem wierzycieli swoich i nic nie jestem dłużen nikomu. Zdałoby się może — ciągnął dalej stary z naciśkiem, zwracając się do syna — że mam jeszcze jednego wierzyciela i ja sam tak sądziłem nawet, ale teraz wiem na pewno, przekonałem się, że tak nie jest!

— Mnie macie ojcze na myśli! — odrzekł Nils. — Niestety, o mnie nie pomyślicie nigdy...

Chciał dalej mówić, ale nie dowiedział się ojciec, o co mu idzie, gdyż od drugiego końca stołu rozległ się przeraźliwy krzyk.

Lars Gunnarson pochwycił nagle pełną flaszkę wódki i przyłożył do ust. Żona jego krzyknęła i chciała mu ją odebrać. Ale odsunął ją na bok i wypił do połowy. Potem postawił na stole i zwrócił się do żony. Twarz jego stała się purpurowa, oczy rozwarły się szeroko, spoglądał dziko wokoło i zaciskał pięści.

— Czyś nie słyszała? — zawołał — Jan odnalazł skrypt. Rzecz jasna! Jan jest jasnowidzą-

cy! Wszystko, co mu się śni, to szczerą prawdą. Przekonasz się, że jak powiedział, dziś jeszcze spotka mnie nieszczęście!

— Powiedział tylko, byś się strzegł! — próbowała go uspokoić żona.

— Nie dałaś mi spokoju, aż się zgodziłem przyjść tutaj! — zawołał. — Sądziłaś, że zapomnę, co to za dzień dzisiaj? Tymczasem otrzymałem tu ostrzeżenie.

Podniósł flaszkę ponownie do ust, ale rzucała mu się na szyję, prosiła i płakała, przeto przestał pić, ale za to wybuchnął szaleńcym śmiechem.

— Weź ją sobie, weź! — krzyknął potem, wstał i kopnął stół. — Dobranoc, Olo Bengsta! Przebaczcie, że już odchodzę. Muszę się udać tam, gdzie mi nikt nie będzie przeszkadzał pić!

Poszedł ku furtce, a żona za nim.

Gdy przy niej stanęli, odepchnął ją od siebie, aż się zatoczyła i wrzasnęła:

— Precz ode mnie! Dostałem ostrzeżenie. Idę na zatrącenie!

NOC LETNIA

W dniu, kiedy odbywała się uczta u Oli Bengsta, Jan siedział w domu i dopiero wieczorem wyszedł i usiadł swoim zwyczajem na kamiennych schodach przed drzwiami.

Nie był, co prawda, chory, ale czuł się słaby i znużony. W izbie nagrzananej silnie słońcem przez cały dzień panował straszliwy zaduch, chciał tedy zaczerpnąć świeżego powietrza. Na dworze nie znalazł jednak ochłody, jak to zmiarkował od razu, lecz siedział dalej głównie dlatego, że mógł tu napatrzeć się różnym pięknym rzeczom.

Czerwiec był niezwykle gorący i suchy, toteż zaczęły się pożary lasów, niszcząc w tych okolicach wielkie nieraz przestrzenie. Jan widział wprost przed sobą, ponad grzbietem pasma gór, po drugiej stronie jeziora piękne, blade szafirowe zwały dymu.

Za chwilę ujrzał dalej, ku południowej stronie połyskujący jasno, kędzierzawy pióropusz, a gdy zwrócił oczy ku zachodowi w kierun-

ku Storsnipy, zobaczył tam wznoszące się szare, gęsto płomieniami przetykane obłoki. Zdawało się, że świat cały przepadnie w ogniu.

Z miejsca, gdzie siedział, nie widać było płomieni, ale nieprzyjemnie zrobiło mu się na myśl, że pożar szaleje po lesie i szerzy się bezkarnie. Pocieszał się tym, iż posuwa się jeno linią lasów, nie ogarniając zabudowań, chat i folwarków.

Powietrze duszne było i Jan z trudem chwycił je w piersi. Zdawało mu się, że spaliło się już dużo powietrza i może go całkiem zbraknąć. W regularnych odstępach napływały fale zgorzelizny i odór ten drażnił go w nosie. Dobrze tylko, że nie dolatywał on z bliskiego jakiegoś miejsca w Askadalarne, ale płynął z daleka, od wielkiego ogniska, pożerającego jedle⁷⁷, mech i susz w odległości kilkumilowej.

Słońce dawno już zaszło czerwono, zostawiło jednak tyle purpury, że niebo nią było umalowane. Nie tylko od strony zachodniej różowiło się wszystko, ale w czerwień objęło cały

⁷⁷*jedle* — dziś: jodły a. jedlinę. [przypis edytorski]

widnokrąg, a jednocześnie woda jeziora duwneńskiego stała się czarną płaszczyzną, po której snuły się purpurowe i złote błyski.

Czerwona noc. Nie można nocy takiej myśleć o ziemi, wszystko, co niskie, przestaje istnieć, widzi się tylko niebo i wodę niebo odbijającą.

Jan siedział przed domkiem swym, zapatrzony w precudny obraz, nagle jednak uczynił pewne spostrzeżenie. Było to złudzenie, niewątpliwie widział rzecz nieistniejącą, ale najwyraźniej zauważył, że sklepienie niebieskie opadło w dół. Oczom jego przynajmniej wydało się dużo bliższym ziemi niż zawsze.

Widział to wyraźnie, nie mógł pojąć, by było prawdą i nie wiedział, w co wierzyć. Wielka, bladoróżowa kopuła opadała coraz to niżej i niżej. Razem z tym ruchem dym i gorąco zwiększały się coraz to bardziej i Jan doznawał wrażenia, że ginie. Czuł już żar, co bił od spadającego i topiącego się z gorąca niebieskiego sklepienia.

Słyszał on dużo o tym, że świat musi zgiąć. Najczęściej wyobrażał sobie, że nastąpi to przy waleniu gromów, błyskawicach i grzmotach, oraz trzęsieniu ziemi. Sądził, że góry walić się będą w morze, a fale oceanów zaleją doliny ku wytraceniu wszystkiego, co żyje.

Nigdy jednak nie spodziewał się, by ziemia miała w ten sposób skończyć, zostać pogrzebana pod sklepieniem niebios, a ludzie skonać od dymu i skwaru. Była to śmierć gorsza ponad wszystkie inne.

Odłożył fajkę, chociaż do połowy ją ledwo wykurzył, ale nie ruszał się ze swego miejsca. Cóż bowiem mógł uczynić? Przeciw temu niczym bronić się nie było sposobu, ni miejsca do ucieczki nie stawało. Nie pomogłaby na to broń ni oręż nijaki, ani też kryjówka, w którą by się zaszył. Nawet ten, który by mocen był opróżnić wszystkie jeziora i morza dla ugaszenia płomienia niebieskiej kopuły nie dokazałby tego cudu. Gdyby wyrwać góry ze ziemi, spiętrzyć jedne na drugich: uczynić z nich słupy dla podparcia, nie utrzymałyby niezmiernego cięż-

zaru spadającego sklepienia świata i w pył by się rozpaść musiały.

Jedno tylko dziwne było wielce. Zda się, prócz niego nikt wokół nie zauważył wcale, co się dzieje, nikt się nie zaniepokoił.

Chociaż... zauważyły to jednak jakieś żywe istoty. Coś się poruszało tam w dali, coś się unosiło w górę sponad grzbietu gór. Na jasnych chmurach dymu zamajaczały liczne, czarne punkty. Punkty te kłębiły się zrazu w górę, potem zaś zszeregowały⁷⁸ się w wydłużone linie przypominające lecący rój pszczół.

Były to naturalnie ptaki. Przedziwnym ostrzeżone instynktem porzuciły legowiska nocne, uniosły się na skrzydłach i poszybowały w dal.

Ptaki wiedzą zawsze dużo rzeczy nieznanym ludziom. Zrozumiały, że dzieje się coś niezwykłego.

Noc zapadała, ale nie czyniło się chłodniej, przeciwnie, gorąc rósł z każdą chwilą. Musiało tak być zresztą, bo sklepienie niebios zniżowało się ciągle. Janowi zdawało się, że opadło już tak, iż

⁷⁸zszeregowały — dziś: uszeregowały. [przypis edytorski]

dotknęło sterczącego tam w dali wierzchołka Snipy.

Kiedy już tak być musiało, że świat się skończy lada chwila i nie ma nadziei na otrzymanie wieści od Klary Gulli, a tym mniej na ujżenie jej, aż chyba w niebie, zapragnął gorąco doznać przynajmniej tej łaski, by mógł się dowiedzieć, czym ją obraził, aby błąd swój naprawić, zanim wszystko, co ma z ziemią związek, rozpadnie się w nicość. Cóż to było za przewinienie wielkie, którego mu przebaczyć nie mogła? Dlaczego unicestwiła i zabrać kazała cesarskie insygnia?

W chwili, gdy sobie zadawał to pytanie, spojrzenie jego padło na mały kawałek złotego papieru, leżący na ziemi. Błyskał i migał, jakby chciał zwrócić jego uwagę na siebie, ale w tej chwili nie miał ochoty zajmować się takim głupstwem. Była to resztką którejś z gwiazd orderowych, wypożyczonych od szalonej Ingeborgi. O znikomościach tych przez całą już zimę myśleć nawet nie chciał i pogardził nimi całkiem.

Było coraz goręcej i tamowało Janowi oddech. Koniec świata zbliżał się szybko, więc pomyślał, że dobrze może, iż przyjdzie od razu, niespodzianie dla ludzi.

Uczuł, że słabnie z każdą chwilą coraz to bardziej. Nie mógł już prosto siedzieć, spełznął tedy ze stopni i wyciągnął się na ziemi.

Źle to może, iż nie uprzedził Katarzyny o tym, co się stanie. Ale nie wróciła jeszcze do domu i zabawiała się wesoło na uczcie u starego sieciarza.

— Może mi się jeszcze uda dowlec do starego Oli? — powiedział do siebie. — Rad bym się pożegnać z nim serdecznie!

W tej chwili zobaczył, że Katarzyna zbliża się, a z nią idzie Ola Bengsta. Ucieszył się bardzo. Chciał krzyknąć, by się spieszyli, ale nie był w stanie wymówić jednego słowa.

Za chwilę stanęli nad nim i pochylili się ku niemu.

Katarzyna przyniosła wody, dała mu się napić i powoli zaczęły mu wracać siły. Mógł teraz

zawiadomić ich, że zbliża się dzień Sądu Ostatecznego.

— Tak myślisz? — rzekła Katarzyna. — Sąd Ostateczny? Masz chyba gorączkę!

Jan zwrócił się do sieciarza.

— A wy, Olo Bengsta — powiedział — nie widzicie, że sklepienie niebieskie opada coraz bardziej?

Ola nie odpowiedział, tylko zwrócił się do Katarzyny.

— Tak być dalej nie może! — powiedział. — Trzeba koniecznie spróbować tego, o czym mówiliśmy po drodze. Najlepiej będzie, jeśli teraz zaraz udam się do Falli.

— Ależ Lars się nie zgodzi! — odparła.

— Wiecie przecież, że Lars pojechał do szynku. Erykowa, sądzę, zdobędzie się na tyle odwagi...

Jan przerwał w tym miejscu sieciarzowi, bowiem ścierpieć nie mógł, że rozmawiają o rzeczach błahych i codziennych, teraz gdy zbliża się wielka chwila.

— Nie mówcież! — prosił. — Nie gadajcież! Czyż nie słyszycie trąb archanielskich? Czyż nie słyszycie, jak echa się niosą górami?

Zamilkli na chwilę, by go uspokoić i zaraz można było zauważyć, że słyszą coś niezwyklego.

— Wóz jakiś pędzi od strony lasu! — powiedziała Katarzyna. — Cóż to może znaczyć?

Im bliższy stawał się turkot, tym dziwili się bardziej.

— Dziś niedzielny wieczór! — zauważyła Katarzyna. — W dniu powszednim nie byłoby to tak dziwne. Któż może jechać wozem przez las późnym wieczorem w niedzielę?

Zamilkła i nadśluchiwała dalej. Można było teraz wyraźnie rozeznąć ślizganie się kół po skałach i tętent kopyt konia pędzącego galopem po stromym zboczu góry.

— Słyszycie? Słyszycie? — pytał Jan.

— Słyszę! — odrzekła Katarzyna. — Ale niewiele mnie obchodzi, kto jedzie. Muszę cię przede wszystkim położyć do łóżka. O tym myślę nasamprzód.

— A ja pójdę do Falli! — oświadczył sieciarz. — To ważniejsze od wszystkiego. Do widzenia niedługo.

Starzec ruszył w drogę, jak mógł najspieszniej, a Katarzyna weszła do izby posłać Janowi łóżko. Ledwo znikła w domku, łoskot ów, który oboje z Olą uważali za zwykły turkot wozu, zbliżył się znacznie. Jan słyszał dudnienie olbrzymich wozów wojennych, a cała ziemia drżała coraz to silniej. Krzyknął na nią i zaraz wybiegła ku niemu.

— Nie bójże się! — powiedziała. — To nic! Widzę już konia, to gniada ze stajni we Falli. Czekał, podniosę cię i sam zobaczysz.

Podsunęła mu ramię pod plecy i uniosła w górę. Dostrzegł pośród krzaków olszyny, brzęzących⁷⁹ drogę, zarys konia pędzącego szalonym galopem ku Skrołyce.

— Widzisz sam — powiedziała Katarzyna — że to tylko Lars Gunnarson wracający do domu. Upił się w szynku i nie wie, którądy jechać.

⁷⁹brzęzący — obrzeżający; rosnący przy brzegach. [przypis edytorski]

W chwili kiedy to powiedziała, zaprzęg przeleciał koło furtki i zobaczyli, co się dzieje. Zobaczyli oboje dokładnie, że wózek był pusty, a koniem nie kierował nikt.

Katarzyna krzyknęła i cofnęła rękę tak szybko, że Jan opadł ciężko na ziemię.

— Boże wielki! — zawołała. — Czyś widział Janie? Koń go wlecze na cuglach.

Nie czekając odpowiedzi męża, wypadła na drogę, którą przeleciał dopiero co koń.

Jan pozwolił jej iść, gdzie chciała. Rad był nawet, że został sam. Dotąd nie znalazł odpowiedzi na pytanie, dlaczego cesarzowa gniewa się na niego.

Tuż przed jego oczyma leżał ów mały skrawek połyskującego złotem papieru, a migotał tak, że mimo woli zwrócił nań spojrzenie. Myśl jego skierowała się ku szalonej Ingebordze i wspomniał ów dzień, w którym spotkał się z nią w przystani borskiej.

Nagle doznał olśnienia. Tak... tak... to była odpowiedź, której szukał długo nadaremnie! Teraz wiedział, dlaczego jego dziewczyna przez

całą zimę czuła doń urazę. Uczynił krzywdę szalonej Ingebordze. Nie powinien był jej żadną miarą odmawiać pozwolenia na wyjazd do Portugalii.

Złe miał, zaprawdę, wyobrażenie o wielkiej cesarzowej, mniemając, że nie zechce widzieć przy swym boku szalonej Ingeborgi. Przeciwnie, pragnęła śpieszyć z pomocą takim właśnie nieszczęśliwym istotom jak Ingeborga.

Nic dziwnego, że ją to rozgniewało i że go ukarała! Powinien był zrozumieć, iż państwo jej stoi otworem właśnie dla biednych, opuszczonych i nieszczęśliwych.

Nic się jednakże nie dało uczynić dla naprawienia złego, albowiem nie zjawi się już dzień następny. Ach! Gdyby znów zaświtało — jutro poszedłby natychmiast do szalonej Ingeborgi i rozmówiłby się z nią. Tak, niezawodnie byłby to pierwszy jego krok.

Zamknął oczy i złożył ręce. Uczuł niezmierną ulgę, kiedy ta troska spadła mu z serca. Śmierć stała mu się nierównie lżejsza, utraciła ów kołec, co sumienie ranił.

Nie wiedział, ile czasu minęło aż do chwili, gdy posłyszał słowa stojącej nad nim Katarzyny.

— Cóż ci to Janie? Nie umierajże mi przecie!

Było tyle przerażenia w tonie tych słów, że otworzył oczy.

I cóż ujrzał za pierwszym zaraz spojrzeniem? Oto Katarzyna trzymała w rękach cesarską jego czapkę i laskę.

— Prosiłam właścicieli Falli, by ci to zwrócili! — powiedziała. — Lepiej, byś znów został cesarzem, niż stracił całą ochotę do życia. Tak wytłumaczyłam i oddali.

Jan złożył ręce nabożnie.

Jakże cudowna jest ta droga dziewczynka, ta wielka cesarzowa? Ledwie uczuł skruchę i postanowił naprawić błąd, a oto natychmiast przywraca go do łask i darzy swą miłością.

Uczuł się zdrowy, rześki, szczęśliwy. Sklepienie niebios uniosło się znowu w górę, powietrze orzeźwiało, żar znikł doszczętnie. Mógł się podnieść bez pomocy i sięgnąć po ukochane insygnia władzy.

— Teraz możesz kłaść się spokojnie do łóżka! — zakończyła Katarzyna. — Nikt ci nie zaprzeczy czapki ni laski, bo Lars nie żyje.

ŻONA CESARZA

Katarzyna ze Skrołyki siedziała na krześle w kuchni w Löwdali. Przyniosła przędzywo, a sama pani Liliecrona odebrała je, zważyła i zapłaciła, chwając przy tym staranną robotę.

— Dobrze się składa, Katarzyno — powiedziała pani porucznikowa — że tak doskonale umiecie prząć, bo teraz musicie pracować na siebie i męża sama jedna!

Katarzyna wyprostowała się, a na policzkach jej, na samych wystających kościach pod oczyma zjawiły się dwie czerwone plamy.

— Jan pracuje także — odparła porywczo — nie był on zresztą nigdy tak silny, jak zwykajny robotnik!

— Podobno teraz niczym się nie zajmuje? — zauważyła porucznikowa. — Słyszałam, że

chodzi od folwarku do folwarku, pokazując swe gwiazdy i śpiewając pieśni.

Pani Liliecrona była to osoba pracowita i gospodarna, chciała tedy okazać zaradnej i skrzętnej Katarzynie swą życzliwość i wyrazić, że z nią współczuje.

Ale Katarzyna stanęła w obronie męża.

— Jan jest już stary i wiele przecierpiał w ostatnich latach! Całe życie sterał w ciężkiej pracy jako wyrobnik, przeto należy mu się odpoczynek niejaki pod wieczór!

— Dobrze, że nieszczęście swe znosicie z takim spokojem, droga Katarzyno! — powiedziała znów pani porucznikowa z pewnym odzieniem surowości. — Jestem zresztą zdania, że powinna byście starać się⁸⁰ wybić Janowi z głowy te jego niedorzeczne urojenia. Wszakże rozsądna z was i trzeźwa kobieta. Przekonacie się, że jeśli tak dalej pójdzie, Jana zabiorą do szpitala wariatów!

⁸⁰powinna byście starać się — dziś: powinnaś starać się a. (grzecznościowe użycie lm w odniesieniu do pojedynczej osoby) powinniście. [przypis edytorski]

Katarzyna wstała z krzesła, wyprostowała się, a na twarzy jej odmalował się wyraz oburzenia.

— Jan nie jest wariatem! — zawołała. — Bóg miłosierny położył na jego oczach zasłonę, by nie musiał patrzeć na to, czego by przeżyć nie był w stanie. Winniśmy mu za to gorące dzięki!

Pani Liliecrona nie upierała się przy swoim. Uznała zresztą za słuszne i piękne postępowanie Katarzyny, stojącej po stronie męża.

— Dobrze, dobrze, droga Katarzyno... — powiedziała serdecznie — nie zapominajcież tylko, że u mnie znajdzie się dla was robota przez cały rok... nie zapominajcie o tym!

Na te słowa znikł z twarzy Katarzyny wyraz twardy i zacięty, stopniał od razu i zapodział się gdzieś. Wystąpiły najpierw miłość, strach i troska, a z oczu popłynęły rzęsiste łzy.

— Cała moja pociecha, że mogę na niego pracować! — powiedziała. — Stał się z biegiem lat tak dziwny, że teraz już nie jest jak inni lu-

dzie, ale czymś więcej. I dlatego to właśnie boję się, by mi go nie zabrano...

POWITANIE

Wróciła... wróciła, droga dziewczynka powróciła! Nie sposób znaleźć słowa właściwe dla zdania sprawy z tak niesłychanego zdarzenia.

Przyjechała późną jesienią, kiedy statki kursować już przestały po Löwenie, a ruch po jeziorze odbywał się tylko za pomocą kilku małych parowców towarowych. Nie chciała zapewne jechać łodzią towarową, a może nawet nie wiedziała, że kursuje taki statek, dość, że przybyła koleją na najbliższą stację i stamtąd wzięła powóz do Askadalarny.

Jan ze Skrołyki nie mógł jej wtedy powitać w przystani, gdzie na nią od lat piętnastu wyczekiwał. Przez lat bowiem piętnaście żyła w dalekich stronach, nie wiadomo gdzie. Do osiemnastego roku życia miał ją w domu i była jego własnością, potem zaś prawie równie długo tęsknił za nią.

Nie złożyło się nawet tak szczęśliwie, by go zastała w domu i by ją mógł przyjąć jak należy. Właśnie udał się do Falli na małą pogwarękę ze starą Erykową, która wyniosła się z głównego budynku i mieszkała na facjacie w oficynie. Była jedną z owych osamotnionych, smutnych istot ludzkich, które odwiedzał dobry cesarz, uważając za swój obowiązek szepnąć im dobre słowo, zachęcić do wytrwania i męstwem napoić.

Katarzyna cały dzień przesiedziała u kołowrotka i właśnie przestała prząść, by wypocząć przez chwilę, gdy doleciał jej uszu turkot wozu na drodze. Rzadki to był wypadek, by ktoś jechał wozem skalistą, stromą drogą askadalarneńską, przeto wyszła przed dom, by zobaczyć i zdumiała się, ujrzawszy miast wozu prawdziwą dorożkę z budą.

Ręce jej drzeć zaczęły gwałtownie w tej chwili. Przypadłość ta zdarzała się teraz coraz częściej, ilekroć przeraziła się lub czymś wzruszyła. Poza tym zdrowa się czuła i krzepka, mimo siedemdziesięciu dwu lat, obawiała się tylko,

by owo drzenie rąk nie wzmogło się i nie odjęło jej możliwości zarobkowania. Dotąd udawało jej się zawsze utrzymać jako tako męża i siebie.

Katarzyna utraciła już niemal zupełnie nadzieję zobaczenia córki za życia i przez cały dzień nie wspomniała o niej ni razu. Mówiła jednak później, że od chwili, gdy doleciał ją turkot pojazdu, niezwłocznie wiedziała, kto przybywa.

Podeszła do skrzyni z bielizną, chcąc wziąć czysty fartuch. Ale ręce drżały jej tak mocno, że nie mogła włożyć klucza do zamku. Toteż dała za wygraną, nie przystroiła się lepiej i jak stała, wyszła przed dom witać córkę.

Dziewczyna nie jechała złotą kareta, nie siedziała teraz nawet w powozie, jeno szła pieszo. Droga przez Askadarnę była teraz równie stroma i wyboista, jak za czasów, kiedy Eryk z Falli i żona jego wieźli dziecko do chrztu. Szła po jednej stronie dorożki, a woźnica po drugiej i oboje podtrzymywali dwa ogromne kufry, przytroczone z tyłu i chwiejące się tak, że co chwila groziło im, że spadną i rozbiją się o skały. Powrót do domu nie odbywał się

zbyt wspaniale, jednak w danych warunkach nie można się było domagać niczego więcej.

Katarzyna zdążyła otworzyć na ścieżaj drzwi w chwili, gdy powóz zatrzymał się naprzeciw domku. Powinna była wybiec i otworzyć furtkę, nie uczyniła jednak tego. Ciężar jakiś niezmierny legł jej w tej chwili na sercu, zapierając oddech i tamując ruchy.

Przybyła, otwierająca właśnie, była damą elegancko ubraną, ale Katarzyna wiedziała, że jest nią Klara Gulla, jej córka. Miała na głowie kapelusz przystrojony w pióra i kwiaty i suknię z wspaniałej materii. Lecz pomimo wszystko była to dziewczyna ze Skrołyki.

Klara Gulla wbiegła na podwórze, uprzędając powóz i przystąpiła do matki z wyciągniętymi rękami. Ale Katarzyna nie ruszyła się z miejsca, stała sztywna, zdrętwiała, z zamkniętymi oczyma. W sercu jej wezbrało w tejże samej chwili wielkie rozgoryczenie. Wydało jej się, że nie przebaczy córce nigdy, iż żyje, zdrowa jest i wesółą, dopuściwszy do tego, by przez lat piętnaście rodzice musieli na nią czekać da-

remnie. Uczuła nawet żal, że wraca, że się pokazuje, wolałaby bowiem nie oglądać jej nigdy.

Klara Gulla musiała dostrzec, że matka chwile się na nogach i lada chwila upadnie, bo objęła ją szybko ramionami i wniosła niemal do izby.

— Droga matko! Czemużeś się tak przerażała? — pytała. — Czyż mnie nie poznajesz?

Katarzyna otworzyła oczy i zaczęła się uważnie przyglądać córce. Była osobą rozsądną i wiedziała, że dziewczyna, która była przez lat piętnaście nieobecna, nie może tak wyglądać, jak przedtem. Mimo to przeraziło ją to, co ujrzała.

Osoba, którą miała przed sobą, wyglądała dużo starzej, niż wyglądać była powinna. Zaczęła dopiero trzydziestkę. Ale powodem tego nie była siwizna pokrywająca z rzadka jej skroń i czoło pocięte zmarszczkami, nie, Klara Gulla stała się brzydka z innego powodu. Cere miała dziwnie bladą, skórę pożółkłą, a coś ordynarnego jawiło się koło ust. Białka stały się szarawe i widniały na nich gęste, czerwone żyłki, a pod oczyma zwisały wielkie worki.

Katarzyna zsunęła się na ławę, oplotła ramionami kolana, by ręce tak nie drżały i myślała o promieniejącej pięknością, osiemnastoletniej dziewczynie w czerwonej sukience. Taką pozostała dotąd w jej wspomnieniach. Biedna staruszka zadawała sobie trwoźnie pytanie, czy zdoła cieszyć się z powodu powrotu córki.

— Powinnaś była pisywać! — powiedziała. — Przysłać przynajmniej czasem pozdrowienie, byśmy wiedzieli, czy żyjesz.

— Tak, to prawda — odrzekła — jestem winna! — Głos jej przynajmniej ten sam pozostał. Brzmiał rzeźwo, raźnie i stanowczo. — Ale z początku źle mi szło... Pewnieście słyszeli?

— O, tak... tyle wiemy...! — powiedziała Katarzyna z ciężkim westchnieniem.

— Dlatego nie pisałam z początku! — odparła Klara Gulla i roześmiała się głośno. I teraz jeszcze tkwiła w niej moc jakaś niepojęta i zdrowie, zupełnie jak przedtem. Nie zaliczała się, zaprawdę, do ludzi dręczących się rozpamiętywaniem i skruchą.

— Nie myśl o tym, mateczko! — prosiła, gdy Katarzyna milczała. — Teraz powodzi mi się doskonale. Zostałam gospodynią, to znaczy zarządzam kuchnią na wielkim parowcu pomiędzy Lubeką a Malmö kursującym i właśnie tej jesieni wynajęłam sobie śliczny domek w Malmö. Czasem przychodziło mi na myśl napisać do was, ale nie wiedziałam, prawdę mówiąc, jak się do tego zabrać, a im dalej szło, tym było trudniej. W końcu powiedziałam sobie, że zaczekam, aż będę mogła ciebie i ojca zabrać do siebie. Doszło do tego nareszcie, toteż sądziłam, że lepiej zrobię, gdy zamiast pisać przyjadę sama!

— Nie doszły cię żadne wieści o nas? — spytała matka.

Wszystkie te wyjaśnienia powinny ją były ucieszyć, a jednak ciągle była przygnębiona.

— Nie! — odparła Klara Gulla, ale dodała zaraz na swe usprawiedliwienie. — Pewna byłam, że ludzie wam jakoś dopomogą w potrzebie!

W tej chwili zauważyła, że ręce Katarzyny drżą, mimo, iż założyła je na piersiach. Zrozumiała, że owa „potrzeba” musiała być nierównie większa, niż przypuszczała, toteż tłumaczyła się dalej.

— Nie chciałam, jak czynią inni, przysyłać drobnych kwot! Wolałam oszczędzać, aż do czasu, kiedy będę w możności zabrać was do siebie.

— Nie potrzebowaliśmy pieniędzy — rzekła Katarzyna surowo. — Starczyłoby nam listu!

Klara Gulla spróbowała dawnego sposobu roz pogodzenia matki.

— Nie psujcie mi, droga mateczko, tej radosnej chwili! — powiedziała z prośbą w głosie. — Wróciłam i basta! Chodźmy po kufry moje i rozpakujmy! Pełno tam doskonałych rzeczy do jedzenia. Przyrządźmy ucztę, zanim nadejdzie ojciec.

Wyszła, by z pomocą woźnicy zdjąć z powozu kufry, ale Katarzyna nie udała się za nią.

Klara Gulla nie spytała ani razu o ojca. Pewna była, że pracuje dotąd jak pierwej jako wyrobnik na folwarku we Falli.

Katarzyna wiedziała, że musi jej powiedzieć, jak sprawy stoją, ale odsuwała to na potem. Wraz z przybyciem córki przewiał cały dom prąd świeżego, rzeńskiego powietrza, wzdragając się przeto zniweczyć jednym zamachem radość córki z powrotu.

Klara Gulla pomagała odwiązywać kufry w podwórzu. Nagle spostrzegła kilkoro dzieci u furtki. Zaglądały ciekawie w podwórze, nie mówiły nic, śmiały się tylko, pokazując na nią palcami. Potem pobiegły szybko ku wsi.

Niedługo wróciły jednak, a pośrodku nich kroczył mały, stary człowieczek, o pożółkłej twarzy i zeschniętym ciele. Głowa jego odrzucona była dumnie wstecz, stawiał dziarskie kroki i przytupywał mocno, naśladowując maszerującego żołnierza.

— To jakiś dziwny człowiek! — powiedziała Klara do woźnicy w tej właśnie chwili, kiedy starzec i tłum dzieci wchodzili na po-

dwórze. Nie domyślała się wcale, kto by to mógł być, ale zwrócił jej uwagę dziwny strój przybysza. Miał na głowie wysoką czapkę skórzaną z pióropuszem, a od szyi zwieszało mu się aż nisko na piersi mnóstwo gwiazd i krzyżów zrobionych ze sztywnego, złoconego papieru.

Tym razem dzieci nie zachowywały się cicho, ale wrzeszczały na całe gardło:

— Cesarzowa! Cesarzowa!

Staruszek kazał im zamilknąć i kroczył dalej na czele zgrai, jakby dzieci stanowiły jego świtę.

Gdy banda zbliżyła się do samych niemal drzwi domu, Klara Gulla krzyknęła przeraźliwie i wymijając przybyłych wpadła do izby.

— Kto to jest? — spytała z wielkim strachem. — Czy ojciec? Zwariował?

— Tak! — odrzekła Katarzyna. Zaczęła płakać nagle i zakryła twarz fartuchem.

— Czy to z mego powodu się stało?

— Bóg miłosierny uczynił to dla dobra jego! — szlochała Katarzyna. — Wiedział, że nie mógłby znieść tego ciosu.

Nie mogła ciągnąć dalej objaśnień, bo na progu ukazał się Jan, a za nim zgraja dzieci, chcących się przekonać, jak wypadnie w rzeczywistości owo powitanie, o którym tyle się już nasłuchały.

Cesarz Portugalii nie zbliżył się do córki. Zatrzymał się u drzwi i wygłosił uroczystą formułę.

— Witaj nam, witaj, ty jasna, ty piękna, ty można Gulleborgo, witaj nam!

Wypowiedział te słowa z taką samą pompatyczną godnością, jaką wielcy tego świata zachowują zawsze w wielkich momentach, ale łzy radości napełniły oczy jego i wielkim jeno wysiłkiem opanowywał drzenie głosu.

Po ukończeniu onego przygotowanego z góry powitania uderzył cesarz trzykrotnie w ziemię srebrzystą laską swoją, by nakazać uroczystą ciszę i skupienie, a potem zaczął śpiewać cienkim, drżącym głosikiem.

Klara Gulla stanęła przy matce. Zdawało się, że pragnie schować czy zapaść się gdzieś

i milczała. Kiedy Jan zaczął śpiewać, wydała przeraźliwy okrzyk strachu i chciała, by zamilkł.

Katarzyna schwyciła silnie jej ramię.

— Nie przeszkadzaj! — rozkazała. — Od chwili, gdyś znikła cieszył się, że cię powita tą pieśnią.

Klara Gulla zamilkła, a Jan śpiewał:

Ojciec wielkiej monarchini
Honory królestwa czyni.

Pisano o tym w gazecie...

Wiecie chyba wszyscy przecie!

Austria, Metz, Japonia społem

Portugalii biją czołem,

A więc niech muzyka gra!

Ratata! Ratata!

Bum! Bum! Bum!

Klara nie mogła znieść tej okropności. Rzuciła się naprzód, wypędziła dzieci i zamknęła za nimi drzwi. Potem stanęła przed ojcem i krzyknęła, tupiąc nogą naprawdę rozgniewana:

— Milcz! Milcz! Słyszysz? — rozkazała. — Czy chcesz mnie wydać na pośmiewisko całej wsi?

Jan spojrział i osłupiał na chwilę. Ale zaraz przyszedł do siebie. Czyż nie była to wielka cesarzowa? Wszystko, co czyni, dobre być musi. Każde jej słowo to miód, to balsam. Uniesiony radością zapomniał zupełnie o złotej koronie, lwach, paziach i generałach jej świty. Chciała wydać się biedną i bezbronną... ha, jej wola! Ale wróciła doń i to było niewyczerpanym źródłem radości i upojenia.

UCIECZKA

W tydzień po powrocie do rodzicielskiego domu stała Klara Gulla pewnego ranka wraz z matką w przystani borskiej, czekając na łódź ciężarową, którą chciała odjechać z tych stron na zawsze. Katarzyna ubrana była w kapelusz i płaszcz z pięknego sukna. Córka zabierała ją ze sobą do Malmö, by zrobić z niej damę miejską. Skończyła się codzienna walka o chleb powszedni.

Z założonymi rękami miała siedzieć teraz Katarzyna na kanapie i pędzić dni swego żywota w spokoju, beztrosce i szczęściu.

Mimo tych wszystkich rozkosznych nadziei nie czuła się jednak w życiu całym tak przybita i nieszczęsna jak właśnie w tej chwili, kiedy stojąc na pomoście przystani, czekała statku.

Klara Gulla dostrzegła to widać, gdyż spytała matkę, czy obawia się podróży wodą i tłumaczyła, że nie ma w tym nic niebezpiecznego, chociaż czasem panuje taki wichur, że ludziom trudno ustać na pokładzie. Nawykła do podróży i to po morzu nawet, wie przeto, co mówi.

— To nie są żadne fale! — mówiła. — Mają, co prawda niewielkie, białe grzywy, ale bez żadnej obawy można się puścić nawet tak nędzną łodzią parową.

Klara Gulla nie robiła sobie nic z wiatru i stała spokojnie na pomoście. Ale Katarzynę przejęło do kości, przeto schroniła się do magazynu towarowego i przysiadła w kącie, za wielkimi skrzyniami. Tutaj postanowiła czekać aż do nadejścia statku. Szło jej także o to, by

nie spotkać kogoś znajomego ze wsi rodzinnej. Naraz zjawiała jej się w głowie myśl, od której zadrzała od stóp do głowy. Jeśli obawia się pokazać ludziom na oczy, to to, co czyni, musi być złe i nieuczciwe.

Jedno miała na swe usprawiedliwienie. Nie jechała z Klarą Gullą z chętki życia w wygodach, ale jeno dlatego, że ręce jej przestały już być zdolne do pracy i drżały coraz bardziej.

Po chwili zobaczyła wchodzącego do magazynu kościelnego Svartlinga i zaczęła prosić gorąco Boga, by jej nie spostrzegł, nie zbliżył się i nie spytał, dokąd jedzie. Jakże mogłaby mu powiedzieć, że opuszcza Jana, dom i porzuca dotychczasowy sposób życia?

Zrazu chciała namówić Klarę Gullę, by ją zostawiła z Janem. Gdyby przysyłała bodaj dzieśnięć talarów miesięcznie mogliby oboje jako tako żyć. Ale wszystkie namowy były daremne, Klara słyszeć nawet nie chciała o tego rodzaju uregulowaniu sprawy i oświadczyła, że nie da złamanego szeląga, jeśli Katarzyna z nią nie pojedzie.

Katarzyna zrozumiała dobrze o co idzie. Klara nie była zła i niewdzięczna. Wynajęty domek urządziła już dla obojga rodziców i radowała się, że w nim zamieszkają, że przekonają się, jak o nich myślała i pracowała dla nich. Chciała wtedy mieć nagrodę za swój trud i zabrać przynajmniej matkę.

Pracując i gromadząc fundusze, Klara myślała więcej jeszcze o ojcu niż matce, gdyż z ojcem zżyła się bliżej od młodych lat i pokochała go serdecznie. Teraz jednak, po tym co zaszło, uważała za niepodobieństwo brać go ze sobą.

To było największym złem. Klara powzięła do ojca niechęć wielką, napełniał ją odrazą i patrzeć nań nie mogła. Nie pozwalała, by z nią rozmawiał o Portugalii i zmuszała się, by nie uciec, ile razy ubrał się w swój strój cesarski. Jan kochał ją jak dawniej gorąco i chciał przebywać ciągle przy niej, ale Katarzyna doszła do przekonania, że jeśli Klara wyjeżdża po tygodniowym pobycie w domu, to czyni to jedynie w celu pozbycia się widoku ojca.

Klara Gulla weszła także do magazynu. Nie bała się kościelnego Svartlinga, przeciwnie, podeszła do niego, zagadnęła i powiedziała wprost, że wraca do własnego domu i zabiera Katarzynę.

Svartling spytał oczywiście, co się stanie z ojcem. Klara odrzekła zupełnie spokojnie, jakby mówiła o kimś obcym, że będzie płaciła za jego utrzymanie i opiekę nad nim Lizie, synowej starego sieciarza. Po śmierci Oli Bengsta Liza wystawiła sobie dom i w jednej z izb miał zamieszkać Jan.

Rysy kościelnego Svartlinga nie zdradzały więcej, niż chciał okazać i słuchał spokojnie opowiadania Klary Gulli. Ale ona wiedziała dobrze, co o niej sądzi człowiek będący niejako ojcem całej wsi.

„Po cóż ma przenosić się do obcych stary człowiek posiadający jeszcze żonę i córkę? Liza jest poczciwą kobietą, ale nie będzie dlań tak dobra i wyrozumiała jak najbliżsi”. — Tak myślał Svartling. Tak myśleć musiał.

Katarzyna spojrzała na swe ręce. Może sama siebie oszukała, podając owo drzenie za powód wyjazdu. Uległa córce, która była energiczna, gwałtowna i wywierała na nią wpływ przemożny. Taki był istotny powód, dla którego opuszczała męża.

Klara Gulla rozmawiała dalej z kościelnym. Powiedziała mu, że wraz z matką musiały wymknąć się z domu, by Jan nie dowiedział się o ich wyjeździe.

To była dla Katarzyny rzecz najstraszniejsza. Klara Gulla wysłała Jana na zakupno⁸¹ do jednego ze sklepów w obwodzie broeńskim, a gdy tylko odszedł, spakowały kufry i wyruszyły zamówioną poprzód⁸² furmanką.

Katarzynie wydało się, że jest złodziejem czy zbrodniarzem, w czasie onego wymykania się z własnego domu, ale Klara Gulla zaręczyła, że nie ma innej rady. Gdyby ojciec się dowiedział, rzuciłby się niezawodnie pod koła i raczej dał się przejechać na śmierć, niż dopuścił

⁸¹*na zakupno* — dziś: na zakupy. [przypis edytorski]

⁸²*poprzód* — dziś: poprzednio. [przypis edytorski]

do wykonania zamysłu. Gdy powróci, zastanie Lizę w domu, a ta poczciwa kobieta będzie się starała uspokoić go i pocieszyć. Katarzyna drętwiała na myśl rozpaczy biednego Jana, gdy się dowiedzie, że go porzuciła Klara Gulla.

Kościelny słuchał spokojnie opowiadania Klary i nie przerywał jej wcale. Katarzyna zapytywała w duchu, czy pochwała może to, czego się dowiedział. Nagle Svartling pochwycił Klarę za rękę i powiedział bardzo poważnie:

— Jestem twym nauczycielem, Klaro Gullo, przeto powiem ci wprost swe zapatrywanie. Chcesz uciec przed obowiązkiem, ale nie masz żadnej pewności, czy ci się to uda. Znam innych, którzy tego samego próbowali, ale ponieśli straszliwą karę.

Katarzyna odetchnęła z ulgą, słysząc te słowa i wyprostowała się. Sama chciała tak przemówić do córki, ale nie śmiała. Klara Gulla nie uczuła się wcale zmieszana ni dotknięta. Odparła, że nie widzi innego wyjścia. Nie może zabierać do obcego miasta wariata, a zostać w Askadarnie również nie może, gdyż ojciec

uniemożliwił jej to przez swe szaleńcze fantazje. Ile razy przechodziła koło któregoś z domów, wybiegały gromady dzieci i wołały za nią: „cesarzowa! cesarzowa!”. Także w kościele tak się na nią gapiono i potrącano ją, że mało nie upadła.

Kościelny nie zmienił swego poglądu.

— Rozumiem dobrze, że to rzecz niełatwa!
— powiedział. — Ale byłaś od dziecięcych lat tak związana z ojcem, że ten węzeł rozciąć się nie da, wierzaj mi, Klaro Gullo!

Po tych słowach wyszli oboje z magazynu, a Katarzyna udała się ich śladem. Miała teraz inny pogląd na rzecz niż przedtem i rada by była spytać kościelnego o radę. Zanim jednak doń przystąpiła, zwróciła oczy ku wzgórzom przeciwległym i patrzyła uważnie, bo zjawilo się w niej przeczucie, że Jan nadejdzie niedługo.

— Czy boisz się, matko, by ojciec nie nadszedł? — spytała Klara Gulla, zbliżając się do matki.

— Nie boję się — odparła — ale proszę Boga gorąco, by pozwolił Janowi zdążyć tu, zanim odjadę.

Zebrała całą odwagę i ciągnęła dalej:

— Klaro Gullo, mam pewność niezachwianą, że postąpiłam źle i zdaje mi się, że przez całą resztę życia za to pokutować będę!

— Mówisz tak, matko — odrzekła — ponieważ przeżyłaś całe życie w nędzy i ciemności. Wszystko się zmieni, gdy znajdziesz się na szerokim świecie. A ojciec nadejść nie może, bo nie wie, żeśmy odjechały.

— Nie ufaj temu zbyt! — powiedziała Katarzyna. — Jan wie zawsze, co mu wiedzieć trzeba. Od czasu twego zniknięcia stał się jasnowidzącym i władza ta wzrasta u niego coraz to bardziej. Bóg miłosierny, pozbawiając go rozsądku, użył mu innego światła, by nie kroczył w ciemnościach.

Chcąc córkę przekonać, że Jan jest jasnowidzem, opowiedziała jej pokrótce o śmierci Larsa Gunarsona, a także o kilku sprawach z lat ostatnich.

Klara Gulla słuchała uważnie. Przedtem usiłowała Katarzyna pokazać jej, jak dobry był Jan dla ludzi biednych i opuszczonych. Ale nie była ciekawa wcale.

Teraz poruszyło ją to bardzo i Katarzyna zaczynała już nabierać nadziei, że zmieni swe uczucia dla ojca, a może nawet zawróci do domu.

Ale nie trwała długo ta złuda.

— Widzę statek, matko! — przerwała jej wesoło. — Już wszystko dobrze! Za chwilę ruszymy w drogę!

Łzy rzuciły się Katarzynie do oczu na widok parowca, przybijającego do pomostu przystani. Chciała prosić kościelnego, by się wsta- wił za nią do Klary Gulli i by mogła pozostać z mężem i w starym domku swoim. Ale zabrakło czasu i nie widziała już ratunku ni ocalenia przed podróżą.

Statek spóźnił się widocznie, bo bardzo nagle do odjazdu, nie przerzucono nawet mostka, a marynarze wyrzucili niemal na ląd kilku biedaków wysiadających tutaj. Klara Gul-

la chwyciła matkę pod ramię, a jeden ze służby marynarz przeprowadził kobiety na pokład. Katarzyna rozplakała się, chciała wracać, ale nie było o tym mowy.

W chwili, gdy znalazła się na pokładzie, Klara Gulla otoczyła ją ramieniem.

— Chodź mammo! — powiedziała. — Przejdziemy na drugą stronę.

Było już jednak za późno. Katarzyna dostrzegła biegnącego stokiem wzgórza człowieka i poznała go zaraz.

— To Jan! Ach cóż teraz biedaczysko pocznie? Gotów skoczyć do wody!

Jan przybiegł do przystani i stanął na samym krańcu pomostu. Spoglądał rozpaczliwym, budzącym litość wzrokiem. Widział Klarę Gullę na pokładzie oddalającego się parowca i za prawdę, trudno wyrazić ból i rozpacz malujące się na jego twarzy.

Sam widok Jana dodał Katarzynie siły do wypowiedzenia posłuszeństwa córce.

— Jedź sama, jeśli chcesz! — zawołała. — Ja wysiadam w pierwszej przystani i wracam pieszo do domu.

— Czyń co chcesz, matko! — odparła Klara Gulla z urazą. Przekonała się, że nie zdoła postawić na swoim, a może odczuła też, że była zbyt okrutna dla ojca.

Nie było im jednak dane naprawić tego czynu. Jan nie chciał po raz drugi tracić radości życia swego. Odbił się nogami od deski i skoczył w wodę.

Może chciał dopłynąć do parowca, a może uczył, że życie jest mu ciężarem zbyt wielkim..... któż to zbadać zdoła?

W przystani powstało zamieszanie, rozległy się krzyki, parowiec zatrzymał się i spuszczone łódź ratunkową. Ale Jan poszedł na dno jak kamień i ani razu nie wypłynął na powierzchnię wody.

Pływały po wierzchu czapka jego i laska, ale sam cesarz przepadł bez śladu tak, że gdyby nie owe insygnia, trudno by było przypuszczać, iż tutaj właśnie utonął.

PRZESZKODA

Dziwnym się wydawało ludziom, bardzo dziwnym zjawiskiem, że Klara Gulla dzień w dzień czekała teraz w borskiej przystani na kogoś, kto nie zjawiał się wcale.

Czekała tam nie w pogodne, letnie dni, ale czasu jesiennych burz w listopadzie i przez cały mroźny grudzień. Nie snuła tu baśniowych rojeń o kimś, co przybyć ma z dalekich stron w chwale przepychu i dostojności. Oczy jej śledziły bez przestanku czółno, kręcące się wokół pomostu i ludzi szukających w głębinie topielca. Zrazu mniemała, że ten, którego wy-czekiwała, odnaleziony zostanie zaraz, gdy tylko zapuszczone zostaną liny z hakami sunącymi po dnie, ale omyliła się. Dzień po dniu pracowali dwaj wytrawni rybacy, nie szczędzili lin ni trudu, ale nie znaleźli niczego.

Tuż pod przystanią borską znajdowało się w dnie jeziora kilka głębokich zapadlin, a wszyscy przypuszczali, że Jan wpadł w jedną z nich. Niektórzy zwracali uwagę na silny prąd dolny

i sądzili, że ciało zostało uniesione ku zatoce. Klara Gulla poleciła przydłużyć liny, by sięgnęły aż na dno zapadlin, także kazała przeszukać hakami cały Löven i zatokę metr po metrze, ale nie udało jej się odnaleźć ciała ojca.

Zaraz pierwszego dnia po katastrofie kazała zrobić trumnę i gdy była gotowa, postawić ją na pomoście przystani, tak by można w nią było włożyć zwłoki zaraz po wydobyciu. Odtąd trumna stała ciągle w przystani, a Klara nie poleciła jej nawet wstawić do magazynu. Magazyn zamykano na całe godziny, trumna zaś gotowa być musiała na przyjęcie zwłok, tak by Jan nie potrzebował czekać.

Zmarły cesarz otaczany był nieraz w przystani licznym gronem przyjaciół, którzy mu skracali czas oczekiwania, ale Klara Gulla była zawsze osamotniona. Nie odzywała się do nikogo, a ludzie nie zaczepiali jej, bo miała w sobie coś strasznego owa córka będąca przyczyną śmierci ojca.

W grudniu ustał nawet ruch statkami towarowymi na całym jeziorze, a Klara Gulla zo-

stała sama jedna w przystani. Nikt jej nie przeszkadzał w rozmyślaniach. Rybacy chcieli również przerwać poszukiwania za ciałem. Ale Klara broniła się przeciw temu rozpacznie⁸³. Zwłoki musiały być znalezione, w tym złożyła całą nadzieję ratunku swego. Zanim jezioro nie pokryje się lodem, nie można zaprzestać szukania. Rybacy otrzymali polecenie zbadania po-brzeży przylądka pod Nygardem i Storwikiem, Löven miał być też przesondowany⁸⁴ w całej szerokości.

Im dłużej trwała niepewność, tym niespokojniejsza stawała się Klara Gulla i tym goręcej pragnęła odnaleźć ojca. Wynajęła sobie stancijkę u pewnego wyrobnika w Borgu i z początku przemogła się na tyle, by bodaj kilka godzin dnia spędzać pod dachem. Ale potem ogarnął ją taki niepokój, że ledwo mogła spać i jeść. Wystawała teraz po całych dniach na pomoście przystani i to nie tylko póki było wid-

⁸³*rozpacznie* — dziś: rozpaczliwie. [przypis edytorski]

⁸⁴*przesondowany* — dziś: wysondowany a. przeszukany, przebadany. [przypis edytorski]

no, ale aż do późnego wieczora, do chwili, kiedy trzeba się było kłaść.

Przez pierwsze dwa dni po śmierci Jana, Katarzyna stała obok Klary i czekała na męża. Potem wróciła do Skrołyki.

Porzuciła przystań nie przez obojętność, ale dlatego, że nie mogła wytrzymać ciągłej obecności córki i jej nieustannego rozmawiania o ojcu. Klara Gulla nie udawała wcale i Katarzyna wiedziała dobrze, o co jej idzie. Nie czyniła wcale poszukiwań przez miłość dziecięcą czy skutkiem wyrzutów sumienia. Wysiłała się z takim uporem, by znaleźć ciało i pogrześć je, gdyż doznawała przeraźnego⁸⁵ strachu, który skończyć się mógł jeno w chwili, gdy ojciec, którego o śmierć przyprawiła, spocznie w poświęconej ziemi. Póki leżał na dnie jeziora, był dla niej groźny, gdy legnie na cmentarzu, wszystko się skończy. Strach ją ogarniał coraz to większy i przed nim samym, i przed karą, jaka na nią spaść mogła.

⁸⁵przeraźny — dziś: przeraźliwy. [przypis edytorski]

Klara Gulla stała na pomoście borskiej przystani i spoglądała w wodę ciągle w tym miejscu wzburzoną i szarą. Spojrzenie jej nie mogło przebić powierzchni i sięgnąć w głąb, mimo to wydawało jej się, że dostrzega dno leżące pod nią.

Siedział tam cesarz Portugalii na wielkim głazie, obejmując rękami kolana. Oczy jego wpatrzone były w szarzieloną przestrzeń, siedział nieporuszony i czekał na nią pewny, że przybędzie.

Zdjął z siebie cały strój cesarski. Berło i korona pozostały na powierzchni wody i nie zatonęły, zaś papierowe gwiazdy i krzyże rozpląnęły się w wodzie. Siedział tu w swym wytartym, starym kaftanie z pustymi rękami. Ale teraz nie było na nim nic sztucznego, przestał być śmieszny, a stał się wielki i straszny.

Nie bez powodu mianował się władcą. Miał ogromną moc w sobie czasu życia, mógł obalić wroga, którego nienawidził, a mógł też pomagać przyjaciołom swoim.

Dwie tylko istoty ludzkie uczyniły mu krzywdę wielką. Na jednej z nich pomścił się już. Drugą z krzywdzicieli była własna córka jego, która przyprawiła go naprzód o szaleństwo, a potem o śmierć. Na nią czekał tam, w głębi wód.

Miłość dla niej skończyła się. Nie czekał teraz, by ją wielbić i czcić. Chciał ją ściągnąć w ponury kraj śmierci za karę win popełnionych.

Klara Gulla uczuwała pewną pokusę. Chciała zdjąć ciężkie wieko, samą zaś trumnę spuścić niby czółno na fale. Wsiadłaby w ową łódź, odbiła od lądu i wyciągnęła się ostrożnie na podściółce wiórów.

Nie wiedziała, czy zaraz pójdzie w takim razie na dno, czy przez czas jakiś pływać będzie po wodzie, aż przyjdzie fala, przewróci statek, napelni po brzegi i zmiecie w bezdeń!

Przychodziło jej na myśl, że mogłaby wcale nie zatonać, ale naprzód wypłynąć daleko na jezioro, a potem zostać wyrzucona na jeden z licznych, zarosłych olszyną przylądków i dostać się na ląd.

Pokusa uczynienia tej próby wielka była w Klarze Gulli. Postanowiła, że przez cały czas będzie leżała cichuteńko, nie uczyni najłżejszego poruszenia, nie użyje rąk, ni nóg, by popędzić trumnę dalej, ale odda się bezwzględnie w moc sędziego. Niechże ją ściągnie ku sobie w głąb, albo pozostawi przy życiu wedle woli swojej i wyroku.

Gdyby się tak poddała jego osądzeniu, może wówczas zbudziłaby się na nowo owa wielka miłość i wyjednała jej przebaczenie. Może ulitowałby się i łaskę jej swoją okazał.

Ale strach przeważył. Nie śmiała polegać na jego miłości. Nie... nie miała odwagi spuszczać trumiennej łodzi na fale...

W tym czasie spotkała się Klara Gulla z jednym ze swych znajomych i przyjaciół z czasów młodości. Przyszedł do niej umyślnie do przystani. Zwał się Där Nol i mieszkał wraz z rodzicami w Prästerudzie.

August był to człowiek rozumny, spokojny i rozmowa z nim dobrze oddziaływała na Klarę Gullę. Powiedział, że uczyniłaby lepiej, gdyby

wyjechała i podjęła na nowo swe poprzednie zajęcie. Nie może jej to żadną miarą wyjść na dobre, jeśli będzie czekała na zmarłego w samotnej przystani.

Odrzekła, że nie ma odwagi wyjechać, zanim ojciec nie spocznie w poświęconej ziemi. Ale August nie chciał tego nawet słuchać.

Pierwsza rozmowa nie dała żadnego pozytywnego wyniku, gdy jednak August przybył po raz drugi, po dłuższej rozwadze obiecała, że usłucha jego rady. Rozstali się z tym, iż August przyjedzie nazajutrz własnym wózkiem i odwiedzie ją na stację kolei.

Gdyby August uczynił to, co przyrzekł, wszystko by się może było dobrze skończyło. Ale stały mu na przeszkodzie ważne sprawy i przyjechał tylko parobek z wózkiem. Mimo to Klara Gulla zabrała rzeczy, wsiadła i odjechała. W drodze wszczęła rozmowę z woźnicą o ojcu swym i wyciągnęła go na opowiadanie. Dowiedziała się różnych rzeczy świadczących, że był jasnowidzącym i utwierdziła się w tym, co słyszała od matki w fatalny dzień odjazdu. Słuchała

przez czas pewien, potem zaś kazała parobkowi zawrócić. Porwał ją taki strach, że nie miała odwagi jechać dalej. Zmarły cesarz Portugalii posiadał moc ogromną. Klara Gulla wiedziała, że umarli niespoczywający w poświęconej ziemi ścigają swych nieprzyjaciół i mszczą się straszliwie. Musiała tedy wydobyć ojca z wody, położyć go do trumny i pochować po chrześcijańsku, czuła, że inaczej nie zazna w życiu jednej chwili spokoju.

POŻEGNANIE

Okolo Bożego Narodzenia dostała Klara Gulla zawiadomienie, że matka jej bliska jest śmierci i to dopiero było w stanie oderwać ją od przystani.

Poszła pieszo, gdyż był to najlepszy sposób dostania się w tej porze roku do Askadalarny i obrała drogę przez Loby i bór powyż⁸⁶ Snipy.

Gdy Klara Gulla mijiała folwark, będący dawniej własnością Björna Hindriksona, spotkała

⁸⁶powyż — dziś: powyżej. [przypis edytorski]

wysokiego, poważnie wyglądającego mężczyznę, który naprawiał płot. Pozdrowił ją skinieniem głowy i przepuścił mimo siebie, potem jednak popatrzył za nią i w końcu, podbiegłszy, dogonił ją.

— Jesteście zapewne Klara Gulla ze Skrołyki? — spytał. — Mam wam coś powiedzieć. Jestem Linnart, syn Björna Hindriksona! — dodał, widząc, że nie wie, kim jest.

— Bardzo mi śpieszno! — odrzekła. — Może odłożycie to na inny raz! Dostałam wiadomość, że matka moja bliska jest śmierci.

Zamiast się cofnąć, powiedział Linnart, że podprowadzi ją kawałek drogi. Oświadczył, iż kilka już razy wybierał się do niej, do przystani i teraz rad by nie pominąć sposobności. Wyraził zapatrywanie, że to, co ma jej powiedzieć, ma wielkie dla niej znaczenie.

Klara Gulla nie sprzeciwiała się. Zauważyła jednak, że Linnartowi trudno przychodzi wypowiedzieć to, co ma na myśli, toteż nie spodziewała się niczego pomyślnego. Chrząkał co chwila i biedził się ze słowami.

— Zapewne nie wiecie, że ja jestem owym człowiekiem, który ostatni rozmawiał z ojcem waszym, Klaro Gullo, z cesarzem, jak go tutaj wszyscy zwali.

Klara potwierdziła, że nie wiedziała o tym i przyśpieszyła kroku. Sądziła, że rozmowa ta będzie miała przykry dla niej przebieg.

— Pewnego dnia — ciągnął dalej Linnart Bjomson — stałem w podwórzu i zaprzęgałem konia do wozu, mając jechać do sklepu po sprawunki. Nagle zobaczyłem idącego drogą cesarza. Śpieszył się bardzo, to nie ulegało wątpliwości, ale gdy mnie zobaczył przystanął i spytał, czym nie widział przejeżdżającej tędy cesarzowej. Nie mogłem zaprzeczyć, a gdym potwierdził łzy polały się z jego oczu. Powiedział, że był w drodze do Bro, ale nagle ogarnął go taki strach, że musiał zawrócić. Zaszedłszy do domu zastał pustkę. Katarzyna znikła także. Pewnie chciały obie odjechać statkiem, a tu droga daleka i nie wie, czy zdąży do Borgu, zanim odbiją od lądu.

Klara Gulla przystanęła.

— I pewnie zabraliście go ze sobą? — spytała.

— Tak jest! — odparł Linnart. — — Jan oddał mi dawniejszym czasem pewną wielką przysługę i chciałem mu się odpłacić. Ale może źle uczyniłem, dopomagając mu w drodze.

— O nie! — odrzekła spokojnie Klara Gulla. — Wina cała jest moja. Nie powinnam go była opuszczać.

— Przez cały czas, gdy siedział na wozie bez przestanku płakał jak dziecko — ciągnął dalej Linnart — a ja nie wiedziałem, jakimi go pocieszyć słowami, przeto milczałem, a on płakał dalej. W końcu powiedziałem: „Dojeździemy jeszcze na czas, Janie! Nie płaczcież tak! W jesieni chodzą po jeziorze małe statki towarowe, a im nie śpieszno nigdy!”. Ale zaledwie wypowiedziałem te słowa, położył mi rękę na ramieniu i spytał, czy sądzę, że ci, co porwali cesarzową, będą się z nią obchodzili okrutnie?

— Ci, co mnie porwali? — powtórzyła Klara Gulla w najwyższym stopniu zdziwiona.

— I ja też zdziwiłem się mocno i spytałem, kogo ma na myśli. Powiedział, że podczas pobytu cesarzowej w domu czyhali na nią w zasadzce nieprzyjaciele jej. Byli to wrogowie, których się tak bardzo Klara Gulla bała, że nie ośmieliła się nawet przywdziać korony, ani nawet mówić o Portugalii. Ci to właśnie wrogowie rzucili się na nią, porwali i uwieźli ze sobą.

— Ach, tak sobie to wytłumaczył? — powiedziała Klara Gulla.

— Tak sobie to wytłumaczył! — potwierdził Linnart z wielkim naciskiem. — Zechciejcież mnie dobrze zrozumieć, Klaro Gullo, ojciec nie dlatego płakał, że został opuszczony i samotny, ale dlatego, że sądził, iż jego córce zagraża niebezpieczeństwo!

Linnartowi z trudnością przyszło wypowiedzieć te ostatnie wyrazy. Nie chciały mu wyjść z gardła. Myślał pewnie o starym Björnie Hindriksonie i o sobie. Wspomnienie własnych dziejów pokazało mu dowodnie, jak cenić trzeba prawdziwą miłość, która nie cofa się przed niczym i nie ćmi się nigdy.

Klara Gulla nie rozumiała tego wszystkiego. Od powrotu do domu myślała o ojcu jeno⁸⁷ ze wstrętem i strachem. I teraz też mruknęła coś w rodzaju, że ojciec jej był wariatem.

Linnart dosłyszał to i uczuł się dotknięty.

— Nie jestem całkiem pewny, czy Jan był szaleńcem! — powiedział poważnie. — Odpowiedziałem mu, że nie dostrzegłem w pobliżu Klary Gulli żadnych wrogów. Ale powiedział zaraz: „Czyż nie widzieliście, Linnarcie tych wrogów w istocie, gdy przechodziła koło was? Tak, tak, drogi Linnarcie, było ich sporo, wrogami tymi była pycha, oschłość serca, występki i żądze, to jest ci wszyscy nieprzyjaciele, z którymi cesarzowa toczy bój straszliwy w państwie swoim!”.

Klara Gulla zatrzymała się i spojrzała w oczy Linnartowi.

— Aa... tak? — rzekła krótko.

— Odpowiedziałem mu wówczas, że nieprzyjaciół tych i ja także widziałem! — zakończył Linnart szorstko.

⁸⁷*jeno* — tylko. [przypis edytorski]

Klara Gulla roześmiała się w głos, a Linnart podjął na nowo.

— Pożałowałem zaraz, że mu to powiedziałem, bo teraz Jan zapłakał rozpacznie. „Ach — mówił łkając — drogi mój Linnarcie, proszę Boga, by mi pomógł wyratować biedną moją córkę ze szponów tych strasznych wrogów. Wszystko mi jedno, co się ze mną stanie, bylebym ją tylko ocalić zdołał”.

Klara Gulla nie odrzekła nic, przyśpieszyła tylko kroku. W sercu jej zbudziło się coś, co miotało się gwałtownie, ale zdławiła ten odruch wolą. Gdyby to coś, co było skryte i odrętwiałe, zaczęło żyć, nie mogłaby chyba zostać sama przy życiu.

— Były to niejako słowa pożegnania! — powiedział Linnart. — I niedługo też potem udowodnił, że to co mówił, myślał naprawdę i tego pożywał. Nie sądźcie, Klaro Gullo, że skoczył do wody, by uciec przed bólem swoim. Uczynił to jedynie i wyłącznie, by swą Klarę Gullę wyrwać z rąk nieprzyjaciół i chciał osiągnąć wpływ statku.

Klara szła coraz to prędzej i prędzej. Cała miłość ojca od początku do końca objawiła się jej i stała teraz jasna. Chciała przed nią uciec. Nie mogła znieść onego uświadomienia.

— Tu we wsi każdy wie wszystko niemal o drugim! — ciągnął dalej Linnart, dotrzymując jej kroku bez wysiłku. — Po śmierci Jana, oburzenie ogólne na was, Klaro Gullo, opanowało wszystkich. Ja sam nie uważałem was za godną dowiedzenia się ostatnich słów ojca waszego. Ale teraz wszyscy zmienili przekonanie. Ujęło nas to bardzo, żeście tyle czasu spędziła tam w przystani, czekając na niego.

Klara Gulla zatrzymała się nagle.

— Stoję tam i czekam dlatego tylko, że się go boję! — wrzasnęła w odpowiedzi.

— Wiemy wszyscy, Klaro Gullo, żeście od dzieciństwa była prawdomówna i nie chciałaście wydać się⁸⁸ lepsza! — odparł spokojnie. — Ale my, ludzie tutejsi, rozumiemy was lepiej, niż wy sama siebie i nie tajno nam, co się

⁸⁸nie chciałaście wydać się — dziś: żeście nie chcieli a nie chcieliście (grzecznościowe użycie form lm w odniesieniu do pojedynczej osoby). [przypis edytorski]

w słowach tych kryje. Niejeden z nas postąpił nie tak, jak należy z rodzicami swymi.

Klara Gulla zawrzała takim gniewem, że chciała powiedzieć coś strasznego, ale słowa nie zjawyły się na jej ustach. Rada by była tupać i krzyczyć, by zmusić Linnarta do milczenia. I tego uczynić nie była w stanie. Nie widząc przeto innego wyjścia, obróciła się nagle i zaczęła co sił uciekać.

Linnart nie gonił jej. Powiedział, co chciał powiedzieć i czuł się zadowolony z pracy dokonanej tego dnia.

ŚMIERĆ KATARZYNY

Gdy Klara Gulla weszła do małego dworku w Skrołyce, Katarzyna leżała na łóżku z zamkniętymi oczyma, śmiertelnie blada.

Otworzyła jednak zaraz oczy i zaczęła mówić, gdy tylko Klara Gulla stanęła przy łóżku i pogładziła ją po ręce.

— Jan mnie zabiera! — powiedziała z wielkim wysiłkiem. — Ma do mnie żal, że go opuściła!

Klara drgnęła całym ciałem. Zaczęła teraz dorozumiewać się, czemu matka umierała. Była wierna mężowi przez całe życie i teraz zabijało ją wspomnienie, że go mogła porzucić.

— Nie martw się tym, droga mammo! — powiedziała Klara Gulla. — To przecież ja zmusiałam cię do podróży!

— Myśl ta dręczyła mnie straszliwie! — ozwała się Katarzyna. — Ale teraz znowu wszystko dobrze, pogodziliśmy się w zupełności.

Zamknęła oczy i leżała bez ruchu. Na wynędzniałą twarz kładła się jaśniejąca poświata szczęścia.

Za moment zaczęła mówić znowu. Leżało jej coś jeszcze na sercu, co wyznać musiała koniecznie, by osiągnąć spokój.

— Nie miej za złe ojcu, że skoczył w wodę chcąc cię dogonić. Miał dobry zamiar. Niedobrze działo się z tobą od czasu, kiedyś od nas odeszła. Wiedział o tym. I z nim także do-

brze nie było. Oboje zeszliście z właściwej drogi, każde na swój sposób.

Czuła z góry, że takie słowa padną i uzbroiła się naprzód przeciw nim. To jednak, co powiedziała matka, poruszyło ją tak bardzo, że zdumiała się wielce i spróbowała dać serdeczną odpowiedź:

— Będę myślała o ojcu takim, jakim był dawniej! Wiesz przecież, mamó, jakeśmy się kochali.

Katarzyna uszczęśliwiona była widocznie tymi słowami córki, bo przestała się kręcić niespokojnie. Miała widocznie zamiar powiedzieć coś więcej jeszcze, ale po chwili uśmiechnęła się tylko i rzekła przepelnionym miłością głosem:

— O jakże się czuję szczęśliwa, Klaro Gullo, że jesteś teraz znowu piękna!

Na te słowa Klara Gulla straciła panowanie nad sobą. Padła na kolana przy łóżku i zaczęła płakać. Po raz pierwszy od powrotu płakała naprawdę, płakała z głębi serca.

— Nie mogę pojąć, mamó, czemu jesteś tak dobra dla mnie! — łkała. — Z mojej to

winy umierasz i śmierć ojca także na mnie ciąży!

Katarzyna uśmiechała się ciągle, a ręce jej poruszyły się, by popieścić córkę.

— Jaka żeś dobra, mamó, jaka dobra! — mówiła Klara Gulla, płacząc rzewnie.

Katarzyna pochwyciła nagle dłoń córki silnym uściskiem, podniosła się na łóżku i złożyła ostatnie wyznanie swoje:

— Wszystko dobro, jakie jest we mnie, zawdzięczam Janowi! — powiedziała wyraźnym, silnym głosem.

Opadła na poduszki i od tej pory na ustach jej nie zjawiono się już żadne zrozumiałe słowo. Nadchodził skon, a nazajutrz rano Katarzyna połączyła się z mężem.

Przez cały czas trwania śmiertelnej walki leżała Klara Gulla na ziemi przy łóżku matki i płakała. Leżała, a łzy zmywały z jej serca strach, urojenia fantazji i wszelaki występki i winę. Płynęły te łzy strumieniem rwącym, rozlewnym, nie mogła przestać płakać.

POGRZEB CESARZA

W ostatnią niedzielę przed Bożym Narodzeniem odbyć się miał pogrzeb Katarzyny ze Skrołyki. W kościele niedużo bywało ludzi zazwyczaj w takim czasie, bo wielu odkładało udział w nabożeństwie do wielkich uroczystości świątecznych⁸⁹.

Toteż zakłopotanie ogarnęło tę małą grupkę Askadalarnczyków, którzy przyłączyli się do konduktu pogrzebowego, w chwili gdy przybyli na plac leżący pomiędzy budynkiem gminnym a kościołem. Zastali tłumy ludzi, jakich nikt nie widywał na tym miejscu, chyba wówczas kiedy to w Swartsjö raz do roku proboszcz z Bro wygłaszał kazanie albo czasu wyborów do parafialnej rady.

Oczywiście nie ściągnął tłumów pogrzeb starej Katarzyny, ni chęć oddania jej ostatniej przysługi, sprawa musiała mieć powód inny. Może się spodziewano jakiejś znakomitej osobistości na nabożeństwie, lub też inny nieznan, a słyn-

⁸⁹świąteczny — dziś: świąteczny. [przypis edytorski]

ny proboszcz miał wygłosić kazanie onej niedzieli.

Ludzie z Askadalarny żyli w kącie tak zapadłym, że mogło zajść wiele rzeczy w parafii, o których wieść do nich nie dochodziła, albo przedostawała się późno.

Ci, którzy stanowili orszak żałobny, zajęchali, jak to bywa zawsze, na plac wozami i bryczkami i wysiedli z nich. Plac przed kościołem zatłoczony był, poza tym jednak nie spostrzegli nic nadzwyczajnego. Żałobnicy dziwili się coraz to bardziej temu, co się działo, ale nie śmieli pytać o przyczynę. Nie wypadało im łączyć się z resztą, którą nic pogrzeb nie obchodził, ale winni byli trzymać się na uboczu, tak by każdy widział, iż stanowią kondukt żałobny.

Zdjęto trumnę z drabiniastego wozu, na którym przyjechała przed kościół i ustawiono na dwu czarno malowanych kozłach stojących w pogotowiu przed budynkiem gminnym. Tutaj musieli stać i czekać wszyscy zaliczający się do orszaku aż uderzą dzwony, ukaze się pro-

boszcz z kościelnym i pochód ruszy na cmentarz do grobu.

Od samego rana niebo zasnuło się chmurami i deszcz padał tak nawalny, że snopy wody rozpryskiwały się na wieku trumny. Jakakolwiek mogła być przyczyna tak wielkiego napływu ludzi, to jednak wątpliwości nie ulegało, że pogoda tego rodzaju nie byłaby w stanie ani jednego skłonić do wychylenia się za próg domu.

Nikt spośród zgromadzonych nie zwracał najmniejszej uwagi na deszcz i wicher. Wszyscy stali w cierpliwym skupieniu pod gołym niebem, nie starając się chronić do kościoła czy budynku gminnego.

Sześciu ludzi mających nieść trumnę Katarzyny, zauważyło, że prócz kozłów, na których stała, przysposobiono tuż obok drugą jeszcze parę. Miał tedy zostać pochowany jeszcze ktoś drugi. I o tym nie doszły Askadalarnczyków wieści, dziwiło ich też nie po mału⁹⁰, że nie ja-

⁹⁰*nie po mału* (daw.) — niemało; por. konstrukcję: po trochu. [przypis edytorski]

wił się drugi kondukt pogrzebowy, a było już nawet za późno, by mógł się ukazać przed kościołem.

Kiedy brakowało ledwo dziesięć minut do dziesiątej i lada moment spodziewano się rozpoczęcia pochodu na cmentarz, spostrzegli Askaldarniczcy, iż cały tłum rusza w kierunku Där Nolu w Prästerudzie, folwarku położonego o kilkaset zaledwo kroków od kościoła.

Spostrzegli teraz, czego nie zauważyli przedtem, że od samego budynku gminnego, aż do folwarku droga usłana była gałązkami jodłowymi i wysadzona zielonymi choinkami. Tam leżał przeto zmarły. Dziwili się bardzo, że wieść o tej śmierci nie dotarła do nich, a jeszcze więcej, że okna nie były zasłonięte kirem, jak to być winno w domu, w którym ktoś zmarł.

Drzwi otwarły się na ścieżaj⁹¹ i ukazał się kondukt. August Där Nol kroczył przodem z laską żałobnika w ręku, za nim zaś niesiono trumnę.

⁹¹na ścieżaj — na oścież. [przypis edytorski]

Ludzie, wypełniający dotąd plac przed kościołem, przyłączyli się do tego pochodu. Przybyli tedy widocznie po to, by uczcić nieboszczyka.

Trumnę zaniesiono przed dom gminny i postawiono po prawej stronie trumny Katarzyny, a August Där Nol zesunął kozły, tak by obie znalazły się jak najbliżej siebie.

Trumna druga nie wyglądała zgoła na nową i nie połyskiwała jak trumna Katarzyny. Zdało się, że zaznała już niejednego deszczu, także niezbyt się z nią widać ostrożnie obchodziło, bo wieko było porysowane, a wystające kanty poobtręcane.

Jedno, wielkie, zbiorowe westchnienie ulgi uleciało z piersi wszystkich Askadalarnczyków, gdyż teraz rozumieli po trochu, co to znaczy. W trumnie tej nie leżał żaden krewny Där Nola. Podobnie też cały ten tłum zebrany przed kościołem nie znalazł się tu dlatego, że ludzie chcieli zobaczyć coś niezwykłego. Nie. Zeszli się tu, by być świadkami połączenia się małżonków.

Spojrzenia wszystkich skierowały się na Klarę Gullę, a każdy chciał się przekonać, czy rozumiała. I tak też było w istocie.

Przez cały czas stała blada i zapłakana przy trumnie matki, gdy jednak zobaczyła drugą trumnę w drzwiach domu Där Nola, na twarzy jej zjawiał się radosny wyraz ulgi i zadowolenia, jakim każdy wita spełnienie tego, nad czym pracował długo, z wysiłkiem wielkim. Ale uspokoiła się prędko. Miast radości pojawił się w jej oczach smutny uśmiech i przesunęła kilka razy lekko dłonią po trumnie matki.

— Teraz ci tak dobrze, że nie marzyłaś o niczym więcej, matko... prawda? — Tak szepnęła Klara Gulla do zmarłej.

August Där Nol zbliżył się do Klary Gulli, podał jej rękę i rzekł:

— Nie macie chyba, Klaro Gullo, nic przeciw temu, żeśmy urządzili w ten sposób. Znaleziono go dopiero w zeszły piątek, a ja sądziłem, że będzie wam to łatwiej znieść.

Odpowiedziała kilku jeno słowami, a wargi jej tak drżały, że ledwo mógł zrozumieć, co mówi.

— Dziękuję wam, Där Nolu. Bardzo dobrze. Wiem, że nie wrócił do mnie, tylko do matki.

— Do was obu, Klaro Gullo, przekonacie się niedługo! — odrzekł i poszedł.

Stara Erykowa z Falli miała już osiemdziesiąt lat i pochyliły ją zgryzoty i troska, ale uparła się jechać do kościoła, by oddać cześć i towarzyszyć do grobu Katarzynie, swej długoletniej służce i przyjaciółce. Wzięła ze sobą czapkę i laskę, które jej oddano z powrotem. Miała zamiar włożyć je Katarzynie do trumny, gdyż mniemała, że miło jej będzie mieć przy sobie jakąś pamiątkę po Janie.

Klara Gulla przystąpiła do staruszki i poprosiła o insygnia cesarskie, potem oparła laskę o trumnę ojca i zawiesiła na niej czapkę z piórami, a wszyscy zrozumieli, dlaczego to uczyniła. Wspomniała, że od czasu powrotu swego nie pozwoliła Janowi ani razu przyodziać się

w strój cesarski. Chciała teraz naprawić swój błąd, o ile to leżało w jej mocy. Trudno, dla umarłego niewiele da się już uczynić.

Zaledwo laska spoczęła na trumnie, rozległy się dzwony, a proboszcz, kościelny i chłopcy pogrzebowi wyszli z zakrystii i stanęli na czele konduktu.

Deszcz rzęsisty padał dnia tego kilka już razy. Ale złożyło się tak, że nastąpiła przerwa pomiędzy dwoma nawałnicami w chwili, gdy formował się pochód, gdy grupowali się mężczyźni przodem, a kobiety z tyłu.

Stawali w porządku, a twarze ich wyrażały zdziwienie. Nie przyszli tutaj powodowani żalem z powodu śmierci dwojga starych ludzi, nie chcieli im też oddać czci szczególnej. Sprawa miała się inaczej. Gdy się rozeszła wieść w parafii, że Jan ze Skrołyki zjawił się punktualnie na czas, by mógł razem z żoną zostać złożony do grobu, wszystkim wydało się to bardzo piękne i dziwne zarazem i chcieli być świadkami połączenia się starych małżonków w skonie.

Żaden z przybyłych nie sądził, żeby drugiemu miało przyjść to samo na myśl i teraz mieli wrażenie, że zrobiono niepotrzebnie zbyt wielką rzecz z pogrzebu tych dwojga starców. Spoglądali po sobie, wstydzili się po trochu nawet jedni drugich, że jednak już byli na miejscu, przeto nie pozostawało nic innego, jak przyłączyć się do pochodu.

W skrytości serca myślał sobie ten i ów z uśmiechem, że cała rzecz wypadła zupełnie po myśli życzeń cesarza Portugalii. To by się mu dopiero podobało! Dwie laski żałobne, bo jedną przywieziono z Askadalarney, niesiono przed trumnami Katarzyny i Jana, a cała niemal parafia stanowiła kondukt. Gdyby nawet sam cesarz zarządził własny pogrzeb, nie mógłby wypaść świetniej.

Nikt nie był zresztą pewny, że nie jest to jego własne dzieło, bowiem cesarz stał się teraz, po śmierci swojej, osobistością bardzo potężną. Miał on niezawodnie jakiś cel, trzymając córkę tak długo na pomoście przystani i każąc jej

tak długo czekać na siebie. Podobnie musiał też chcieć czegoś dokazać przez to, iż wynurzył się z głębi na czas. Cesarz wiedział, co czyni i o co mu idzie.

Gdy obstąpiono szeroki grób i spuszczano weń trumny, zaintonował kościelny pieśń: „Nie znany jest człowiekowi czas jego, ni godzina skonu...”.

Kościelny Svartling był starcem i śpiew jego przypomniał Klarze Gulli śpiew innego starca, którego słuchać nie chciała.

Wspomnienie to było jej nad wyraz bolesne. Przycisnęła ręce do serca i zamknęła oczy, by wyraz ich nie zdradził, jakie przechodzi męki.

Gdy tak stała nad grobem z zamkniętymi oczyma, zobaczyła nagle twarz ojca taką, jaką ją zapamiętała z dzieciństwa i młodości, kiedy żyli w takiej przyjaźni ze sobą.

Widziała go przed sobą zupełnie jak onej niedzieli, kiedy śnieg zawiął wszystko i Jan niósł ją do kościoła.

Widziała go przed sobą, jak zapamiętała z innej niedzieli, kiedy to poszła do kościoła w czerwonej sukience. Pewnie nikt z ludzi nie był tak szczęśliwy, jak Jan tego dnia.

Nagle szczęście jego zagasło, a i ona nie doznawała już potem prawdziwego wesela i szczęśliwą się nie czuła.

Wysilała się, by utrwalić sobie w myśli to oblicze ojca i sprawiało jej to ulgę wielką, a jednocześnie podniosła się w jej sercu i rosła ciągle fala miłości.

Obraz ten zdawał dawać jej spokój, więcej niż spokój, pewność absolutną i niewzruszalną, że nie ma się czego bać.

Patrzył na nią zacny, kochający ojciec, Jan ze Skrołyki, nie zaś sędzia. Nie miał zamiaru wymierzać sprawiedliwości, nie chciał ściągnąć na jej głowę kary i nieszczęść.

Wielki spokój wstąpił w Klarę Gullę. Od chwili gdy zdobyła możliwość widzenia go takim, jaki był dawniej, wkroczyła w świat, gdzie nie było nic prócz miłości. Jakże by mogła przy-

puścić, że ją nienawidzi? Wszystko przebaczył... wszystko zapomniał.

Na każdym kroku chciał jej teraz strzec i ochraniać ją. Tego tylko chciał wyłącznie.

Ponowna fala miłości zjawiała się w jej sercu, fala potężna, napełniająca całe jej jestestwo. Jednocześnie wiedziała, że wszystko zostało skończone, a z ojcem łączy ją ta sama, co poprzód⁹² miłość, większa nawet może! Kochała go, dlatego nie trzeba jej było pojednania, ni pokuty nikt jej nie narzucał.

Klara Gulla zbudziła się jakby ze snu. Podczas kiedy stała, wpatrując się w oblicze swego ojca, ceremonia pogrzebowa odbywała się jak zawsze. Proboszcz zwrócił się teraz z kilku słowami do zebranych i podziękował, że zjawili się tak tłumnie. Nie jest to, powiedział, pogrzeb człowieka możnego i wybitnego, ale tego, który w całej wsi posiadał serce najbogatsze i najgorętsze, serce tętniące zawsze żywo w piersi.

Gdy to usłyszeli, zrozumieli zaraz wszyscy, czemu przyszli, spojrzeli po sobie i nie wsty-

⁹²poprzód — dziś: poprzednio. [przypis edytorski]

dząc się już, wzajem uśmiechnęli się do siebie życzliwie. Proboszcz odgadł przyczynę prawdziwą. Dlatego to przecież zbiegła się mimo pluty cała parafia... Naturalnie!

Proboszcz zakończył kilkoma słowami do Klary Gulli, mówiąc jej, że otrzymała od rodziców swych większy dar miłości niżli jakiegokolwiek inne dziecko spośród znanych mu dotąd, tedy pewny jest, że będzie szczęśliwa, bo miłość taka sprowadzić musi błogosławieństwo boskie.

Na te słowa proboszcza oczy wszystkich skierowały się na Klarę Gullę i zebranych ogarnęło ogromne zdumienie.

Wydało się, że to co było zapowiedziane, ziściło się w jednej chwili. Oto stała przed oczyma całej parafii Klara Fina Gulla ze Skrołyki, nazwana mianem słońca, stała nad grobem rodziców, a oblicze jej jaśniało zachwytem niezmiernym.

Była tak cudna jak onej niedzieli, kiedy szła do kościoła w czerwonej sukience, a może nawet jeszcze cudniejsza.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tetniace-serce>

Tekst opracowany na podstawie: Selma Lagerlöf, *Tętniące serce*, tłum. Franciszek Mirandola, Wydawnictwo Interlibro, Warszawa 1992

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska.

Okładka na podstawie: yellow lamp, qmnonic@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0488-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę. *SELMA LAGERLÖF Tętniące serce* 387

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.